

# SKŁOWIA

NR 4

1988

## KOMENTARZE

## POGLĄDY

## myśli\*myśli\*myśli

**PM**

PRAWY MARGINES

Wydawnictwo Organizacji  
Solidarność Walcząca

BIAŁYSTOK \* KRAKÓW \* WARSZAWA

\* \* \*

"Niezliczone przykłady przytoczona przez starożytnych dziejopisów pouczają nas, jak trudno jest narodowi nawykłemu do władzy książęcej zachować swą wolność, jeśli dzięki jakiemu przypadkowi ją zdobędzie. Trudność tę łatwo zrozumieć, lud taki jest bowiem podobny do dzikiego zwierzęcia stworzonego do życia na swobodzie, które przyzwyczajono do pęt i oswojono tylko po to, aby następnie wyprowadzić je w szczyre pole i pozostawić własnemu losowi. Nie umie ono paść się samo i nie wie, gdzie szukać sobie schronienia, dlatego też pada ofiarą pierwszego, kto zapagnie ponownie nałożyć mu pęta.

"Tak samo dzieje się z narodem przywykłym do tego, że rządzi nim inni. Nie wie on, co jest dlań dobre, a co złe, nie zna swoich nowych przywódców i jest im nieznany; dlatego też wkrótce znów znajdzie się w jermie, i to przeważnie cięższym od tego, które był z siebie zrzucił. Popada zatem w trudności, mimo, że nie jest zupełnie zepsuty. Należy bowiem stwierdzić, że naród, który całkowicie owdziękuł zepsucie, nie może ani chwili cieszyć się wolnością. /.../ Do wspomnianych wyżej trudności dodać trzeba inną, polegającą na tym, że państwo odzyskujące wolność stwarza sobie zaciętych wrogów, a nie oddanych przyjaciół. /.../

"Należy uważać że rzecz zupełnie pewną, że naród zepsuty nie zdobędzie wolności nawet wtedy, gdy rządzący nim władca zginie wraz z całą swą rodziną - a i to musieliby się stać za sprawą innego władcy. Naród taki nie szuka spokoju, dopóki nie znajdzie sobie nowego pana. Wolność swą mógłby on zachować jedynie dzięki wysiłkom człowieka obdarzonego szczególnymi zaletami i szczególną cnotę; jednak i w tym wypadku zachowałby ją tylko na czas życia tego człowieka.

/.../ "Rozruchy i inne zaburzenia nie szkodzą społeczeństwu zdrowemu; zepsutemu nie pomogą natomiast najlepsze nawet prawa - chyba że znajdzie się człowiek, który potrefi nekazać ich poszerzenie z taką siłą, iż społeczeństwo to uzdrowi. Nie wiadomo mi jednak, czy kiedykolwiek do tego doszło lub dojść mogło. Ponieważ jeśli chylące się ku upadkowi, wskutek zepsucia swych obywateli, państwo na nowo odżywa, dzieje się to dzięki wysiłkowi jednego człowieka, a nie dzięki wysiłkom ogółu. Gdy tylko człowiek ten umrze, państwo znów podupada. /.../ Rzecz w tym, że jednemu człowiekowi nigdy nie stworza życia, aby zaprowadzić dobre obyczaje w państwie od dawna zepsutym. Nawet gdyby żył on wyjątkowo długo i miał kolejno dwóch godnych siebie następców, to i tak państwo takie zginie, zaledwie ludzi tych zabraknie; a jeśli możliwe byłoby jeszcze jego odrodzenie, to tylko w morzu krwi i wśród tysięcy niebezpieczeństw."

Józef Piłsudski

## WALKA Z RZĄDEM

/ W chwili, gdy przygotowujemy niniejszy numer do druku, trwają strajki w Nowej Hucie, Stoczni Gdańskiej i w innych ośrodkach przemysłowych. Jak dowodzi poniższy artykuł Józefa Piłsudskiego z wczesnego okresu jego działalności w PPS, również w Białymstoku zdarzały się wielkie, dobrze zorganizowane i przeprowadzone z determinacją strajki robotnicze. Przy czym kierowniczy czynnik ruchu robotniczego, jakim była Polska Partia Socjalistyczna, nie nawoływał do "włączenia się całego społeczeństwa w realizację reformy", ani do "porozumienia" z przeatepczą władzą, lecz stawiał przed klasą robotniczą zadanie walki z rządem aż do zwycięstwa. Strajk białostocki po ponad dwóch tygodniach został ziswany, z końca września 1895 roku. Był jednak groźnym ostrzeżeniem przed aiłą tkwiącą w masach. Artykuł Piłsudskiego dedykujemy zarówno strajkującym robotnikom, jak i ich nie strajkującym kolegom, którzy mogą podjąć nad wydarzeniami, jakie miały miejsce w ich mieście przed blisko stu laty./

Dwudziestotysięczna masa naszych braci białostockich etanęła do walki z rządem w obronie swych praw pogwałconych.

Każdy z nas zarówno, gdy doszła doń wieść o tym olbrzymim strajku, z wyteżoną uwagą i gorącym współczuciem śledził za jego przebiegiem - stanowi on bowiem jedną z tych chwil, gdy, przeciężeni jarzmem niewoli dziaiejszej, wstrząsamy się, by zbadać swą siłę a jego wytrzymałość, by pokazać światu, że ucisk rządowy nie zrobił nas uległymi niewolnikami, że nie staliśmy się nieczułym na pomiatienie naszymi prawami i naszą godnością ludzką, że nie zamarło w nas gorące pragnienia wolności i wyzwolenia.

Od czasu pamiętnej strajku łódzkiego walka z rządem stała się dla proletariatu polskiego nieuniknioną koniecznością. /.../ Kilkadziesiąt ofier, ległych wówczas na ulicach Łodzi, są dla nas krwawym świadectwem tego, że w walce o polepszenie swego bytu oprócz fabrykantów mamy jeszcze jednego wroga - rząd. Wróg to tym groźniejszy, że rozporządza zorganizowaną siłą zbrojną i całym arsenałem środków wyjątkowych, krępujących nasze ruchy przy każdym kroku naszym. /.../ Na każde solidarne wystąpienie nasze, czy to przeciw wyżskowi fabrykantów, czy też przeciw samowoli urzędniczej, rząd rosyjski odpowiada brutalną przemocą, a przedstawiciela jego starają się nas przakonać, że "w Rosji wszystkiego dobić się można, tylko nie buntów i prośbami, a uległością i prośbami". /.../

Wiemy dobrze, co to znaczy. Wobec wzrstaającej fali niezadowolenia ludowego rząd chce nam zaszcześcić politykę niewolników - politykę pokory, wsbięć nas obietnicami swych łask i dobrodziejstw na tej drodze. Ale demagogia nie zamydli nam oczu. Wiemy dobrze, że polityka taka wcześniej czy później doprowadziłaby nas do takiego stanu, w jakim dziś znajdujemy się lud rosyjski, zbieđniony i przygnębio-ny kilkusetletnią pokornym znoszeniem niewoli /.../

Polityka pokory nigdzie, a tym bardziej pod rządem rosyjskim, nie przyniosła masom pracującym żadnej korzyści. Wszak dopóki się dzieliliśmy cicho, nikt z nas nie zatroskał, nikt nie pomyślał o skróceniu nam siedmiarnie długiego dnia roboczego, o zmniejszeniu nieograniczonego wyżysku naszej pracy. A niedawne zajęcia w Krocach



jest jeszcze jednym dowodem więcej bezowocności takiej polityki. Wszak właścianie w obronie swego kościoła użyli tam wszelkich środków pokojowych, poczynając od wysyłania próśb do cara i kończąc na wystawianiu przed kościółem portretów pary cerekłej - a jednak nie uchroniło to ich od zamknięcia kościoła i najeźdźstwa kozaków.

"Pokornemu na łbie kółki krzesać może" - mówi nasze przysłowie, straszącąc w sobie tę dziejową prawdę, że pokora i uległość tylko do wzmocnienia i utrwalenia niewoli prowadzi.

Proletariat polski dał już liczne dowody, że na tę drogę nie da się wprowadzić. Podjęliśmy walkę o swe interesy klasowe, będąc pewnymi, że tylko na drodze walki zdobędziemy znośniejsze warunki bytu, lepszy urząd w przyszłości. W naszym położeniu siła jest jedynym środkiem, mogącym nas doprowadzić do wyzwolenia. A świadomość tego, że w podjętej przez nas walce mamy przeciwko sobie i polskie klasy posiadające, i rząd najezdnicy, nie przejmując nas obawą, nie może nas się wyrzec naszej polityki robotniczej i bezsilnie opuścić ręce. Wszystkie nadzwyczajne środki, jakich używa przeciw nam rząd rosyjski, nakazują nam tylko zwozić energię, a ustępstwa, pod naszym naciskiem czynione, nas nie załagodzą.

Dotychczasowa walka utrwaliła w nas przekonanie, że zorganizowanej sile naszych wrogów należy przeciwstawić zorganizowaną siłę robotniczą, która musi skruszyć kajdany niewoli politycznej, by podjąć wielkie dzieło przekształcenia dzisiejszego nieprawdliwego porządku społecznego. Bogaci nabytym doświadczeniem, rozumiemy wszyscy dobrze, że główną dla nas kwestią jest radykalna zmiana istniejących stosunków politycznych - zdobycie Demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej przez proletariat i dla proletariatu. A w dążeniu swym do tego jasno wytkniętego celu nie zawahamy się użyć wszelkich środków, które nas do zwycięstwa doprowadzić mogą.

Skupiając swe siły do przyszłej stanowiącej rozprawy /.../ nie możemy biernie oczekiwać tej chwili i dziś obojętnie znosić wszystkie razy ze strony rządu despotycznego. By jarzmo niewoli nie wpiło się nam w barki, by nie upodliło naszego ducha cierpliwym znoszeniem zniewag i poniewiarce, musimy zawsze stać na straży swej godności i odparać wszystkie zamachy rządu, przeciw nam skierowane. Zawsze i wszędzie rząd powinien spotkać w nas wroga, który nie pozwoli się bezkarnie znieważać i zakuć w nowe więzy niewoli.

Zrozumieli to należycie nasi bracia białostoccy, występując z solidarnym protestem przeciw narzuceniu im siłą znanych katechizm obrachunkowych. Swym występianiem dowiedli oni, że umieją cenić swobodę. Jakikolwiek bezpośrednio będzie rezultat tego strajku, znaczenia jego nie nie osłabi. Wzmocnił on w szeregach robotniczych poczucie swej siły i gotowość do oporu przeciw samowoli rządowej, a dla wrogów naszych jest świadectwem tego, że z nami liczyć się trzeba.

Pomimo gorącego pragnienia nie możemy jeszcze dziś za przykładem naszych braci białostockich porwać się wszyscy i stanąć z nimi wspólnie przeciw rządowi. Dzisiejszy strajk białostocki to tylko częściowa mobilizacja armii robotniczej bez broni. Lecz nadejdzie czas, kiedy polski lud robotczy powstanie w całej swej milionowej masie i z bronią w rękę przełamie jarzmo dzisiejszej niewoli politycznej.

Chwila ta nadejdzie - bo nadejść musi - i obowiązkiem każdego z nas jest być do tego, by nie zastała go ona nieprzygotowanym i nieczujnym na hasło wolności.

/"Robotnik" 24 września 1895 r./

## POCZĄTEK DROGI

"W burzliwą noc grudniową" - 5 grudnia 1867 roku - we dworze żułowskim urodziło się czwarte dziecko małżeństwa Józefa Wincentego i Marii z Billewiczów Piłsudskich. Rodzinne podanie mówi, że załomotano wówczas do drzwi. To płonące w oknach światło ściągnęło grupę przejeżdżających okolicą oficerów rosyjskich, podejrzewających, że za oknami tymi odbywa się zebranie spiskowców. Może chcieli się tylko ogrzać w ciepłe.

Zimy w tych czasach przychodziły wcześniej i pokrywały płasko rozciągniętą, lekko sfalowaną ziemię litewską grubym kożuchem śniegu. Wiatr pod ciemnym niebem zdmuchiwał w porywach ten śnieg z wysokich dachów, szarpał koronami drzew, marszczył niezamierzłą jeszcze wodę na stawach i jeziorkach. Kulili się przed wiatrem zapadłe w zaroślach zsgrody, ujadł pias, wyczuwały obcych. Tak było od stuleci i samotne światła w oknach przyciągały zmarzniętych podróżnych, tym razem, w tych czasach przyciągnęły okupanta. Nie minęły jeszcze trzy lata, gdy zgssały ostatnie iskry powstania na Litwie, pacyfikacja trwała. Rzecz naturalna, iż carski oficer powinien sprawdzić, czy we dworze, który jak wszystkie dwory mógł być gniazdem irredenty, nie dzieje się nic podejrzanego. Nic takiego się nie działo. Tylko urodziło się dziecko i wydarzenie to postawiło na nogi rodzinę, napełniło dwór zapobiegliwą krzątaniem i radosnym podnieceniem. Carscy oficerowie strzepnęli topniejący śnieg z kołnierzy, ogrzali się i ruszyli w swoją drogę, spokojni, gdyż tej nocy Polacy nie spiskowali, a jedynie urodził się Józef Piłsudski.

Litewskie krajobrazy zniknęły na zawsze z naszej historii. Nie tylko dlatego, że oddzieliła je granica, ale i dlatego, że bolszewicki walec zmiażdżył tę ziemię, jak każda ziemię, po której się przetoczył. Zdmuchnął z powierzchni dwory i zagrody, wytrzebił lasy i parki, obrócił w ruiny kościoły, obalił przydrożne krzyże, zatrzał wody jeziora i nigdy nie będzie tu już tak, jak było przez wieki. Mało jest na świecie okolic, w których człowiek byłby tak głęboko zrośnięty ze swoją lokalną ojczyzną. Tę ojczyznę wydarło człowiekowi z serca, deptając ją i plując na nią i człowiek przestał być na zawsze człowiekiem takim, jakim był przez wieki.

W roku 1934 Związek Rezerwistów zakupił ze składek zbieranych w ciągu kilku lat majątek Żułów, "czyniąc zadość najgłębszej potrzebie serc", by uczynić z tego miejsca pamiątkę narodową. Odtworzono na podstawie relacji rodziny Marszałka /głównie Zofii Kadencowskiej, siostry/ wygląd i rozplanowanie dworu, wykonano plan i makietę. 10 października 1937 roku odbyła się transmitowana przez radio uroczystość przekazania narodowi "rezerwatu" żułowskiego. Zrekonstruowano zarysy fundamentów dworu, a w miejscu, gdzie stała kołyska Piłsudskiego, zaszczepiono dęby, któregoś nie było dane wyrosnąć. Nie wiadomo jak i kiedy ścięto go, czy wyrwano z ziemi. Któżby zresztą przejmował się drzewem, gdy ścinało i wyrwano z ziemi rosnące na niej od wieków ludzkie pokolenia. Po "narodowej pamiątce" nie ma śladu.

W roku 1940 Kazimierz Wierzyński napisał wiersz poświęcony Waleremu Sławkowi, który zastrzelił się ze swojego, popesowskiego jeszcze pistoletu 2 kwietnia 1939 roku. Sławek był najwierniejszym, może jedynym w ostatnich latach życia Marszałka, jego przyjacielam.

"Rok temu echo samotnego strzału  
Każdy odpędzał niedbale od ucha,  
Strzał się oddalał, rozwiślał pomaz,  
Dziś go jak gromu z otchłani się słucha."

To wracała burza nad Polskę, której dalekie echo w przeszłości toczyło się nad rodzącym się dzieckiem, której nieszczęć się "wstrzymał na jedno pokolenie" człowiek dorosły, a która teraz miała wydzierać z ziemi dęby, ludzi, państwa i narody. I głosy z tamtej epoki stały się głosami z etchklani.



Po raz ostatni Piłsudski był w Żuławie w roku 1927. Miejscowość była wówczas poligonem wojskowym, a w okolicy odbywały się manewry. Miejscowi powitali Pierwszego Marszałka Polski jak należy, chlebem i solą. "Dawno nie jadłem żuławskiego chleba" - powiedział, skończowawszy, Piłsudski. Rozmawiał z ludźmi, którzy żyli jak dawniej w tej okolicy, żwili ryby w jeziorze Piorun i opowiedali przyjeżdżającym dziennikarzom niezbyt ciekawe historie z dzieciństwa Marszałka. "Nic tu nie ma ciekawego, ale w rodzinnej stronie to i wiatr pachnie" - powiedział gonąc Piłsudski. I obiecał stremu Zejmie, że "przyjedzie tutaj kiedyś sam". "Będziemy wtedy dawne czasy wspominać, popytam, gdzie kto pomański, a kto żyw..." Ale było to obietnica raczej kurtuazyjne, Piłsudski nie należał do ludzi sentymentalnych, żyjących wspomnieniami. Na znanym zdjęciu z dzieciństwa Ziuk siedzi w dość nonszalanckiej pozie na kanapie, z nią nieco naburmuszoną, jakby długo się kazał namawiać do pozowania. Obok starszy o rok Broniś obejmuje go opiekuńczo rękami. Oczy Broniś są marzycielskie i łagodne, trochę bezbronne. Oczy Ziuka patrzą nieustępliwie w obiektyw. Głęboko osadzone pod brwiami, spotykają się ze spojrzaniem oglądającego to zdjęcie po stu dwudziestu latach. Starszy chłopiec zepisał później w pamiętniku: "Ja zożanę patriotę i będę tym więcej starał się rozwijać i rozpowszechniać patriotyzm." Dorosły Józef pisał na rok przed powrotem z zesłania: "Wychowano mię tak, że wpojono we mnie wiarę w moje zdolności, a co za tym idzie, w niezwykle przeznaczenia moje. Wisra ta głęboko się we mnie wjadła, lecz zarazem nie wychowano mnie w wytrwałości, bez której na się rozumieć wiele zamiarów tylko zamierami pozostać może." Pisał także o goryczy, którą wywołuje w nim poczucie marnowania siebie, właśnie przez ten brak wytrwałości w pracy nad sobą. Był introwertkiem o silnej "skłonności do analizowania siebie", ale przede wszystkim stawiającym przed sobą zadania nie na miarę własnych sił realnych, lecz na miarę swojej wisry we własne siły. Z jednej strony - krytycznym wobec siebie, połączony z wysokimi wobec siebie wymaganiami, nieraz wymaganiami bezlitościwymi / o których wspomina / z drugiej niewzruszona wisra we własne możliwości sprostania postawionym sobie zadaniom i w służność swego myślenia i postępowania.

Życie Piłsudskiego było barwne i - jak sam lubił mawiać - awanturnicze. Życie Piłsudskiego, to historia Polski i historia Europy. Przewijało się w nim tysiące ludzi, najwybitniejszych, rzesze spiskowców i rewolucjonistów, armie żołnierzy, wyderżenis drobne i wielkie; wszystko to jest z Piłsudskim związane i nieraz w mniejszym lub większym stopniu od Piłsudskiego zależne. Ale najważniejszą historią jego życia, jest historia zmagania z samym sobą, zmagania o których pisze i mówi zawsze wtedy, gdy waży się losy jego pracy i losy Polaki. Gdy zamawiała się jego praca w PPS, gdy Strzelców wkraczających do Królestwa witała głucha cisza i trzask zamykanych okien, gdy podejmuje ryzykowny marsz swego pułku przez Ulinę do Krakowa, gdy armie bolszewickie płyną na Warszawę, gdy wyrusza do Sulejówka, by obalić rząd Witosa. Widzę to i piszę o tym jego wrogowie i przeciwnicy - Piłsudski jest zakamany, Piłsudski traci głowę, Piłsudski milczy, Piłsudski pałtry w stół i nie odpowiada, Piłsudski jest bliski samobójstwa. Pił-



sudaki sam podejmuje decyzje; jest w obliczu konieczności podjęcia decyzji rozstrzygającej los jego sprawy i jego samego - samotny, z własnego wyboru. Nieznany jest przypadek, by konieczność tę i odpowiedzialność przerzucił na kogokolwiek. Był introwertykiem zamkniętym w siebie, świat w świetle, przeciw światu. Charakter jego "nic s nic nie zmienia się, zawsze gbur, egoista i zarozumiały, i szczęście jego coraz bardziej go psuje".

Ten zamknięty w sobie świat ma punkty oparcia w idei, w "imponderabilich", silniejszych niż realis życia. Siły materialne służą ucieleśnieniu imponderabilii, są materiałem, któremu kształt nadaje idea. W życiu Piłsudskiego imponderabilia nabierają kształtu realnej rzeczywistości, to życie służy ich ucieleśnianiu. Z chaosu, z magmy życia, w którym "wszystko jest możliwe", życia poddanego "nieuchronnym prawom historycznego rozwoju" wyłania się granit, i ten granit ma kształt taki, jaki nadała mu wola Piłsudskiego. Ale ten świat zamknięty ma także inne, ludzkie i intymne punkty oparcia. Wilno, "miłe miasto". Żułów, w którym "wistr pachnia". Relikty ojczyzny, jak te woseczki z ziemią, które emigranci zawieźli sobie na pierś, by ją wysypeno na ich trumny w obcym kraju.

+ + +

Gdy nowy, wspaniały świat postawił stopę na gardle konającego starego świata, gdy ludzie ukryli w ziemi dziesiątki milionów zwłok, przez siebie pomordowanych ludzi, ziemia zaczęła masowo wyrzucać trupy. Prawdę mówiąc jest to przenośnia, ponieważ zwłoki zaczęli wygrzebywać sami ludzie. Nie wiadomo po co, nie w celach naukowych, żeby na przykład zbadała ją jakaś naukowa komisja. Buldożery wyorały zwłoki lwowskich Orląt. Topaty wyrzuciły na powierzchnię tysiące niemieckich trupów, sprzed lat i stuleci z likwidowanych na tzw. "ziemiach zachodnich" cmentarzy. Notatka z gazety popołudniowej, ciekawostka: czaszki wyciągnięte przez ciekawą ludność okoliczną ze starożytnego grobowca służyły do zabawy i straszania. Prasa sowiecka alarmuje: "dziesięć kilometrów od Symferopola rozkopano groby dwunastu tysięcy radzieckich obywateli, ofiar faszystowskich oprawców. Ktoś co noc szukał tam złota, rozbijając czaszki, ścigając z zębów korony." Tu dobrano się do żołnierskich mogił, tam znów ograbiono groby cywilne. Kobiety, które zaglądały ciekawie do kościoła w Wołczyńcu, po przejęciu armii sowieckiej, zobaczyły tam, wśród gruzu, jakięś nieboszczyka wywieszzonego z trumny, w kolorowych portkach. Był to Stanisław August. Później ten nieszczęsny król zniknął bez śladu.

Dochowała się wiadomość o ppor. Malickim, który w sierpniu 1919 roku jako dowódca kompanii 5 ppłeg. znalazł się w okolicach Żułowa i dowiedział się, że jakiś oddział wojskowy wyciągnął z grobowca zwłoki Joachima Michałowskiego, działa Piłsudskiego, w poszukiwaniu skarbów. Umieścił je więc w prowizorycznej trumnie, a po zdobyciu Święcian powrócił, by doprowadzić grobowiec do porządku i sporządzić tablicę. Żądza wzbogacenia jak wiadomo zawsze skłaniała określöną katagorię ludzi do ograbiania trupów. Spotkało to już mummie faraonów. Ale przysparzanie bogactwa odważnym nie jest głównym zadaniem nieboszczyków. Ludzka ojczyzna jest tam, gdzie pochowani są jego przodkowie, oczekujący w spokoju sądu ostatecznego. Gdy wydobywają się ze swoich grobów, możliwe, że oznacza to, iż czas Sądu jest bliski. Sarcza Piłsudskiego spoczywa jeszcze do dziś wraz ze zwłokami Matki w żołnierskim meuzoleum wilańskim. Nad nim, u góry rozpada się i kruszeja jak kości nieboszczyków stary cmanterz na Rossia. Wraz z nim rozpsada się i obraca w nicłość Historia, która nie jest profe-

sorską wiedzę piszących książki osobników w okularach, lecz formą, w której ludzka materia organiczna nabiera kształtu człowieka. Formę tę można zniszczyć buldożerem, ogniem, łomem. Gdy rozpadnie się już ostentycznie, masa ludzka wyleje się z niej, jak kazuza niepotrzebnej plazmy, i wsiąknie w ziemię.

Na czarnej płycie na Rossie płoną jeszcze niekiedy znicze i leżą świeże kwiaty. Nie wiem kto je zapala i kładzie. Nie wiem czy zdeje sobie sprawę z historycznego znaczenia tych drobnych czynności. Wiatr historii, ten sam, którym zachwycali się posci, suchy wiatr ze stepów, który wypala ziemię do jałowego popieliska, dmący przez świat jak średniowieczna zaraza, nie zdusił jeszcze tych wątłych płomyków pamięci, nadziei, człowieczeństwa. Jeszcze nie dziś.

Ciało Piłsudskiego spoczęło tam, gdzie ludzi wynosi historia i własna wielkość, razem z Kościuszką, Mickiewiczem, Słowackim, Batorym. Serce Piłsudskiego przykryła ojczyzna, zmiażdżona przez historię, pod niebem, z którego pałacy wiatr stepowy przepędził mickiewiczowskie, li-tewskie obłoki. Inny poeta Emigracji nazwał je "jeszcze jednym w ziemi ostrobramekiją ziarnem".

+ + +

W tymże roku 1919 Piłsudski był w Żuławia z bratem, po wyzwoleniu Wi-  
lnszczyzny od bolszewików. Po raz pierwszy od czasu, gdy około roku 1882  
sprzedano majątek na licytacji. Przedtem przyjechał tu na wakacje, mie-  
szkając w oficynie, osalałej z pożaru w roku 1874.

Wiadomo, że Piłsudski był biedny, przez większą część życia był do-  
skłonna biedny, wojnę światową przechodził niemalże w jednym mundurze i  
w jednym szyneliu, i w tymże mundurze i szyneliu paradował jako Kaczełnik  
Państwa. Później sprawił sobie parę nowych mundurów, w tym galowy, z orde-  
rami. Miał także kapelusz kupiony w jakimś sklepiu przez Becke, przed  
wyjazdem do Genewy na posiedzenie Ligi Narodów, a także cywilny garni-  
tur do tego kapelusza i jesionkę. Nie znaczy to oczywiście, że był ja-  
kimś abnegatem, który chodził w byle czym. Jego potrzeby były niewielkie  
i skromne, a jego pogarda dla pieniądza i posiadania naturalna i auten-  
tyczna. Ojciec Piłsudskiego natomiast był bogaty, a nawet bardzo, jak na  
swoją okolicę, bogaty. Wielkość jego majątków na Litwie i Żmudzi, w tym  
Żuławia, Teneni i Sugintów, biografowie różnie oceniają, w dodatku w dzie-  
sięcinach, morgach i hektarach. Prawdopodobnie było tych hektarów około  
14.000, w większości wnieślionych jako wiano przez żonę z rodu Billewi-  
czów. Wydaje się, że pogarda dla pieniądza i posiadania była u ojca nie  
mniejsza niż u syna, a tym bardziej godna podziwu, że Józef, gdy wkraczał  
w życie dorosłe, nie miał nic, zaś pod koniec życia, jako postać już hi-  
storyczna i pomnikowa, jako człowiek rządzący nie najniższym krajem  
Europy, dorobił się jednak z własnej pracy domku w Sulejówku / mająte-  
czek w Pikieliszkach pochodził z nadzieją dla osadników wojskowych /,  
podczas gdy ojciec rozpoczynający od wielkiego majątku, skończył na tym,  
od czego zaczynał syn - to znaczy na ousty kieszani.

Dawniejsze biografie przedstawiały ojca Marszałka jako wzór patrio-  
tycznego gospodarza, jakiegoś pioniera postępu i nowoczesności, orzeź-  
dowanego przez Moskali oraz wyjątkowego pecha. Taki bardziej pasował do  
wizerunku Ojca-Polaka. Jednak postać jego jest bardziej sympatyczna tak-  
że, jaką była w rzeczywistości. "Gdy chodziliśmy z ojcem do lasu - opo-  
wiadał Marszałek Sławojowi - Ojciec lubił chować się i petrzeć co z te-  
go wyjdzie. Z początku nic, nikt nie zauważył niabobności Ojca, ale powo-  
li zaczynaliśmy Go wołać, a gdy to nie pomagało, krzyżać, wreszcie dzieci



ogarniała panika. Wtedy reakcją moją było, że rodzeństwo wyprowadzę z lasu do domu. Sam nie wiedziałem jak, ale przyrzekałem im to święcie." Nie zdziwiłbym się, gdyby w czasie takich zabaw zdarzyło się, że pater familias zapomniał o zgubionych dzieciach i udał się zamysłony do domu. Był człowiekiem o usposobieniu męczycielekim, zdaje się, że rzadko chodzącym po ziemi. Bronisiowi niezbyt wiodło się w szkole. 14 czerwca 1883 roku martwił się cały dzień, nie je ze zmartwienia, bo nie zdał egzaminu do 7 klasy i nie wiadomo, co z nim będzie. 15 czerwca "...tattoo grał. Tatko skomponował polkę i mazurkę-polkę, którą ciągle gra, a także jakiegoś walca." 3 lipca wciąż nie wiadomo, co z Bronisim. Nie je, martwi się. "Tatko także winien bardzo, bo choć ma wiele kłopotów, to ten należy do głównych, tak i mama mówiła i tatko sam mówił, ale skończył na gadaniu... Żaby mama była zdrowa, to poszłaby i zrobiła co można, dowiedziała się, a teraz nic, tak nic, tak wszystko się u nas robi... Tatko zupełnie nie do takich rzeczy stworzony, coś, rozum ma prawdziwie mądrego człowieka, zdolny, pisać mógłby, prawieć cokolwiek także, gra prześlicznie, esm komponują... A jednak do rzeczy prostych, ale gruntownych, nie ma charakteru..."

Piłsudski-ojciec zakładał w Żuławie cegielnię, drożdźownie, gorzelnię, terpentyniarnię, sadził drzewa w parku, zaciągał pożyczki. Róbił to, co zapewne - jako człowiek inteligentny i obdarszony dużą kulturą - uważał, że robić mu należy dla pożytku własnego i ogólnego. Pchał go do tych inwestycji i przedsiębiorzeń nieposkromiona, artystyczna inicjatywa, potrzeba twórcza, wyprana z zimnej interesowności i skonomicznego wyrachowania. Jego wiedza gospodarcza i rolnicza była wiedzą artysty-inteligenta, zapewne szeroka i nawet głęboka, ale oderwana od realiów miejscowego i krajowego życia. Kolejne inwestycje robiły niespodziewanie klępkę, przynosiły deficyt, zaciągał więc pożyczki hipoteczne, by realizować nowy, jeszcze lepszy pomysł. Gdy pożer strawił dwór i wiele budynków gospodarczych, fabryki i stajnie w Żuławie, hipoteke jego posiadłości okazała się tak obciążona, że nie było mowy o zaciągnięciu nowych pożyczek na odbudowę. Kolejno majątki Piłsudskich szły pod młotek. Rodzina przeniosła się do Wilna, gdzie mieszkała skromnie, kilkakrotnie się przeprowadzając. Mieszkał Piłsudscy naprzód przy ul. Trockiej, potem św. Anny, po czym przy ulicę Bakszty i wreszcie w zupełnie małym domku parterowym przy ul. Nadbrzeżnej. Po śmierci żony, 2 września 1884 roku, pochowanej w Sugintach na Żmudzi, w rodzinnym grobowcu Michałowskich, oraz po pozbyciu się resztek majątku, Piłsudski-ojciec wyjechał do Petersburga by objąć dyrektorstwo fabryki likierów. Tam w roku 1902 zmarł i pochowany został na katolickim cmentarzu wyborskim. W 1936 roku, spełniając testament Marszałka, sprzedano prochy jego Matki do Wilna i złożono na Rossie, wśród żołnierzy poległych w wojnie bolszewickiej. Ojciec pozostał w "Leningradzie", i przyznam, że nie wiem, czy jest tam jeszcze jakikolwiek ślad jego grobu.

Piłsudski powiedział, że po Ojcu odziedziczył zdolności, po Matce - charakter. Trudno powiedzieć w jakim stopniu na jego charakter złożyły się właściwości odziedziczone po matce, w jakim zaś ukształtował go jej wpływ wychowawczy. Wydaje się, że z ojcem nie łączył go zbyt bliski stosunek uczuciowy. W liście z lipca 1890 roku, pisanym z Irkucka, pobrażmie- wa nawet nutę pewnego lekceważenia: "...backa mój nie odznacza się rzę- dnością, a co główna uczciwością w wyborze środków, chciałem więc po przybyciu do kraju backę usunąć, a samemu wziąć się do pracy, nie chcę, by odpowiedzialność za koniec naszych majątkowych interesów spadła i na mnie, gdyż backa rządzi mając moją plenipotencję." Na szczęście władza rosyjska nie puściła Piłsudskiego przedwcześnie z zesłania, a gdy wrócił było po kompromis. Kto wie bowiem, czy w innym biegu rzeczy ziemia litewska nie zyskałaby zapobiegliwego gospodarza, w miejsce re- wolucjonisty, Komendanta, wodza i Naczelnika.

O wpływie matki na kształtowanie się postawy Piłsudskiego napisano wiele, może ten wpływ przesadzając, a może nie przesadzając. Pewne schematy biografii patriotycznych: Matka-Polka, tajemna lektura wieszczów, rodzinne tradycje insurrekcyjne - łatwo przemieniają żywą prawdę w banalny frazes, pusty slogan. Dwory szlacheckie na Litwie były "nieprzejednanie patriotyczne". Dwory szlacheckie w pozostałych częściach Polski były także patriotyczne, choć nie tak często nieprzejednanie. I był to w tych dworach kanon wychowania, tak jak dziś kanonem wychowania jest uświadomienie seksualne i telewizyjne seriali. Skutki tego wychowania były głębokie lub powierzchowne, wyrastali patrioci lub renegaci, ludzie traktujący idee patriotyczne poważnie i frazesowicie. Ideały wychowawcze dzieciństwa wydają się puste i dęte, gdy pod ich wpływem nie tworzy się realna osobowość i realne dążenie ludzkie, uzewnętrzzona w działaniu. Ideały wychowawcze dzieciństwa muszą ustępować pod naciskiem tendencji i mód, powstających daleko od wiejskich dworów.

Społeczeństwo polskie końca XIX i początku XX wieku w swej masie wdrożyło się do niewoli i porzuciło myśl o niepodległości, o s a m o d z i a l n o ś c i. Toteż kanon wychowania patriotycznego, choć traktowany z sentymentem i szacunkiem, odesłał na zawsze do pokoju dziecięcego, pomiędzy baśnią, z których się wyrasta.

W istocie powstanie styczniowe było czymś znacznie więcej, niż załamaniem się dążeń niepodległościowych, które otworzyło drogę do rozkwitu tendencji serwilistycznych. Czymś więcej nawet, niż fizyczną śmiercią idei Rzeczypospolitej. Było przełomen. Końcem jednej, i początkiem nowej, do dziś trwającej epoki. W historii innych narodów i państw europejskich przedtem ten nie zawsze był tak wyraziście, gdyż nie był zaznaczony tak symbolicznym i wstrząsającym wydarzeniem. Wyraźnie widział to i pisał o tym Adam Asnyk, człowiek epoki starej i ginącej, który ją przeżył.

"Świat dawny tonie w legendowym mroku  
Z całą rozwiąną swoich marzeń tęczą...  
/.../  
Na widnokręgu gesnących pokoleń  
Snują się jeszcze idealne mary;  
Brzmią dotąd hasła duchowych wyzwoleń,  
Hymny poświęceń, bratarstwa i wiary;  
Jeszcze gdzieś gdzieś jaki rycerz stary  
Nad głowę wznosi sztandar swój niezłomny,  
I na wyłomie ginie bezpotomnie!  
/.../  
Ale już nowe, rozkiszlnone siły  
Światła niebiańskich widzeń pogasiły,  
I nad mdlejącym dziś królestwem ducha  
Noc się rozszerza, ponura i głucha.  
/.../  
Precz z marzeniami dziecięcego wieku,  
Co ponad ziemskie wlatują wybrzeża!  
Precz z urojeniem anielstwa w człowieku!  
Górą konieczność, co losy odmierza  
Wedle sił, zachceń i zmyślności zwierza!  
Precz z ideałami! dziś przewodzą światom  
Bóg ślepej woli... bóg chaos... bóg atom!..."  
/"Na przełomie!/"

W wierszu "W 25 rocznicę Powstania 1863 roku" czyn powstańczy jest ostatnim czynem spokoju, "...dzieckiem ostatnim epoki, /Która tradycję przechowując żywą / Z dumnej przeszłości czerpała swe soki..." W której "idealne mary", "rycerskie pieśni", "kłątwa wieszczów" i "narod-

wa duma" nie były jeszcze opowieściami dzieciennego pokoju, lecz istotnymi czynnikami kierującymi życiem i działaniem narodu. Lecz:

"Nastała nowa epoka, z obliczem  
Nieubłaganem, lodowatym, chmurnem;  
Jej bóg jest owym niewzruszonym niczem  
Pozerającym swe dzieci Saturnem,  
A jej religia, dziką tchnąca grozą,  
Drapieżnej siły jest apoteozą.  
/.../  
I u nas przyszło nowe pokolenie  
Wpatrzona w ziemię z chłodem i rozważą...  
/.../  
W twardej niaszczenia urobione szkole,  
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodczy;  
Krepuje skrzydła młodości sokole,  
W każdym porwie z siłami się liczy,  
I wchodzi z prądem dziejowym w przymarze..."

W niewielkiej pracy "Jak stałem się socjalistą" Piłsudski poświęcił spory fragment kształtowaniu się swoich dążeń w dzieciństwie, pod wpływem matki, lektury Krasieńskiego i Słowackiego, i pod wpływem realnej rzeczywistości, która polegała na tym, że "w owym czasie Rosja wylała na Litwę szumowiny swoje, najpodlejsze elementy, jakie posiadała, a opowiadania o kajdectwach i barberzyństwie tej hordy Murawiewa były na ustach wszystkich."

Jako "poasessionetus" Piłsudski mógłby długo nie zaznać "żadnej troski - gdyby nie jeden zgrzyt": "tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 r."

"Matka, nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zewodów z powodu upadku powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc właśnie naciek na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Oprócz poetów romantyzmu wpływ na Piłsudskiego wywierały "książki opisujące byt narodów klasycznych - Graków i Rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o ojczyznę i opisami bohaterkich czynów.../.../ Wszystkie moje marzenia koncentrowały się wówczas koło powstania i walki orężnej z Moskalami..."

"...Matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielną i niezależną myśl i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formułowało się w sposób następujący: tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je baz względu na skutki wyznawać czynem."

Przekonanie Piłsudskiego, wytworzone wówczas, to właśnie owe "idealne mury", "hymny poświęceń, braterstwa i wiary", które "gasnące pokolenia" prowadziły na śmierć, a które pokolenia współczesne odeszły do pokoju dzieciennego. Imperatyw moralny, wytworzony wówczas, to "wyznawać czynem" bez względu na skutki, to przekonanie. Bez względu na to, czy jest to przekonanie większości, czy nielicznej garstki, czy wręcz uznane za śmieszny anachronizm. W ostatnich latach życia powiedział Piłsudski dziennikarzowi: "pan powinien byłby znać mnie o tyle, że ja zwykle myślę inaczej, niż przeważnie myślą ludzie."

/ Hm... Zdaję sobie sprawę, że rozważania niniejsze muszą być dla współczesnego czytelnika dziwne i całkowicie niezrozumiałe. Nie tylko dlatego, że w obliczu wszechwładzy zebobonu, ciemnoty, masowej indoktrynacji, ugniatającej mózgi jak plestelinę telewizji, wobec rzeczywistego istnienia zjawiska zwanego świadomością zbiorową, czyli świadomością terytoryjną, samodzielność myśli jest również często spotykane, jak zielone słońca. Nawet i n d y w i d u a l n o ś ć my-



ślenia jest trudną do wyobrażenia. A co więcej naród, poczyniwszy znaczne postępy w przyswajaniu postawy biernej i serwilistycznej, nie tylko nazwał się "społeczeństwem", ale najhaniebniejszą i najdotkliwszą klęską swych najskromniejszych i najbardziej nieporadnie wyrażanych dążeń przywykł nazywać "zwycięstwami", by odsunąć od siebie niebezpieczeństwo bódźca, mogącego niektórych przynajmniej pobudzać do działania, niebezpiecznego i sprzecznego z ideałem życia w termitierze, groźnie życie to zemacającego. /

W tej samej pracy Piłsudski napisał: "A gdy zastanawiał się nad narodem, z którym wiązało mnie wszystko, co ciąży i co boli, /.../ przychodziłem do przekonania, że moje dzieciinne marzenia i rojenia zepalają się z moim młodzieńczym światopoglądem."

"Zrozumiałem wówczas, że /socjalizm/ nie jest tylko ideą szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego..." /.../ Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości i kreju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce."

"Merząc ciągle o powstaniu, zacząłem się wówczas zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udały." Rozważania nad tym problemem doprowadziły Piłsudskiego do przekonania, że Polska nie była zdolna wyzwolić takich sił i dsterminacji, jakie wyzwoliła na przykład rewolucja francuska. Nie zdołała poruszyć w imię niepodległości mas, walcząca garstka, wobec biernej i obojętnej, lub przerażonej większości. W tym czasie ruch rewolucyjny wrzał i bulgotał w Rosji, w Europie, jak w przykrywym kotle - tylko nie w Polsce, owładniętej apatią. Porównania z Polską były dla Piłsudskiego "upokarzające".

W przyszłości zastanawiał się on wciąż nad sprawą powstania styczniowego, innych powstań także, ale styczniowego w szczególności. "Znamiętej pracy "Zarys historii militarnej powstania styczniowego" analizował wojskowe przesłanki klęski. Marzył o powstaniu, ale o powstaniu zwycięskim. Tak właśnie Polakom pojęcie "manifestacji", "demonstracji zbrojnej", wiara w cud i czyjąś szlachetną i bezinteresowną "pomoc", jakiejś dobroczynnej potencji - były mu zupełnie obce. Był tym, który "liczył się z siłami" i "wchodził z prędem działającym w przymierze", ale liczył się z siłami po to, by wytworzyć je w celu nie innym, jak właśnie realizacji "idealnych marzeń" starej epoki, pogrzebanych przez pokolenia "wpatrzona w ziemię". Nowoczesne działanie nie tylko postawił w służbie odwiecznych idei, ale podporządkował ponadczasowym wartościom moralnym, "imponderabilium" - dążeniu do wolności, godności człowieczej, sprawiedliwości - która w ciągu tysiącleci stworzyła człowieka, podniosła go ponad poziom gruntu, ponad "instynkt i moc zwierza", i uczyniła z trewiennych worków istoty myślące.

+ + +

Doktrynę socjalistyczną, jak zresztą wszystkie doktryny, traktował Piłsudski z "brutalną pogardą". Na zesłaniu przeczytał pierwszy tom "Kapitału". "Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wielkie wrażenie" - zauważa. Dziś na takie bluźnierstwo zetrząsłby się ze zgrozy nie tylko każdy socjalista, ale wogóle każdy postępowiec. W roku 1903 "Kapitał" nie awansował jeszcze do rangi Talmudu.

W innym artykule, z "Walki", z roku 1902, "O patriotyzmie", Piłsudski rozróżnia patriotyzm zaborczy, szowinizm i patriotyzm "obronny". Patriotyzm zaborczy "jest obecnie hasłem politycznym w większości wielkich mocarstw europejskich /.../ Pcha on narody do bratobójczej walki podbija kraje i wysysa je jak pajak muchę." W istocie nie jest to patriotyzm, lecz przykrywa dla imperializmu rządów i klas posiadających, narzędzie polityki zaborczej. Sprzyja mu inna odmiana fałszywego patriotyzmu, narodowy szowinizm, przeciwstawiający np. Polaków Litwinom i w ten sposób skłócający pomiędzy sobą prześladowanych i wzmacniający zaborców.

Czym innym jest patriotyzm obronny, patriotyzm podbitych i uciskanych. "Wywołuje go napaść i w odpowiedzi na nią zespala on ludzi chęć obrony. /.../ ...dąży /.../ do naprawy krzywdy popełnionej i walczy o jedno ze starganych i zdeptanych praw człowieka."

"Patriotyzm zaborczy tak jest spreczny z najprostszym poczuciem sprawiedliwości, tak zatruwa atmosferę moralną wśród zaborców, a życie wśród ujarzmionych, że przeciwko niemu wypowiedzieć się musi każdy porządny człowiek, bez względu na swe przekonania. Wśród socjalistów zaś dwóch zdań pod tym względem być nie może."

Jednak właśnie wśród socjalistów były na ten temat zdania odmienne. W odniesieniu do kwestii patriotyzmu polegało ono na zupełnej negacji tego czynnika, jako sprzecznego z dogmatem kosmopolitycznej solidarności klasowej. Toteż nie tylko potępiało ono wszelkie odmiany patriotyzmu, ale i zasadę nar. odowej niepodległości. Artykuł Piłsudskiego był jednym z tych, którymi walczył on o zwycięstwo tej zasady, sprecznej w sposób oczywisty z doktryną, i o zwycięstwo nurtu niepodległościowego w polskim ruchu socjalistycznym.

Niatrudno zauważyć, że argumentacja Piłsudskiego nie ma nic wspólnego z podejściem doktrynalnym. Wysuwa on na czoło czynnik moralny, bunt przeciw niesprawiedliwości i złu, którym jest ujarzменение i ucieszenie jednego narodu przez drugi. Piłsudski szukał buntu przeciw niesprawiedliwości i uważał, że gruntem dla niego mogą być nie te warstwy społeczeństwa, które głośno deklaruja patriotyzm, lecz te, które niesprawiedliwość odczuwają najdotkliwiej. Patriotyzm warstw uprzywilejowanych musi siłą rzeczy ciążyć i wyradzać się w kierunku ugodowości. Przywilej zawsze zwycięża ideę. W istocie lojalistyczne zwyrodnienie najsilniej dotknęło wyrosłą z niepodległościowej i patriotycznej Ligi Polskiej Miłkowskiego endecję. Z drugiej strony talmudystyczny nurt socjalizmu, który ostatecznie zdominował partię na zjeździe wiedeńskim, zmierzał coraz otwarciej w kierunku ścisłego doktrynaryzmu. Celem tego nurtu było, całkiem po prostu, nie walka ze złem w życiu społecznym, lecz ustanowienie nowego porządku, "ustroju", wedle litery doktryny. Ustroju zaplanowanego przez koryfeusz tego przewdziwego tumora mózgowego na umyśle ludzkości. Narzędziem obalenia starego porządku i głębią dla uformowania nowego, miał być ten sam proletariatus, którego naturalny bunt przeciw złu i niesprawiedliwości stanowił energię napędową wszelkich doktrynalnych machin ostatnich stuleci.

Piłsudski reprezentował "patriotyzm obronny", interes narodowy polski, ale opierał się na uniwersalnych przesłankach moralnych, na elementarnych zasadach moralnych, nadejających jego dążeniu charakter ponadnarodowy, charakter fundamentalnej walki ze złem i niesprawiedliwością, w jej najbardziej dotkliwej i zwyrodniałej formie - ucisku narodowego, niewoli. Trzeba powiedzieć, że te właśnie czynniki - wrażliwość na zło i niesprawiedliwość, sprzeciw i walka z nimi, przyciągały do ruchu socjalistycznego jednostki moralnie wartościowe i czynne, pragnące działania. Na nich oparł się Piłsudski, i ci ludzie poszli za nim, a nie za doktrynerskim kierownictwem partii, staczającej się w rezultacie w bolszewizm. Wybór zaś nie był wyborem "ideologicznym", "świątopogodowym", lecz wy-

łącznie wyborem moralnym. Człowiek obdarzony elementarnym poczuciem moralnym nie mógł wybrać doktryny, szedł za Piłsudskim.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że niepodległościowe nastawienie pewnej części PPS w Polsce niepodległej i potem, w czasie II wojny światowej, w kraju i na emigracji, było skutkiem oddziaływania Piłsudskiego w początkach istnienia partii. Wszczął on w jej tradycję nie tylko i d e ś niepodległości, ale i wrażliwość na czysto ludzki, moralny aspekt tej idei.

Piłsudski w oczach sporej części społeczeństwa, tzw. "prawicowego", uchodził za "czerwonego". Piłsudski wykazał swoim życiem zupełną, absolutną odporność na wszelkie infekcje doktrynalne. Siłą woli i ducha przewyższającą moc zarazy, także zarazy czerwonej. Nie mogła tego zrozumieć, i do dziś zrozumieć nie może, zarówno "prawica" jak i "lewica".

"Czerwoną, bolszewicką dżumę zwalczałem od chwili jej powstania jak umiem i mogę" - niepisał Marian Zdziechowski. Piłsudski wielokrotnie wyrażał publicznie pogardę i lekceważenie bolszewickiej propagandy i bolszewickiej "ideologii" zarażającej umysły. Nie uważał jej za groźną dla Polski. Obaj nie tylko nie ulegli zarazie, ale nie mogliby zrozumieć jak można ulegać oczywistemu zwyrodnieniu. Zdziechowski widział, że w społeczeństwie "czerwona dżuma" eieje spustoszenie, rozprzestrzenia się nieubłaganie i nieustannie. Piłsudski nie potrafił dostrzec słabości innych, przywykłły mierzyć rzeczywistość swoją miarą.

Keżdą biografią Piłsudskiego. poprzedza długi wywód przodków i koliczacji. Dziś, gdy pojęcie szlachty i arystokracji przeszło do historii, i to z nienejlepszą opinią, wydaje się to być ozdobnikiem, ciekawostką bez znaczenia. Rodowód żadną chwały Piłsudskiemu nie przydaje, co najwyżej za on rodowadowi.

Dwudziesty wiek wogóle wyrwał człowieka z ziemi, dążąc do pozbawiania go ojczyzny, a nawet samego pojęcia ojczyzny. Słowo to kojarzy się głównie z państwem, obowiązkową służbą wojskową, granicami otoczonymi kolczastym drutem. Komunizm przekształcił człowieka w koczownika, wegetującego jak zwierzę w blokowiskach, we wszystkich czując się tak samo, to znaczy obco. W komunizmie człowiek nie ma nie tylko genealogii, ale i miejsca, które mógłby nazwać własnym. Ma tylko pochodzenie społeczne.

Pojęcie ojczyzny wytwarza się nie tylko w oparciu o poczucie wspólnoty z pokoleniem żyjącym razem, na określonym terytorium, ale przede wszystkim w oparciu o świadomość, iż pokolenia o j c ó w terytorium to kształtowały, pozostawiając materialne ślady swej kultury, swej duchowości, swego ludzkiego istnienia. Pojęcie ojczyzny jest czynnikiem kulturotwórczym, czynnikiem tworzącym cywilizację, jest nieodzownym warunkiem cywilizacji. Pojęcie ojczyzny, jako duchowszej więzi łączącej przestrzeń materialną z przestrzenią historyczną, kulturową i duchową ucłłowicze istotę ludzką. Jest czynnikiem ideowym, który wyzwala w nim ofiarności, tłumia egoizm, poszerza horyzont poza względy materialnego interesu, uświadamia prosty fakt, że w s p ó l n o t a j s d y n i e c z y n i jednostkę człowiekiem, że staje się on człowiekiem tylko poprzez życie we wspólności i poprzez i d e ś wspólnoty. Gdy pojęcie ojczyzny



jest zastępowane przez pojęcie własności, oznacza to początek rozkładu cywilizacji. Gdy pojęcie ojczyzny przechodzi w sferę pojęć biurokratyczno-administracyjnych, czy policyjnych, oznacza to, że powstaje formacja antycywilizacyjna.

Genealogia wytwarza w sposób intensywny pojęcie ojczyzny. Wiąże się z tym silne poczucie krzywdy, która wyrządzone jest właśnie ojczyźnie, niekoniecznie jednostce, i rodzi imperatyw moralny postawienia ojczyzny ponad własny, indywidualny interes. Genealogia wytwarza poczucie dumy i godności, a także poczucie odpowiedzialności nie tylko za siebie, ale za całą wspólnotę, którą pojęcie ojczyzny ogarnia.

Poczucie godności było od dziecka niezwykle silne u Piłsudskiego. Później wciąż powraca do tego pojęcia, do słowa "honor". "Gdy władza królewska się chwiewie, gdy nadchodzi nowa epoka, zamiast symbolów, które z niaba brały swój początek, zostaje surrogat cnoty: honor." Indywidualne poczucie honoru jest w tym ujęciu elementarnym drogowskazem moralnym, jako przede wszystkim zobowiązanie wierności zasadom i powinnościom ludzi.

Honor nie pozwala przyjmować zniewag. "Ziuk dziś z rana gniewał się na mnie strasznie /.../ za to, że wykrzyczałem go, że bez uwagi bije się i dziś Buszowi dał z całej siły w policzek za to, że ten dotknął się jego twarzy kajetem" - zapisał Bronisław.

"Poprowadzili nas do cerkwi /.../ Karpiński kazał wszystkim gimnazjstom całować krzyż. /.../ Jednakże wielu odchodziło nie całując. Ziuk i Busz nie całowali."

"Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki. Uczucie przynęcenia, uczucie niewolnika, którego każdej chwili jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim."

Przeżycia gimnazjalne Piłsudskiego nie odbiegały od podobnych przeżyć tysięcy innych uczniów, upokorzenia nie były większe niż upokorzenia innych. Ale tą wyrazistość i wymiar ponadprzeciętny nadawało im rozwinięte poczucie godności, nie znoszącej upokorzeń. Nie można tych przeżyć nawet porównać do tego, co bez szemrania a nawet bez poczucia upokorzenia znoszą codziennie współczesne pokolenia Polaków. Te same kłamstwa "o Polsce, Polakach i ich historii" przyswoiły sobie one jako zdania własne, i nie "słuchają" ich, lecz wygłaszają. Deptanie godności można znosić w milczeniu wówczas, gdy nastąpi wyzbycie się jej poczucia.

W roku 1956 Stanisław Cat-Mackiewicz wyjaśniał swoim czytelnikom w PRL, że "poczucie honoru w naszym pojęciu w Anglii nie istnieje". Honor - to po prostu order, lub nadanie szlachectwa, "pojęcie honoru, tak żywe i zrozumiałe dla Polaka /.../ w tym kraju... jest wogóle niezrozumiałe".

Było to trzydzieści lat temu. Mackiewicz wrócił z Anglii. W PRL nie utożsamiono w każdym razie pojęcia "honoru" z nadaniem orderu "budowniczoego Polski Ludowej". Po prostu przestano używać tego słowa. Za to kilka lat temu często powtarzano słowo "godność".

+ + +

Zułów jest pojęciem historycznym, punkcikiem na sterych mapach. Nie jest "narodową pamiętką". Jest słowem, które można napisać, powiedzieć, wydrukować. Jak wiele innych słów. Ma znaczenie tylko jako słowo, określające miejsce, w którym urodził się i spędził dzieciństwo Piłsudski.

Gdy jeszcze żył, Zułów wracał w jego wspomnieniach, w okolicznościach nieraz niezwykłych. Pięć lat przed śmiercią wspominał Zułów w rozmowie z dziennikarzem /Bogusławem Miedzińskim/.

"Jak pan wie, urodziłem się w Zułowie, dużym dworze pod Wilnem. Jak zwykle wyprawiano tam doroczne dożynki. Dożynki w Zułowie robiono obficie i suto, z mnóstwem "wódeczności", gdyż ojciec prowadził i wielką gorzelnię. Co do mnie, malca, byłem szczególnie zajęty zawsze przyglądaniem się tańcom. Nie mogłem bowiem zrozumieć, dlaczego parobcy ciężkimi butami nie zmiżdzą bosych stóp dziewcząt. Wydawało mi się to niemożliwe. To było moje zajęcie. Oczywiście, z biegiem dożynek wrastała coraz bardziej ochota i humor. Pamiętam, że pewnego roku dzieci trzy razy prosiły rodziców, by ich nie kładziono do snu, tak bardzo dożynki były huczne i ochocze. Wreszcie, gdy zupełnie ściemniało, po sutej kolacji, stanęto znowu do tańca. Zagrało równocześnie sześć harmonij: odchodziła "lewoniche". Sześć harmonijek grało od ucha. Ojciec mój, bardzo muzykalny człowiek, krzywił się, jakby jadł cytrynę; w pewnej chwili zobaczyliśmy skaczącego do góry naszego kuchcika, który wywijsał rękami i olbrzymią miednicą nosiejącą do smażenia konfitur - i nagle wielkim modzierzem zaczął wybijać takt, niezgodnie ze wszystkimi harmonijkami. Ojciec przerażony tą okropną kakofonią, podszedł do niego i zapytał: - "Joachimku, co ty robisz?" - "Panie, panie - byle szum, byle szum!" - odrzekł rozhułany Joachimek. Ojciec odszedł zawstydzony."

I Piłsudski dodaje: "Ileż to, proszę pana, u nas znowu uporczywych Joachimków się nezbierało!" - gdyż to porównanie, zaczerpnięte ze wspomnień, posłużyło mu do scharakteryzowania hałaśliwej i nieskoordynowanej z życiem państwa działalności sejmowej opozycji. W wywiadzie tym Piłsudski wyjaśnia: bowiem motywy sresztowania i osędzenia w Brześciu byłych posłów opozycji.

I w tym wywiadzie pojawia się słowo "godność". Mówiąc o ewanturowaniu się niektórych działaczy przy sresztowaniu /"p. Dębski wybił nawet szybę w samochodzie"/ - Piłsudski dodaje: "P. Witos zachował się przez cały czas tak spokojnie, że przy powszechnej nieprzyzwoitości i draństwie może być uważany za zaszczytny wyjątek. Zachował godność człowieka w sobie."

Witos zachował dle Piłsudskiego szczególnie zaciętą nienawiść, choć w Brześciu był traktowany stosunkowo przyzwoicie. Jest to, z ludzkiego punktu widzenia zrozumiałe. Brześć kończył kampanię Piłsudskiego przeciw opozycji, ostatnią kampanię, jaką stoczył. Dzisiaj i Brześć i Zułów leżą na terytorium "Związku Radzieckiego".

"Wszystkie moje marzenia koncentrowały się koło powstania i walki odrębnej z Moskalami..." Te słowa, tak oczywiste dla polskiego ucha kilkudziesięciu lat temu, brzmią dziś jak głos z otchłani.

Europa, ongiś centrum świata, urządzająca ten świat prawem i lewem wedle swego upodobania, przelstoczyła się w obumierający, anachroniczny wyrostek, i jak każdy rozkładający się organizm, miała się ogniskiem zarazy, rozprzestrzeniającej się po świecie. Zarazę jest paraliż poczucia moralnego, utemożliwiający odróżnienie dobra od zła, i paraliż woli, wzbraniający walkę ze złem. Europa pragnie "współistnieć" z komunizmem, cokolwiek by to słowo miało oznaczać i surowo karci tych,

którzy komunizmowi chcieliby się przeciwstawić, już nie tylko siłą, ale wogóle przeciwstawić.

Chrześcijańska Europa stworzyła nowy Dekalog, którego pierwsze przykazanie brzmi: "będziesz troszczył się o swoje życie i cenil je ponad wszystko". Ojcowie ludzkości i moralne autorytety ogłaszają, iż najwyższą wartością jest życie ludzkie, a zatem najwyższym dobrem, dostępnym człowiekowi, jest pokój, za każdą cenę. Hasło to tak głęboko wniknęło w świadomość Europejczyków, że każdy, kto chciałby nie tyle podważyć jego słuszność, ile poddać w wątpliwość, uznany musi być za wariata. Hasło to wyraża w istocie, w sposób eufemiczny i nie rażący ucha wierzących i niewierzących, zasadę, iż nie istnieją żadne wartości ani powinności, nie istnieje nic, za co warto byłoby oddać życie. Zasada ta nie jest sprzeczna z ludzkimi skłonnościami. Dziwne może się wydawać jedynie, że moralny nihilizm /bo do tego się ta zasada sprowadza/ głoszony jest przez tych, którzy uważają się /a przynajmniej występują oficjalnie w tym charakterze/ za wyznawców Chrystusa i następców Jego Apostołów. Dziwne może się także wydać to, że hasło to itę zasadę wyznaje tylko część ludzkości, syta i dostatnia, której przypada w historii rola łupu. Inna część ludzkości podlega władzy całkiem odmiennej zasady, mającej życie ludzkie za nic, a nawet przeczącą jakiegokolwiek wartości jednostki ludzkiej wobec "społeczeństwa" i wobec historycznych "procesów". Tej części ludzkości przypada rola grzebiący i zbira, i z nią pragnie "współistnieć" pacyfistyczna Europa.

Odkąd na ławach trybunału norymberskiego zasiadli najwięksi ludobójcy i zbrodniarze w historii, nie jako oskarżeni, lecz jako sędziowie, by sądzić innych ludobójców, i obok nich zasiadli przedstawiciele "wolnego świata", jako ich przyjsciele i sojusznicy, Europa postawiła kropkę nad "i" - przyjmując na siebie współudział w ich zbrodniach - za cenę pokoju. Odtąd istotnie nie można już określić ceny, która byłaby za wysokie, aby kupić pokój. Z pewnością dla Europy nie jest to cena krwi Wietnamczyków, Afgańczyków, Nikaraguańczyków, Etiopczyków i milionów innych, podobnie egzotycznych plemion. To cena niska, tak niska, że można do niej dorzucić jeszcze krew Węgrów, a także Polaków, gdyby było to konieczne. Lecz strzały w Polsce rozlegałyby się zbyt głośno dla Europy, tuż za oknem, budząc spokojnych Europejczyków po nocach i nieosąc strach. Fotecz Europa, gorliwie jak nigdy dotąd, przekonuje Polaków, że też są Europejczykami, i wyznawcami nowego Dekalogu - lepiej być niewolnikiem, niż trupem, obojętnego koloru.

Polska jest częścią Europy. Polska ogląda w telewizji ludzi walczących i umierających gdzieś w świecie; walczących w imię wolności i walcących się w wykopane doły nieprzerwanym od siedemdziesięciu lat szeregiem ofiar bolszewizmu. Polska ogląda w telewizji uśmiechnięte, cywilizowane, ucharakteryzowane pod europejski gust oblicze komunizmu i nie życzy sobie wiedzieć, że prawdziwe, bandyckie i zbrodnicze jego oblicze oglądają co dzień, przed śmiercią, miliony ludzi w dalekim świecie. Odległości na ziemi bynajmniej nie mająją wraz ze wzrostem szybkości samolotów. One rosną, jak nigdy dotąd i sięgają już skali planetarnej; światy oddalają się od siebie z szybkością światła. Polskę widzi walczących i mordowanych, w telewizji, ale sama głosi europejską zasadę nieprzeciwstawiania się n i c z e m u siłą. I czuje, że wreszcie dzięki temu wpuszczono ją do przedpokojów Europy. Gdyby zasadę tę odrzuciła, mogłaby niechybnie wyładować w gronie krajów dzikich i barbarzyńskich, skazanych przez cywilizowany świat na zesłanie i zatracenie. Koryfeusza "opozycji" obrażają się i gwałtownie protestują przeciwko każdemu oskarżeniu ich o entykunizm, o dążenie do obalenia komunistycznej władzy i wyzwolenia się z niewoli. Traktują te oskarżenia jako o s z c z e r s t w o. I rzeczywiście



cie, deklaruje głośno najgorętsze pragnienie "porozumiania" z komunizmem, wspólnego z komunistami urzędzenia naszego niewolniczego bytu.

Mimo to świat walczy przeciw komunizmowi. Egzotyczni ludzie, żółci, czarni, czerwoni, zieloni, niebiescy - strzelają i giną w obronie swojej wolności. Nie ulega wątpliwości, że czynią tak dlatego, iż są zafocani, że nie dorosli jeszcze do przyjęcia nowego, europejskiego Dekalogu. Nie potrafią cenić własnego życia. Więc zbierają konsekwencje swego zapóźnienia rozwojowego.

"Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża - słyszysz! - ubliża mi jako ozkwiakowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej /nawet nie kłozetowej/ atmosferze - ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie marzanie, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki nie ostro, jestem nie zapadnięciem nawet, ale wprost bydłem, okładanym kijem czy nąhajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa.

Ostatnią moją ideą, której nie rozwinęłam jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partii, a tym bardziej naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznosnego dla uszu "humanitarystów" określenia /historyczne panny, nieznośzące drapania po szkle, ale znosząca pranie ich po pysku/ funkcji p r z e m e c y b r u t a l n e j."

Europa dawno odkryła, iż w cieplej, wychodkowej atmosferze można hodować bardzo udane kwiaty, że otrzymywanie po pysku wcale temu nie przeszkadza; że przeciwnie - można być ustawicznie prany po pysku i równie ustawicznie deklamować o swojej godności; że bohaterstwem nie ma, a już na pewno świadectwem moralnej wyższości jest zbieranie cięgieł w pysek i deklarowanie "wyrzeczenia się przemocy" wobec zbira, który w ten pysek bije. Europa dawno odkryła, że atmosfera wychodka sprzyja życiu i że jest ona całkiem przyjemna, gdy nazwie się ją p o k e j e m. Polska jest częścią Europy.

Rok 1908, w którym Piłsudski, przed ekscją pod Szadzanami, napisał te słowa do Feliksa Perla, traktując list do niego jako testament - liczył się z tym, że może zginąć - ten rok nie jest zbyt odległy. Żyją jeszcze ludzie, którzy rok ten pamiętają. Leczą od tego czasu historia runęła w przepaść mrocznych, przedhistorycznych epok, i te słowa, mówiące o z w y s z a j n y m c z ł o w i e c z s ę s t w i e, są głosem z otchłani.

"Moneta! niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak, jak zdobyć w walce, niż zebrać o nią u zdzieciniałego z ichorzostwa społeczeństwa polakiego, bo przecie jej nie mam, a mieć muszę dla celów określonych. Chcę właśnie sobą, którego i nazywano ezlechnym socjalistą, i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zrasztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólnonarodowej, podkreślić tę gorzką bardzo prawdę, że w społeczeństwie, które walczy o siebie nie umie, które cofa się przed każdym białym, spędyjącym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim."

Dwór w Żuławie nie należał, wedle dzisiejszych pojęć, do wygodnych, choć był obczerny. Ablucje czyniono w sypialniach, gdzie służąca przynosiły gorącą i zimną wodę w dzbanach i nalewały do miednic. Spotyka się jeszcze niekiedy resztki dawnych utensyliów sanitarnych; były to nieraz przedmioty artystyczne i wykwintne, porcelanowe miednice, mydelniczki, lustra, ozdobne dzbany. Dziś wyszły z użycia. Za potrzebą biegło się przez rozległe pokoje, do drzwi - i do wygodki. Wszystkie pokoje były przechodnie. Z niesymetrycznie usytuowanego ganku wchodziło się do sieni, skąd na lewo do jadalni, a dalej do narożnego pokoju, w którym sypiali bracia. Dalej była sypialnia rodziców; w niej urodził się Józef Klemens. To w tym właśnie miejscu posadżono dąb. Na prawo z sieni kancelaris, dalej pokój "bilardowy" i bawialnia z fortepianem, na którym grywał tatko swoje kompozycje. Trzy gigantyczne pięć, kombinaty piecowne, ogrzewały po cztery i pięć pomieszczeń; dwa pozostałe miały skromniejsze rozmiary. Dwa pokoje pośrodku domu były ciemne, podobnie jak kredens, do którego przez tylną sien przynoszono potrawy z kuchni. Do tylnej sieni, z której biegły schody na strych, przylegała z jednej strony garderoba, z drugiej niewielka biblioteka, za nią pokój córki, a dalej już bawialnia.

Rozplanowanie domu uderza ostentacyjną prostotą, jest zupełnie niefunkcjonalne". Mieszkanie jak Pan Bóg przykazał, bez fineczki, nad nim ogromny strych, o którym nic nie wiadomo, poza tym, że był, i że wznosił się nad nim wysoki dach z kominami, z kominów płynął dym, ponad drzewa parku, ponad niską jeszcze sosnę, zasadzoną własnoręcznie przez Józefa Wincentego, w błękitne niebo. Rozwiewał się wśród płaskich pól, gdzie przebiegały stadka kuropatw, czekał pies, nadciągał wiatr ze wschodu z wieczorną ciemnością, zwiastując zimową burzę. Maria Piłsudska, z rodu Billowiczów, jak Piłsudscy staro i znanego na Litwie, urodzić miała syna, niezidentyfikowani bliżej oficerowie rosyjscy nadciągali z daleka, krzątała się służba. Wiele lat jeszcze minie, zanim huragan apokalipsy obróci to wszystko w perzynę, toteż ludzie żuławscy zasypiali spokojnie w swoich chatkach.

/j/b/

Stenislaw Witkiewicz

TESTAMENT

Wyjętki z listów do siostry  
sierpień 1914 - sierpień 1915  
/fragmenty/

LOVRANA 3 sierpnia 1914 roku.

Zaczyna się, zdaje się, wojna potworna, w której my jesteśmy jednym z wzajemnie wyrzanych łupów i na naszej biednej ziemi będą się trawować te masy ludzkie. A no - co robić, wiemy.

13 sierpnia.

"O Polakach znowu na świecie głośno."

Zaczynamy być kochani, popularni i krew nasza się leje. Nic to!

"Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita;

Zawsze z wawrzynów drzewo wolności wykwiła."

Patrzę na czapkę Ziuka i myślę o Nich wszystkich.

14 sierpnia.

Rozumiecie, że myśli skupione są na wypadkach.

Jest bardzo rzecz uciążliwa ten brak dobrych wiadomości, to jest dokładnych o naszych Strzelcach. Tendencyjne milczenie parazytów "Sio-wa Polskiego", albo frazesy "Dziennika Polskiego", kiedy się szuka prostej, poważnej wiadomości, doprowadzają do wściekłości.

Czy nakoniec ta głupota słowiańska się nie rozjaśni; czy wreszcie nie zrozumieją, czym jest Roeja.

Trzy słowiańskie ludy mają nieszczęście do niej należeć i każdy - a nade wszystko my, którzy jesteśmy najbardziej narodem - buntujemy się.

19 sierpnia.

/.../ Cokolwiek będzie na końcu tej potwornej wojny, my już zwyciężyliśmy nasz strach poniżający i znowu jesteśmy narodem.

Strzelcy to Legiony naszych czasów i tę samą rolę odegrają w historii naszej. Niestety, zamiast Wielkiej Rewolucji i Napoleona, mamy za sobą pikethauby. Ale pal pies! Dawniej jakiś Polak powiedział: "Z diabłem wejść w przymierze byleby pomógł Polskę odbudować".

21 sierpnia.

Z jakim uczuciem czytaliśmy wezwanie, podpisane przez Józefa Piłsudskiego, możecie się domyśleć...

Strzelcy wprowadzają do historii napowrót siłę, którą ludziska przywykli uważać za dawno zniszczoną. Żyjemy - o to chodzi - nie o obcinanie kuponów.

12 września.

W czasie wojny co chwila mogą się chwila szanse i kolejno przychodzi nadzieje i rozpacz, ale jedyne wyjście jest myśleć o całości zdarzeń i do ostatniej chwili nie tracić odwagi. "Osez, osasz, osesz! dens finis!" D a n t o n.

Polski żołnierz w polu się bije, małodusznością jest tracić ducha. Nasze Legiony - dopiero występują. Trzeba, żeby one miały dokoła siebie atmosferę narodu męznego i żędnego walki - inaczej po kiego diabła wysyłać ich pod kule! Oto uwagi, które przychodzą na myśl, wobec każdego zachwiania się ducha, każdego pesymizmu.

15 września.

Dokument 1/ żeby wyraził s z c z e r e uczucie, byłby dowodem



o s t a t e c z n e g o s p o d i e n i a , j e z e l i z a ś j e s t p r z e b i e g ł o ś c i ę  
p o l i t y c z n ą , t o j e s t w a l i e n r o d z y z m e m - i d i o t 6 w !

29 września.

Cała rdsdość, cała mądrość jest z Legionistami, z tymi, co się biją, co się formują, co im rany opatrują, co ich anucki piorą. Mąkoduszność ludzka to największy wróg narodów. Trzeba by wprowadzić lekcje bohaterstwa i wpoić w umysły tę prawdę, że od Mieszka I-go Polska istnieje pod tak różnymi postaciami, że jeżeli jedna Jej forma zapadnie się, to nie znaczy, żeby Ona zginęła, i że trzeba w każdej chwili być gotowym. - Trzeba być Ziukiam...

4 października.

Dziś są lepsze wiadomości i wogóle wiadomości, których bardzo brakowało, o Legionach i dobrej Coraz lepiej gruntująca się sława Piłsudskiego i tych wojsk, które On wyprowadził pierwsze do walki - cieszą strasznie. Każdy ruch powinien mieć dowódców, wyrosłych z treści danego czasu, z jago cierpień, celów i nadziei - wtenczas rozwija się, potężnieje i działa szczęśliwie, albo jeżeli inaczej nie można, ginie z chwałą. Jemu ufam i wierzę - wierzę w nich wszystkich i z e c z i ę m y ś l ę o k a ż d y m z o ł n i e r z u .

11 października.

Dziś list Twój, za który całuję ręce. Dobrze! Do ostatka nie wątpie i z tym duchem małego, rozkładającego sceptycyzmu walczyć.

Tolesta w "Wojnie i pokoju", w rozmowie Kutuzowa z księciem Andrzejem mówi: "dans le doute s'bstiens toi".

W innych i w sobia samym tego ducha zwątpienia, który jest zarzewem duchem lenistwa, trzeba zwalczać. Meokostkowość sądów o wielkich wypadkach opiera się często na poczciwej ciasności umysłu, albo na sentymentalizmie, drażliwym na gwałtowne, a czasem brutalne przejawy takiego zjawiska jak wojna. Jak są ludzie, dla których Suworow, ratujący Indykę na gruzach Pragi, którą sam spalił i wyrzucił, jest dobrym, uczciwym człowiekiem, tak samo znajduje się tacy, którzy potępia Legiony, idące do walki o Polskę, za to, że przechodząc przez wieś, rozdeptały kaczkę. To są codzienna zjawiska. Ludzi trzeba koniecznie uczyć myślenia o wielkich rzeczach i zdarzeniach w sposób wielki, opierający się na wielkich okresach czasu i biorących w rachubę całe lądy i milionowe rzesze ludzkie, i jeszcze jedną rzecz trzeba uczyć - bohaterstwa.

19 października.

Dziś mamy tyle wiadomości o Legionach, o pułkowniku Piłsudskim, za się robi jasno dokoła. Tak niedawno powstało to wojsko polskie, a już wytworzyło legendę, już rozpowszechniło i ustaliło szczególną siwę polskiego czynu. "Die Polan schlugen sich wie Taufel", powtarzają od Renu po granicę polską Niemcy, a dalej ta siwa będzie rozszerzać się po świecie, jak zorza. Legenda, to akarb i siła, siła często potężniejsza niż historia, niż rzeczywistość. Strzeżmy jej i pielęgnujmy ją i nie dajmy osiadać na niej rdzy marnego filisterskiego sceptycyzmu.

23 - 27 października.

A teraz co do Twego wezwania. Żebym mógł pisać i żebym wierzył, że od jednego artykułu mogą się przemienić dusze milionów Polaków, nie trzeba by było mnić wzywać i zachęcać ani przyzywać delegatów. Sposób, w jaki działa mój umysł, wyklucza wszelki taki wpływ, taką zachętę. Ja potrzebuję pewnego atanu duszy i pewnej sumy materiału umysłowego, nis wielkiej, ale absolutnie prawdziwej ilości faktów.

Otóż sądząc z tego, co Ty piszesz, "jesteśmy w stanie zupełnej nędzy narodowej, nia ma nikogo, co czuje, co pragnie i co chce walczyć" - a tymczasem ja znam pięćdziesiąt lat historii polskiej, nie z książkami, ale z życia i nie znam lepszej chwili nad tę, którą przeżywamy. Jest

to chwila, na którą się czekało, której się pragnęło, a niskiedy przy-  
chodziło się do rozpaczliwego wniosku, że ons nie nadejdzie, że woła-  
nie: "Nie zginęła!" jest tylko echem umarłej idei, powtarzanym przez  
nieś, powtarzanym przez pogrobowców bez wiary i bez nadziei. A teraz  
L e g i o n y w p o l u p o d b r o n i ą i w w a l c e;  
dokoła polskiego żołnierza tworzy się legenda: "Die Polen schlagen  
sich wie Teufel!" Sprawa polska wydobywa się z archiwów dyplomatycz-  
nych, z pod kurzu zapomnienia; na przestrzeniach podzielonych na regne-  
cje, powiaty, na obszary, zwane krajem nadwiślańskim, Ostmark itd. nagle  
zjawia się Polska; przyznaje to Mikołaj Mikołajewicz, przyznaje Prusa-  
sacy, nie mówiąc o Austrii, w której mamy swobodę i która od wielu już  
lat istnienia Polski nie zaprzecza i z którą "ramię do ramienia" wal-  
czymy ze wspólnym wrogiem. A Wy rozpaczacie? Prawda, jest w Polsce za  
dużo durniów, mało dusznych, spodzonych przez niewolę, leniwych, niezdol-  
nych do oderwania się od swego interesu, płytkich sceptyków - w ogóle  
ludzi mernych - sie są L e g i o n y - powtarzajcie to sobie, c i ę-  
g l s i ! Ta garść ludzi z Ziukiem na czele, to grudka radium, której  
promieniowanie jest niewyczerpane, której siła jest olbrzymia i niejęj  
warta od wszystkich artykułów pisanych przez stercie miotły okrętowe...  
/Domyślaj się, o kim mówię./

Przypomnijcie sobie, czym była Polska, kiedy Dąbrowski tworzył  
pierwsze Legiony i pamiętajcie, że Kościuszko miał mniej żołnierzy  
pod Maciejowicami, niż ich teraz ma Ziuk. Otóż, w lat osiemnaście po Ma-  
ciejowicach szło z Napoléonem do Moskwy sześćdziesiąt ośm tysięcy pol-  
skiego żołnierza, najświetniejszego żołnierza, jakiego świat kiedy wi-  
dział. Dowodził to możliwości odradzenia się, wiecznej żywotności, młodo-  
ści sił, tkwiących w polskim narodzie! Ale tkwił w nim i inne, trujące  
pierwiastki, zaraza upodlenia niewolniczego i głupoty, wynajęjącej z  
nieznajomości ietotnego stanu Polaków i rzeczywistego do Niej stosunku  
państw zaborczych.

I tu rzeczywiście potrzebna koniecznie doskonała presja, rozumna,  
uczciwa, do ostatniej kropli polska - genialna, porwijająca. Takiej nie-  
stety, nie ma i takiej na poczekaniu nie stworzymy.

Nasze Legiony dotąd nie mają pisarza, któryby ich życie i czyny  
opisał tak, jak zasługują, jak powinny być opisane. Mój artykuł byłby  
kroplą w morzu - sie i tej kropli nie ma z czego zrobić, taka bolesna  
sprawa, jak Legion Wschodni - nie się o tym nie wie! Półświatka, półfak-  
tyki, albo frazeazy. "Nowa Reforma", trzeba oddać sprawiedliwość, że jak  
nasiebie, jest bardzo żywa i bardzo uczciwa, ale proszę być mądrym z  
tego, co w niej się czyta o takiej najważniejszej, takiej potwornej  
sprawie, jako to, co się dzieje w Królestwie. Srokowski, który napisał  
perę dobrych artykułów, jak przychodzi ta sprawa, jest zupełnie głupi  
i nie zdobywa się na nic innego, jak na dosyć pospolite i zszargane  
wymysły na Deowskiego. 2/ Zamiast podać fakty, daty, czyny, nazwiska, ci  
rozpisują się o durniu, o którym trzeba zapomnieć. Dmowski jest produ-  
ktem, a nie twórcą tych politycznych prądów.

Naród, który stracił to, co stanowił busole narodowego życia, stracił  
absolutną, we wszystkich duszach jednak silną chęć i potrzebę  
niezależnego bytu, zdany jest na łaskę takich wahań, takich błędów, na  
spodlenie myśli i uczuci Polaków od cześciwów saskich już szarpie te  
straszne, rozkładowa siły. Po 16 sierpnia, po zjednoczeniu się stronnictw  
po przystąpieniu społeczeństwa do Legionów, zdawało się, że mojej książ-  
ki nie potrzeba kończyć, że teraz będą ją pisać Legioniści z Ziukiem  
na czele! 3/ Pokazało się, że to było tylko społeczeństwo polskie w  
Galicii, które zachowało się bez zarzutu, a w reszcie Polski smród trpi-  
ci ziele z dusz zatrutych poniżeniem i ciemnotą i że, co w tej książ-  
ce jest powiedziane, jest prawdą, a straszne, żywa prawda, które niestety,  
długo jeszcze będzie żywa. Jeszcze na długie lata ta książka będzie  
mówić nie o przeszłości, ale o tym, co jest codzienną treścią nieszczę-  
snego polskiego życia! Przekleństwo potrójnego rozbioru, potrójnej nis-



woli i, co za tym idzie, trzech różnych kierunków myślenia i czucia prowadzi do tej rozterki, która u nas się objawia w chwilach stnowczych - chwilach, w których życie zmusza do wykazu celów i środków działania, do wyboru ośrodków, ku którym mamy się kierować. Ale straszczam się. W 1905 wystąpił w straszliwy sposób ten rozdział wewnętrzny - a teraz jeszcze straszliwszy; ci co nie chcieli walczyć, mówili: to moskiewska rewolucja, to żydowski Bund, to międzynarodowy socjalizm. D z i s 2 0 i n i e r z e p o l s c y z białymi orłami na rogach tych czapkach idą się bić - a ci, co nie chcą się bić - mówią: to intryga Niemców, to głupota - i kupią się około najgłupszej myśli politycznej. Ale strzeżmy się łatwego sądu - który mówi: zdrajcy, sprzedawczyki - nie, to są tylko ludzie bezgranicznie głupi i wyrosli bez idei niepodległości, bez idei samodzielnego życia narodowego, ciągle oczekujący łaski, przywykli stać ciągle w przedpokoju tej, czy innej władzy, z zapewnieniem lojalności i prośbą o wsparcie. Nie zdrajcy, ale przkleci, słabi ludzie, nie mniej szkodliwi od rzeczywistych zdrajców, ponieważ te pozory polskości nadają ich czynom pewną usprawiedliwienie i mogą głupich i słabych pociegnąć.

Więc walczyć trzeba z tym i tępić trzeba bez żadnych względów. I jeszcze jedna przyczyna, dla której mogą nawet ludzie, nie mający ani serwilizmu, ani słabości, tchórzostwa w duszach stać bezradni wobec tego, co się dzieje - potworna dziwaczność życia zrobiła, że jesteśmy zmuszeni oswobadzać się przy pomocy siły, którą dotąd uważaliśmy za najbardziej wrogą. Ludzie więc nie mogą znaleźć żadnej wskazówki co wybrać i pozoostają w obroży, do której przywykli. Trzeba było dużo przeżyć, trzeba było przez gwałt naruszyć cały dotychczasowy układ pojęć, żeby to, co się dzisiejsze uważać za oswobodzenie Warszawy np. Jedno jest pewne i tego trzeba się bezwzględnie trzymać, to Legiony i to, co one w najdalszych swoich celach i skutkach wyrażają. /.../

2 listopada.

Czytając o tych ludziach tak strasznie głupich, myślałem o tym, na co tu patrzymy, ale ciemnota tych ludów usprawiedliwia ich wiarę w Rosję, /4/ ich radość z jej zwycięstw i smutek z powodu klęsk. Ale u nas, którzy mamy setki lat współżycia z Rosją, podobne pojęcia dowodzą bezbrzeżnej głupoty i marnego materiału psychicznego. Ani polskie pierwiastki, ani ogólnoludzkie ich istoty nie są w niezgodzie z najzdemokratyczną Rosją! Niewolnicy, bez śladu buntu w duszach i głupcy, którzy nie umiemy wnioskować z faktów historii. "Pokój ich pięciu klepkom" i niszc ich morowa zaraza wytłucze. Co by było, żeby nie ta garść ludzi, która woła: "nie pozwalam" i idzie dalej w ocean historii z własną duszą, z własną ideą pod własnym imieniem. Bylibyśmy robactwem, tratowanym przez walczącą lud, któreby nawet nie miały potrzeby uświadomienia sobie, że pod ich nogami płacze się jakieś śmiecie.

Jutro dalszy.

3 listopada.

/.../ Doświadczenie teraz robione musi na r e s z c i e nauczyć, co trzeba robić z nowymi pokoleniami, żeby wszelkie wypadki nie załapywały ich w stanis takiego rozbitcia, takiego poniżenia dusz!...

Niezmiernej wagi dla sprawy jest to, że ma ona swoich ludzi, swoją siłę. Postać Piłsudskiego jest czystą smaracją dzisiejszych czasów. Zjawia się na tle życia gotowa ze swymi celami i środkami czynu, ze swoją własną ideą i postcją. To jest właśnie człowiek, który był k o n n i e c z n y , dlatego to, co On czyni, staje się w sposób cudowny! Ach Ziuku!

15 listopada.

...Jeżeli już na ten czas miałem być eskazany na niedołęstwo, żeby być przynajmniej ciężko rannym legionistą! Nie robiłbym sobie wyrzutów i nie czując winy... Ale tak, jak się myśli o tych kochanych naszych żołnierzach, o ich potrzebach, niedostatkach, walkach, ranach i



zestawi się z moim życiem, to się mam za ostatniego pasożyta i drania.  
Niech klęski Was ominą, a zwycięstwo będzie z Ziukiem!

21 listopada.

Wiadomość z Berlina, jeżeli się sprawdzi, będzie dowodem, że dzisiejsze wojsko polskie jest warte dawnego!

1000 legionistów zatrzymało 20.000  
Moskali!

To samo wojsko "szlache", o którym pisze jego historyk, że "zwy-  
cieżając tysiącami dziesiątki tysięcy, nigdy niaprzyjaciela nie liczy-  
ło."

I czy jest coś potworniej głupszego nad Polaków, którzy rzucając  
przekleństwo i z płaskim poczuciem swojej szlacheckiej godności są dumni,  
że oni do tego nie należą.

A dranie!

4 grudnia.

Mnie się jednak zdaje, że jesteście nadmiernie poruszone i odczu-  
wacie w sposób zbyt drażliwy wszystko, co się dzieje. Lepsza to, niż let-  
nia woda i zdechłość duży, ale żeby ocenić bliższe, czy dalsze zdarze-  
nie, trzeba pewnego spokoju myśli.

Ja mam więcej radości w tych czasach, ponieważ to o czym Ty pi-  
szesz ze zdumieniem, rozpaczę, bólem, jako o czymś nowym, o tym stanie  
narodu, to jest właśnie to stare, to, o czym się wiedziało, przeciwko  
czemu ja pisałem i nie napisałem książki, z czym walczyłem, lub pod  
ciężarem czego upadałem. Nowym jest 16 sierpnia, są Legiony, Ziuk, nowym,  
nie spodziewanym i radośnym. Ludzie nędzni, upedli z wygnanym sumieniem  
polskim byli - nowym i szczęśliwym jest to odrodzenie, mała Ich - a l e  
s ą. A zdawało się, że Ich nie będzie nigdy. Więc cieszcicie się nimi!

9 grudnia.

...Pomyśleć tylko, co by było, żeby nie było Legionów!

Zadnego światła, więc chwytajmy się tej jasności, jaką Ona nam  
daje i nie nurzajmy się w mrokach!

Niech będzie zwycięstwo z nami, z naszymi boskimi żołnierzami!

15 grudnia.

...Zresztą trzeba przyznać, że w tych czasach sens stał się czymś  
bardzo rzadkim i wiele najprostszych spraw rozwiązuje się w sposób po-  
tworny! Cóż nawet "tragedia" polska jest w swojej istocie daleko pro-  
stsza niż to, co z niej robię. Nieszczęściem jest, że życiu narodowemu  
nie przyświeca jedno wielkie słońce, tylko, że mnóstwo błędnych ogni -  
albo smrodliwych żołdaków staje się drogowym kazem. I jedne jedyne - Le-  
giony! Ja myślę, że Brygadier też i nad Wami /nad Tatrami/ czuwa. Dal-  
szych wiadomości czekamy niecierpliwie.

18 grudnia.

/.../ Co do drukowania wrywków z kartek i listów do Ciebie, to  
jest tak: ja z moimi pojęciami i uczuciami nie ukrywam się, i prywat-  
nie czy publicznie jestem taki sam i to, co piszę do Ciebie, powiedział-  
bym na rynku w Krakowie! Ale o drukowaniu nie myślę.

Ja, co prawda, wogóle o drukowaniu nie myślę, ponieważ pisać, nie  
czuję że żołnierzem czytelnika i nie mam przeświadczenia o ważności  
tego, co czynię. Fakt wydrukowania bez mojej wiedzy uznałbym, nie robiąc  
nikomu o to ceny, jeżeli to me jakiekolwiek znaczenie  
nie polskie?

Więc ani zabraniam, ani pozwalam: Róbcie, jak chcecie, tylko żeby  
nikt nie dopisywał jakiegokolwiek reklamy dla autora, tekst był absolutnie  
wiernie oddany, s korekcie bez zarzutu./.../

22 grudnia.

Czekamy niecierpliwie z niepokojem i nadzieją ściślejszych i szczegółowych wiadomości o Limanowej, o Naszych, o ich udział w tej wielkiej bitwie! Czy wyszli cało - czy wielkie straty w Ich szeregach! Wielkie wypadki tak zmniejszają życie codzienne, że mało się o nim wie i pamięta. Takie Święta zatary się w myśl, nawet jako pamiętka zwyczajowa. A jak się pomyśli, jaką gwiazdkę mają miliony ludności w Polsce - to się nie może dobrodusznie myśleć o opłatkach i żęby nie Legiony - to nad Polską ciężałaby nisprzeżrzana noc rozpaczy... Ale Ona są, żyją i walczą! O ile macie o Nich wiadomości, piszcie! /.../

1 stycznia 1915.

A tu i "Nowy rok" przyszedł. "Nowy" i - Nowa kartka w kalendarzu - jakaś tam kreska astronomiczna zmieniona - ale ludzie dalej się morują i jak jakieś potworne, krwawe krety ryją ziemię i zasypują dziury trupami.

I gdyby nad tym krwawym światem unosiły się tylko hasła i cele wielko-mocarstwowe, życie byłoby cismne i plugawe. Narody uciśnione mają ten przywilej, że idą na rzeź nie tylko dla swego interesu - ale i w imię sprawiedliwości, z ich krwawych czynów mogą powstać lepsze ludzkie stosunki. Dawne i dzisiejsze Legiony szły w imię sprawiedliwości. Oby zwyciężyły!

8 stycznia.

Bieżących wiadomości nie ma żadnych, tylko, choć trochę spóźnione, ale dobre wiadomości o Legionach w "Reformie". Więc radość! W Twojej dawnej kartce są echa tych opinii nieustalonych o wartości Legionów. Polemizujesz z tym, co z dała od Was przychodziło i martwiło i bolało. I dziś zapewne jest jeszcze dosyć podobnych indywidualiów "oskorzujących". Ale historia Polski przewaliła się poza próg, który ją dzielił od rzeczywistego polskiego życia i cokolwiek się stanie, nic już nas w ten próg nie wepchnie. Będzimy walczyć! W tej chwili chodzi tylko o siłę, o ilość żołnierza. Ducha już mamy, mamy wolę walki - mamy Piłsudskiego i Legiony!

10 stycznia.

/.../ O ile wszystko, co się dowiaduję o Legionach, jest radością, o tyle każde wnikanie szczegółowsze w życie polskiego społeczeństwa, ujawnia coraz dobitniej ten straszny rozkład, do którego doprowadziło potrójność istnienia, potrójność celów i dróg do nich wiodących. Niekiedy te drogi idą tak blisko podłości, że ludzie słaboduszni i słaboumysłowi nie wiedzą sami, kiedy ugrzęźli w błocie, kiedy zaczęli służyć wrogom pod pozorami np. ludzkości i miłosierdzia.

Cała ta dobroczynna robota Polaków z Rosji jest taką straszną omyłką, pułapką na dusze słabe, na ludzi zdławionych nędzą i nieszczęściami osobistymi. - albo też narzędziem dla wszelkiej kanalii, która prowadzi trzypolową gospodarkę na trzech zaborach robiąc interesa. Na tle tego rozkładu, tego sparszywienia, tego przesiąknięcia zgnilizną, radością jest wrócić do Legionów - do tej idei i do tej formy czynu jedynej, której treść jest czystą, cudną i a b s o l u t n i e p o l s k ą . Ale trzeba sto tysięcy i do ostatka nie powinna się ich liczbą zmniejszać!

13 stycznia.

Ja m i m o w o l i stałem się autorem dzięki Wam. Widać jednak, że nie ma nadmiar sił pisarskich, jeżeli te u r y w k i mogą się przydać. Niekże! Niekże!

W tych dniach przyszedł mi na myśl Sablik. Co On by miał za radość w tych czaach matu! Historia Brygadiera przecie to parafraza historii Janosika.

Jakby to Sabala opowiadał - jakieby On wydobył z tego cudowne rzeczy, jakę legendę ugruntował wśród ludu.

Szkoda wsiu ludzi, szkoda, że nie przeżyją już tych czasów, w których tyle klęsk, tyle niezszczęść zważyło się na Polskę - a jednocześnie przyszło cudowne odrodzenie! Oby było szczęśliwie wszędzisz na polach bitew i w chałupach!

15 stycznia.

/.../ O Brygadierze to wszystko, co On teraz czyni, ujawnia to, co w mrokach spieku, w cianocie życia, które musiało się kryć i więzić, ujawnić się nie mogło. I dzisiaj On nie jest swobodny. On z nadzwyczajnym poczuciemobywatełskim poddał się konieczności i - dla sprawy - ujął swój czyn w ramy, które konieczność narzuciła.

Kompromisy, które pozawierał, są ofiarą oddaną Polsce - e ofiarą jaką uczynił ze swego naczelnego stanowiska, jest tym bohateretwem, którego po nim można było się spodziewać.

5 kwietnia.

Nie trzeba tracić wesołości i odporności ducha. Ludzie powinni kochać ideę i czyn i w semym czynnie czuć szczęście życia. Redukować życie do osiągnięcia celu konkretnego jest to odbierać mu jego treść najistotniejszą. Legiony są istotą polskiego życia i jekikolwiek będzie skutek ich czynu dalszy, ostateczny, samo życie takie, jak ich jest najdoskonalszym życiem polskiem.

Jest tą "górną" chwilą, o której marzył Mickiewicz.

13 kwietnia.

...Żebym mógł, tobym bez wahania pisał. Ale choroba mnie zjadła w stopniu większym, niż się spodziewasz. A nade wszystko to trwanie małych podniesień temperatur, ale połączonych z osłabieniem, przeszkadza w skupieniu energii myślenia i działania.

W początkach stycznia zacząłem pisać rzecz, jak mi się zdaje dobrać, bo słuszną, ale choroba "psia kość zatrącona" "wytrąciła mi pióro z ręki"...

11 maja.

...Dziś uprzytomniłem sobie, że my na własne oczy oglądaliśmy szwoleżerów z pułku, który zdobył Somosierrę: Pan Rymgajło z Bohdani-szek; żołnierzy z 31 roku z pod Grochowa; porucznik Obuchowski; setki powstańców z 63 roku, e teraz jeszcze oglądamy Strzelców-Legionistów Piłsudskiego - to jednek dużo życia mamy za sobą i dosyć świadectw żywotności polskiego narodu, a tej żywotności trzeba mieć niewyczerpane morze, żeby przetrwać to, co jeszcze przyszłość nam przynieie. Więc trwajmy i doczekajmy ostatecznego pogromu Moskwy!

21 czerwca.

Tu cisza i spokój, ja się mam nieźle, chociaż nawet do ląd-szturmu takiego cierparę by nie wzięli. Mało jestem wart, jako jednostka bojowa, ale w sobie czuję się zawsze żołnierzem z pod komendy Piłsudskiego i to rozjaśnia życie...

Polscy "realni" politycy, którzy budują przyszłość na najber-dziej niepewnym gruncie obietnic - i to czyich! Moskali! - nie rozumieją, że sława Legionów jest nsjrealniejszym, najrzeczywistszym star-bem narodu, jest źródłem siły, która jest milion więcej warta od par-szywaj obiecanej autonomii, samorządów, kierowanych przez policję i in-nych "realnych zdobyczy".

Czymbyśmy byli bez Piłsudskiego i Jego żołnierzy? Wszę, siedzą-cą za żołnierzem walczących państw i narodów!

23 czerwca.

Lwów odebrany! Lovrana ozdóbiona chorągiewami.  
Żebyśmy mieli czerwono-białę chorągiew, też byśmy wywieśli.



Jest to wiadomość budząca najwyższą radość i nadzieję...

A dla nas, wśród tych mas ludzkich, zmagających się w straszny cyklonia - jaśnieje najdroższe światło - światło Legionów, tego ducha twórczego, bez którego nie ma Ojczyzny.

Zadne obce ręce Jej nie zbudują. Albanie budowała wszelkimi sposobami Europa i nie mogła z tego miała ulepić jakiej takiej budy, w którejby mógł usiedzieć książę Wied.

Wolę jeden batalion brygady Piłsudskiego, niż państwo, strzeżone przez holenderskich żandarmów.

6 lipca.

/.../ Z listu Twego widzę, że ludzie młoduszni, ograniczeni - słowem durnie, jeszcze nie przejrżeli. Przypuszczam, że te ich pesymizmy polegają na niepojmowaniu tego, co jest istotną siłą życia narodu, a co jest tylko zewnętrzny, materialny warunkiem bytu ludzkiego. Im się zawsze zdaje, że życie p o l s k i e, to są kominy fabryczne, banki, buraki, pszenica, samorząd miejski i tym podobne sprawy, ważne zapewne z ogólnie ludzkiego punktu widzenia, ale nie stanowiące bynajmniej Polski, że Polskę stanowi duch i czyn polski - polska dusza, bez której naród nie ma spójni, nie jest narodem, a Ojczyzna nie ma granic, i staje się zajezdym domem spekulantów, mówiących po polsku.

Norwid pisał, że stolica, gród Polski "jest tam, gdzie ostatnia stoi szubienica" - dziś możemy powiedzieć, że tam: gdzie pierwszy stoi legionista! Szczęśliwa chwila! I choćby ich było jeszcze mniej, są Oni istotną siłą Polski - są Polskę.

Kozietulski ze swymi 120 szwoleższami więcąj zrobił dla Polski, niż wszystkie fabryki, banki, młyny, założone przez Lubeckiego, i koleje, budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie trzeźwi i realni.

Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, które wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę. Cześć Jemu i Jego żołnierzom.

Tak żyjemy w strasznych i szczęśliwych czasach. Tu u nas cisza i spokój. Kto pozostał, cieszy się, i głosy pochodząca z zewnątrz są tak cicho, jak zawsze, pełne życia i radości...

9 lipca.

Do tego, co wczoraj pisałem o tym, w czym leży siła i istota Polski, wymownym komentarzem jest czas obecny. Zupełna ruina ekonomiczna. Banki, fabryki, gospodarstwo rolne, przemysł, handel, organizacja społeczna, wszystko zniszczone, zamarała, a Polska jest silniejsza, niż za czasów największego rozwoju przemysłu itd.

Duch, który się zbudził, wydał taką siłę, jak Legiony, jak całą niezrównaną działalność Naczelnego Komitetu Narodowego, ogarniającą wszystko, co stanowi istotę polskości.

Nie, Polska to nie banki, buraki cukrowe i nawozy sztuczne.

26 lipca.

Wiadomości ze świata są ciągle tak dobre, że nadzieja zupełnego wymięcia Moskwy z polskiej ziemi zmienia się prawie w pewność. Należy tylko pragnąć, żeby Rosja została tak złamana, żeby nie mogła myśleć o odwecie i na długie lata była zamknięta w tych granicach, jskia jej zakreśliła zwycięzca. Burza rewolucji, która się wtenczas rozpęta, na długo powstrzyma myśl o zdobyciach zewnętrznych. Ekspansja Rosji jest bezsensu, nie braknie jej miejsca u siebie, ma go ona dosyć i zaborczy instykt despotów i urzędniczego robactwa pcha ją jśdynie do tych zbrodniczych przedsięwzięć. Ten podły cynizm, z jakim Rosja ogłasza, że przedsiębierze wojnę dla obrony wolności ludów i zżamania militarystwu - kanelis! - na szczęście został ukarany i wdeptany w pobojowiska, na których została zniezczona jej potworna armia. Pomimo wszystkich humanitarnych uczuć - ja się tym bezsiernie cieszę.

Nauka ta kosztuje miliony biednych, ciemnych moskiewskich chłopów, krwawo płacę oni życiem za poddałość swoich panów. Panów więc nie należy!

9 sierpnia.

Strasznie mnie boli, że na te, tak doniosłe chwile, ja jestem pozabawiony dychtu. Bardzo mnie zmarnowała gorączka... No, ale nie ma co żałować sobie oskubować, bo Moskwa i tak dała się bić. Z jadowitym niepokojem czeka się szczegółów o Warszawie i wyjaśnieniu przyszłości.

Bądźcie zdrowe - a zwycięstwo niech trwa.

15 sierpnia.

A tu takie wypadki wstrząsają światem, nami, Polską - pytania rosną na ogromne doniosłości - a nawet nie ma siły do myślenia.....

+ + +

LOVRANA 12 lipca 1915.

MNIE TERAZ CIĄGLE zajmuje myśl, jak się ułożą stosunki w połączonych Legionach. Pierwsza Brygada pod Piłsudskim opromieniona już legendarną chwałą, ale ta część, która się biła w Karpatach pod dowództwem generała Durskiego, nie ustępuje 1-szej Brygadzie pod żadnym względem. Są to tacy sami polscy żołnierze, z tą samą cnotą bojową spełniający ten sam czyn wielki i wzniosły. Żołnierze i oficerowie okazali w tyłu bitwach takie same nęstwo i niezłomną wolę w dążeniu do zwycięstwa, do zniszczenia nieprzyjaciela i zdobycie swobody Poleki. Pod tym względem obie części Legionów są sobie równe, o tym samym stanowią zgodną całość - są rzeczywiście zjednoczone. Ale jest między nimi różnica, mianowicie w źródle, z którego pochodzi władza dowódców, ich stanowisko w hierarchii wojskowej, i ich miejsce w ruchu narodowym.

Generał Durski jest fachowym wojskowym. Przeszedł on wszystkie stopnie tego, co się nazywa karierą wojskową - od porucznika, może kadeta do marszałka polnego, zdobywając jednocześnie coraz wyższe odznaczenia, stwierdzające Jego zdolności i zasługi oficerskie. Idąc tą drogą wojskowej kariery w wojsku austriackim, nie zatracił, jak się pokazało, swoich polskich uczuć i myśli, tego najdroższego dowodu życia Polaki. Na to stanowisko został on zapewne upatrzony przez Naczelny Komitet Narodowy i mianowany przez wyższą władzę wojskową.

Piłsudskiego nikt nie mianował. W chwili Jego wystąpienia na widownię polskiego życia nie było żadnej, wyższej od Niego władzy w Polsce. Nikt nie mógł Go upoważnić do spełnienia Jego czynu, ulegalizować Jego władzy, potwierdzić Jego pełnomocnictwa i nakazać posłuchu Jego rozkazom.

Rząd Narodowy, o którym wtemczas mówiono, był fikcją. Rząd Narodowy był w łodowicach i ostrzu bagnatów Strzelców. Włodzio Konieczny pisał do mnie z pod Miechowa: "Idziemy do Królestwa ogłosić Rząd Narodowy".

Piłsudskiego "kariera" rozpoczęła się od spiskowania przeciw przemocy i despotyzmowi rosyjskiemu, przeciw przemocy i niesprawiedliwości społecznej.

Agitacja słowem, czynem i drukiem, organizacja szeregow robotniczych, drukowanie tajnych piśm, gromadzenie ludzi zdolnych do walki, ich przygotowywanie fizyczne i psychiczne do spełniania niersz strasznych

czynów. A jednocześnie więzienia, ucieczki, Sybir i znów ucieczki i zawsze uparty, niczym niezachwiany hart duszy i powrót do roboty, do ogniska Rewolucji.

Zycie Piłsudskiego było ciągłym ocieraniem się o szubienicę, ciągłym nadstawianiem szyi pod petle stryżka.

Niesłychana odwaga, zimna krew, czujny i bystry umysł i genialne przebiegłość spiskowca ocaliły Go - na szczęście! Ktoś dedykował Piłsudskiemu książkę i napisał: Pierwszemu żołnierzowi Nowej Polski.

I On rzeczywiście jest tym pierwszym żołnierzem.

Myśli i pragnienia walki z Rosją, rozprószone, pozbawione twórczej mocy istniały. Mówiono naiwnie o "powstaniu", nie wiedząc, jakie ono być może.

Dopiero Piłsudski sformułował ściśle te dążenia, ujął w formy konkretne, praktyczne, które ludziom trzeźwym wydawały się szalenstwem lub głupstwem.

Zmilitaryzować Polskę, zorganizować, stworzyć polską armię, gotową w każdej chwili do walki, dającą się zmobilizować, jak każde inne, skoro ułożą się odpowiednie warunki polityczne. Warunki te znalazły się.

Armia polska walczy i Piłsudski jest na jej czele. Tacy ludzie, jak Piłsudski działają na ludzkie dusze jak soczewka na rozprószone promienie słoneczne, skupiając je w jedno ognisko i wywołując wybuch ognia. Podobnie Piłsudski skupił, zogniskował wybuch czynu - Strzelców! Na ich czele znalazł się On z prostej konieczności, jako ich twórca. Stał się wodzem przez swoją własną moc, Jego władza jest wynikiem tego, że On jest wcieleniem ducha, wiedzącego do walki tych nowych polskich żołnierzy.

Rzeczywistość i legenda wyznaczyły Mu w historii polskiej miejsce, z którego nia może Go usunąć żadna władza, żadne normy hierarchii wojskowej.

On jest i będzie na zawsze rzeczywistym wodzem Polskich Legionów.

\* \* \*

Kartki te, zaczęte 12 lipca 1915 roku nie zostały już dokończone...  
Brat mój ze smutnym uśmiechem mówił o nich:  
"że chyba będą już moim testamentem".  
Kartki te zostały mi wręczone już po zgonie Brata.

Maria Witkiewiczówna

/ Według wydania Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków 1922  
W tekście nie zaznaczono opuszczonych pełnych wyjątków./



## PRZYPISY

1/ W odpowiedzi na manifest W.Ks.Mikołaja, naczelnego wodza armii rosyjskiej, wydany 14 sierpnia 1914 r. i w enigmatycznej formie obiecujący "połączenie Polski w jedno ciało pod berłem Cesarza Roeyjskiego", ugrupowania serwilistyczne Królestwa wyetosowały, z inicjatywy Dmowskiego i endecji, w dniu 16 t.m. telegram dziękczynny, w którym życzyły "Jego Cesarzkiej Wysokości" zwycięstwa i "zupsinego triumfu na polu walki", prosząc W.Księsia o złożenie "u stóp Jego Cesarzkiej Mości, Najjaśniejszego Pana" tych życzeń i "wiernopoddanych uczuć" sygnatariuszy. Telegram podpisało siedemdziesięciu czołowych działaczy politycznych. Przyjęty on został z niesmakiem w otoczeniu carekim, natomiast psołów z "Kozła Polskiego" w Dumie, zabiegających o pozwolenia osobistego "złożenia dziękczynniów u stóp Najjaśniejszego Pana" przepędzono, aby nie stwarzać wrażenia, że do obietnic manifestu przywiązuje się wagę zobowiązania politycznego.

2/ Dmowski prowadził ostrą i nie przebierającą w środkach kampanię przeciw NKN i Legionom od chwili ich powstania. 26 sierpnia endecy wraz ze "Stronnictwem Polityki Realnej" ogłosili deklarację potępiającą Komitet i Legiony i określającą ich rolę jako "wprost potworną". Powołując się na "wagę olbrzymiąj większości narodu" zażądano: "natchmiasztowego zaprzestania wszelkiej akcji" o charakterze antyroeyjskim. Endecja odmawiała politykom galicyjskim prawa występowania w sprawie polskiej, ponieważ reprezentują oni tylko "jedną piątą część narodu" w przeciwieństwie do samej endecji, reprezentującej "olbrzymią większość". Usiłowano, bez powodzenia, doprowadzić do sformowania złożonego z Polaków "legionu" /tzw. "legion puławski"/ jako politycznego i psychologicznego argumentu przeciw Legionom NKN a szczególnie przeciw formacji Piłsudskiego. Na terenie Galicji postanowiono sformować dwa zgrupowania legionowe: Legion Zachodni, do którego weszły oddziały Piłsudskiego i Legion Wschodni. Galicyjska endecja, wykonując dyrektywy warszawskiej centrali, pomimo iż początkowo przyetąpiła do NKN, postanowiła - w szczególności wobec przewidywanego zejścia wschodniej Galicji przez Rosjan, przeciwstawić się formowaniu Legionu Wschodniego. Na tym terenie dysponowała, wraz ze stronnictwem tzw. "podolaków" wpływami większymi, niż w Galicji zachodniej. Mobilizując "Sokoła", Drużyn Bartoszewych i Drużyn Strzeleckich przyniosła wystarczającą dla sformowania Legionu /w liczbie 6.000 ludzi/ ilość ochotników. Oddziały, wobec postępującej ofensywy roeyjskiej przetrzucano w głąb Galicji, co sprzyjało akcji endeków, prowadzących intensywną agitację wzywając do opuszczenia szeregów i odmawiania złożenia przysięgi. W rezultacie 90% ochotników bądź "rozeszło się do domów", bądź zostało odesłanych tam przez przedstawicieli lwowskiej sekcji NKN, bądź odmówiło złożenia przysięgi i zgłosiło się do służby w "landszturmie". Około 850 ludzi pod dowództwem płk. Hallera złożyło przysięgę i weszło w skład 3. pułku Legionów, następnie II Brygady. Wzięli oni udział w walkach na froncie węgierskim. W.Ks.Mikołaj podpisał nowy manifest, tym razem skierowany do "ludów Austro-Węgier", humorystyczny w swej jawnej obłudzie. Oznajmiał, iż "Rosjs /.../ dąży tylko do jednego, aby każdy z was mógł się rozwijać i ciszyć się pomyślnością, /.../ oraz aby, połączony z braćmi rodzonymi, żyć mógł w spokoju i zgodzie z sąsiadami, szanując ich niezależność." Wzywał ludność Galicji, by "wajęka rosyjskie witała, jako wiernych przyjacielów i bojowników za wasze najszczytniejsze ideały." Akcja endecji przeciw formowaniu Legionów była odpowiedzią na ten manifest, a jej działacze natychmiaszt zaferowali wkraczającym do Lwowa Rosjanom pełną gotowość współpracy. W odpowiedzi namiestnik Galicji, hr. Bobrinekij w pierwszym swym przemówieniu do przedstawicieli Lwowa, wyjeśnił na czym polska rosyjska troska o "pomyślność" ludów Austro-Węgier.

"Przed wszystkim Galicja Wschodnia i tenkowszczyzna z dawną dawną stanowiły część rdzenną jedynej wielkiej Rusi. /.../ Pan Hrabia będzie tu wprowadzał rosyjski język, prawo i urzędzenia państwowe, /.../ Pan Hrabia na początek ograniczy się do mianowania gubernatorów rosyjskich, rosyjskich naczelników powiatów i rosyjskiej policji. Wszelkie zaś organy samorządu miejscowego, jak magistraty, gminy włościańskie itp. Pan Hrabia dopuści do pełnienia obowiązków, rozumie się, pod warunkiem, że organy te okażą się wiernymi dla władzy rosyjskiej. Sejm nie będzie zwolniony. Zabrania się posiedzeń Rad powiatowych, miejskich i Rad gminnych. Działalność wszelkich stowarzyszeń, zgromadzeń, związków społecznych zawieszają się na cały czas akcji wojennej." Ten jednoznaczny kurs, zapowiadający bezwzględną rusyfikację Galicji Wschodniej potraktowali działacze endeccy jako wyjątkową dla siebie szansę na zdobycie wyłącznych "wpływów" politycznych, gdyż poza nimi nie było żadnego ugrupowania polskiego, któreby zdecydowało się na współpracę z władzami carskimi na tych warunkach. Stanisław Grabski w memorium skierowanym do hr. Bobrńskiego stwierdzał m.in., że endecja celowo włączyła się do prac NKN i tworzenia Legionów, by akcją tę sparaliżować.

Głównym celem endeków było niedopuszczenie do wybuchu powstania w Królestwie i maksymalne osłabienie sił Legionów na tym terenie. Wobec rysującej się porażki Austrii, odbieranej we wrześniu 1914 jako klęskę, nastroje moskalofilskie przybierały na sile także w szerokich warstwach społeczeństwa. Koncepcje promoskiewskie brały poważnie pod uwagę także czynniki polityczne, skupione w NKN, z wyjątkiem lewego skrzydła, niepodległościowego, reprezentowanego przez socjalistów i stworzone przez nich tajną Polską Organizację Niepodległościową. Skupieni we Lwowie ochotnicy do Legionu Wschodniego byli wraz z posuwaniem się frontu przesuwani w głąb Galicji, poprzez Sanok, Jasło aż do Mezany Dolnej, gdzie nastąpił ostateczny rozpad niesformowanego jeszcze Legionu. Płk Fiażkowski, dowódca Legionu podał się do dymisji, pisząc m.in. w uzasadnieniu: "Złoty jednek musiałem komendę, elbowień czynniki polityczne, którym Legion podlegał, pozabawiły dowództwo wojskowe władzy nad wojskiem, esmowolne zaś działanie tych czynników nie pozwalały mi brać na się odpowiedzialności za los Legionu." Czynnikiem tymi było kierownictwo polityczne wydziału wojskowego sekcji wschodniej NKN na czele z hr. Skarbkim. W rezultacie jego akcji z ochotników skupionych we Lwowie pozostało około 600, którzy wraz z ochotnikami z Galicji Zachodniej /z Podhala i Śląska/ zostali następnie skierowani na Węgry na skutek interwencji prezesa sekcji wschodniej NKN Cieńskiego i Strońskiego, którzy zawarli w tej sprawie układ z płk austriackiego sztabu Hranilowicem. Dzięki temu Legiony, mające wspólnie, pod jedną komendą, i jako jedna formacja, zostały definitywnie rozbita, co decydująco osłabiło ich rolę polityczną i wojskową.

Równocześnie na terenie NKN doszło do ostrych starć pomiędzy endecją i socjalistami. Stroński zastakował PON za "konszachty z Niemcami". Natomiast czynniki niepodległościowe dążyły do wyjaśnienia sprawy rozbitcia Legionu wschodniego i potępienia sprawców. Umiarowane centrum, złożone z konserwatystów krakowskich starało się załagodzić spór i oczyścić NKN z zarzutu odpowiedzialności za to wydarzenie. 20 października doszło do posiedzenia pełnego składu NKN /obytu sekcji/ na którym, po powściągliwych wnioskach centrum, ostro zastakował endecję Daszyński, zarzucając Skarbkowi, że "zniszczył więcej wojska polskiego aniżeli Paasiewicz." Poseł Hipolit Śliwiński zamierzył się kałamazem na szczególnie działającego wszystkim na nerwy Strońskiego. W rezultacie NKN niewielką większością głosów przyjął uchwałę o wotum nieufności wobec działaczy sekcji wschodniej,

odpowiedzialnych za skandal i promoskiewską dywersję. Odpowiedzią na tę uchwałę było wystąpienie z NKN dziewięciu przedstawicieli endecji i stronnictw z endecją związanych, z Cieńskim, Głabińskim, Skarbkiem, Stroniskim i in. Fikcyjna "jedność narodowa" zręcznych się stronnictw politycznych, powstała pod wpływem nastrojów i emocji pierwszych dni wojny i działalności czynników umiarkowanych rozpadła się, niwelując polityczną rolę NKN i dobitnie wykazując polityczną niedojrzałość kierowniczych czynników społeczeństwa polskiego i nieumiajętność skupienia się nawet wokół najbardziej żywych interesów narodu. Dzięki temu tysiące ochotników - żołnierzy Legionów - pozostało bez kierownictwa politycznego, które mogłoby - w myśl intencji Piłsudskiego - stanowić fundament przyszłej, suwerennej władzy państwowej. Rozbicie NKN nie tylko osłabiło pozycję polskich czynników niepodległościowych wobec władz austriackich, ale spowodowało wszystkie przyszele następstwa - zahamowanie akcji Legionowej, podporządkowanie jej interesom austriackim /poza osamotnioną pierwszą brygadą/ a wreszcie likwidację Legionów. Te same czynniki moskalofilskie, zwalczające akcję niepodległościową i wogóle wszelkie samodzielne poczynania społeczeństwa, te same osoby nawet, doszły później do władzy w niepodległej Polsce, a potem jeszcze w emigracyjnym rządzie Sikorskiego i Mikołajczyka, kontynuując politykę z tego okresu, zmierzającą do oddania Polski pod władzę Rosji, co zostało uwieńczone powodzeniem.

3/ Witkiewicz nie ukończył pisanej w Lovranie powieści.

4/ Chodzi o narody słowiańskie w granicach Austro-Węgier, znajdujące się pod wpływem propagandy panslawistycznej; Witkiewicz od roku 1904 do śmiarcia przebywał w Lovranie na chorwackim wybrzeżu Adriatyku /półwysep Istria/ wchodzącym w skład Austrii.

5/ Bitwa pod Krzywopłotami, stoczona przez IV i VI bataliony 1 pułku Legionów, w dniach 15 - 19 listopada 1914 r. Powstrzymały one natarcie ofensywy rosyjskiej, odbierając w udanym kontrataku wieś Załęże. Bitwa ta ugruntowała wysoką ocenę wartości bojowej żołnierzy Legionów w armii niemieckiej, szczególnie na tle słabej odporności wojska austriackiego, która była przyczyną ciągłego zagrożenia skrzydeł polskich batalionów przez nacierających Rosjan.

6/ W wielkiej bitwie pod Limanową powstrzymana została i odparta ofensywa rosyjska w Galicji Zachodniej. 1 pułk Legionów pod bezpośrednim dowództwem Piłsudskiego brał w udział w dniach od 23 listopada do 8 grudnia. Początkowo osłaniał linię kolejową Sucha - Mezane Dolna, następnie toczył ciężkie walki obronne pod Rdzistowem i Marcinkowcami. W dniu 13 grudnia wkroczył do oswobodzonego Nowego Sącza. Tu nastąpiła reorganizacja 1 pułku w I Brygadę / w składzie: 1 ppłeg., 5 ppłeg., i dwóch samodzielnych baonów/, Piłsudski otrzymał stopień brygadiera.



## LEGIONY POLSKIE 1914 - 1918

W artykule niniejszym staram się przedstawić w wielkim skrócie najważniejsze zdarzenia związane z historią Legionów, oparte na faktach dotyczących przez naukę historyczną ustalonych. Bzieje bowiem Legionów czekała do tej pory na swego historyka, który dopiero na podstawie szczegółowych przeprowadzonych badań będzie mógł zobrazować w pełni to zjawisko wojskowo-polityczno-moralne, jakim były Legiony Polskie. Zbliżają, mimo że upływa 25 lat od chwili powstania tej formacji wojskowej - można zaledwie z grubsza ustalić najważniejsze fakty, dotyczące się historii Legionów i procesów z nimi związanych. Ustaliłem je do tej pory po raz pierwszy w literaturze w pracy swej pt. "Walka zbrojna o niepodległość Polski" na wynikach której opiera się krąg poniższego artykułu.

Legiony Polskie przeszły do historii jako wojskowa formacja polska, utworzona celem podjęcia walki o niepodległość Polski.

Pierwszymi po r. 1863 żołnierzami walki o niepodległość byli członkowie organizacji Bojowej P.P.S., Związków Strzeleckich oraz Polskich Drużyn Strzeleckich. Mobilizacja tych organizacji, zarządzana przez Józefa Piłsudskiego w pierwszych dniach sierpnia 1914, pozwoliła utworzyć bary piechoty i patrol kawalerii. Z tych ludzi uformowano 1. kompanię kadrową, która 6.VIII, na kilka godzin przed wypowiedzeniem Rosji wojny przez Austrię wysłana została przez Piłsudskiego na teren b. Królestwa Polskiego. W następnych dniach sierpnia 1914 przekroczyła granicę oddziałów Piłsudskiego, który w ten sposób wypowiedział Rosji powstańczą wojnę.

Wyruszając do Królestwa na czele swych szczupłych, z młodzieży ochotniczej złożonych sił, Piłsudski traktował swoje oddziały jako kadry wojskowe, która poruszy zabór rosyjski i pozwoli mu utworzyć samodzielną polską siłę wojskową, dzięki istnieniu której sprawa polska zostanie rzucona na "szalę losów" i stanie się czynnikiem umożliwiającym Polakom dążenie do niepodległości państwowej.

Zamiar ten Piłsudskiemu się nie powiódł. Królestwo Kongresowe powitało pierwsze oddziały wojsk polskich obojętnie, chwilami nawet wrogo, czemu stworzona w kilka tygodni później Polska Organizacja Narodowa /P.O.N./ z Jodką i Sokolnickim na czele, nie zdołała, mimo swej pracy propagandowo-agitacyjnej, zapobiec. Z tą chwilą wyrosła przed Piłsudskim konieczność liczenia się z realnymi warunkami, wytworzonymi przez życie. Królestwo Polskie jego akcji nie poparło - musiał więc szukać oparcia gdzie indziej. Oparcie to znajduje w b. Galicji.

Politycy galicyjscy postanowili fakt wystąpienia Piłsudskiego wykorzystać dla sprawy polskiej, rozbudować przy pomocy Austrii jego oddziały do rozmiarów poważniejszych, a następnie za cenę współdziałania z wojskami państw centralnych, uzyskać od nich częściowe przyznanie wywołanie Polski i nadanie jej form państwowego życia. Nie mając w danej chwili innego wyboru, Piłsudski goził się na tę koncepcję i wiąże z nią swoje oddziały.

W dniu 16 sierpnia 1914 przedstawiciele wszystkich stronnictw galicyjskich powołują do życia Naczelny Komitet Narodowy /N.K.N./, jako reprezentację polityczną, zaś jako czynny wyraz swych założeń powołują do życia Legiony Polskie, których kadry mają się stać walczące już w Królestwie bony strzeleckie Józefa Piłsudskiego. W tej sposób powstaje organizacja Legionów. W drugiej połowie sierpnia rozpoczyna się werbunek do nich na obszarze Galicji i północniowej części Królestwa, który w Galicji daje b. dobre wyniki. Powstają 2 Legiony:

zachodni i wschodni. Ten ostatni jednak, z kilku tysięcy ochotników się składający - wkrótce uległ rozbić. Na skutek bowiem szczęśliwej ofensywy rosyjskiej, która w pierwszych dniach września opanowała Lwów, a później całą środkową część zachodniej Galicji - galicyjscy członkowie Narodowej Demokracji, zwątpiwszy z militarne triumfy Austrii, wystąpili z Naczelnego Komitetu Narodowego, przerwali się na stronę obozu filorosyjskiego i agitacją prowadzoną wśród Legionu Wschodniego - rozbili ów kilkotysięczny, z doskonale wyposażonego materiału złożony oddział. Na polu walk pozostał Legion Zachodni w początkowym składzie jednego /1/ później trzech /2 i 3/ pułków piechoty i zaczątków pułku kawalerii, które od wczesnej jesieni 1914 prowadzi już żywe z Rosją walki.

Oddziały Piłsudskiego zanim jeszcze utworzono Legiony, wkroczyły do Kielc, ale wkrótce musiały miasto opuścić. Po stoczeniu potyczki /będącej pierwszym chrztem ogniowym/ z kawalerią rosyjską, wracając do Kielc powiększone do siły 5 baonów i tu następuje zorganizowanie z nich większego oddziału pod dowództwem Józefa Piłsudskiego z Kazimierzem Sosnkowskim, jako szefem sztabu. Baonami poszczególnymi dowodzili: I - Żegota Januszajtis, II - Norwid - Neugebauer, III - Śmigły - Rydz, IV - Wyrwa - Furgalski, V - Karasiewicz - Tokarzewski. Oddziałami pomocniczymi dowodzili: konnym - Belina - Przemowski, wywiadowczym - Świątowski - Arciszewski, sanitarnym - Roupert, żandarmerii - Kostek - Biernacki, taborem amunicyjnym - Klemensiewicz. Razem oddziały liczyły 2.257 ludzi.

Po trzytygodniowym pobycie w Kielcach pułk cofa się na południe w kierunku na Szczucin, idąc w tylną straż wojsk austriackich /1 armia Dankla/, napieranych od północy przez Rosjan. Tu na linii Rowy Korczyn - Opatowiec w trójkacie, jaki wytworze Wisła z Nidą i Donajcem, rozwijają się uporczywe walki na lewym brzegu Wisły. Piłsudski, pragnąc za wszelką cenę jak najdłużej prowadzić walkę na terenie Królestwa, przetrzuca poza Wisłę swe baony, aczkolwiek braki wyposażenia technicznego, braki na jępejszych środków łączności czyniły ten krok ryzykownym. Między jednak żołnierzy legionowy, jakkolwiek za plecami swymi na wzbierającą z godziny na godzinę Wisłę, wykazuje w tych walkach świetne zalety bojowe.

W drugim okresie walk, rozwijających się na ziemiach Królestwa w związku z ogólną ofensywą austriacko-niemiecką, podjętą w październiku w kierunku na Dąblin i Warszawę, oddziały Piłsudskiego walczą poszczególnymi baonami w kilku różnych punktach posuwającego się naprzód frontu. W walkach pod Dąblinem 23-26.X. trzy baony dostają się po raz pierwszy pod bardzo silne działanie ognia artylerii rosyjskiej, co w niczym nie wpływa na znakomity stan psychiczny żołnierzy, a detaszowany baon Rydza-Śmigłego 22.X. brawurowo walczy pod Anielinem. W tym samym czasie batalion IV Wyrwy posuwa się w marszu na Warszawę aż pod Grójec / Budy Michałowskie /, baon zaś II Norwida - Neugebauera /później Olszyny-Wilczybskiego/ bierze udział w walkach nad Bzurą.

Ofensywa jednak na Warszawę zakończona została niespodziewanym odrotem. Baon II, nie mogąc dołączyć do pułku, okólną drogą przez Śląsk dostaje się do Krakowa, reszta baonów cofa się, objęta ogólnym odrotem w kierunku Zagłębia Dąbrowskiego. Pod Wolbromiem następuje ponowne rozdzielenie sił. Baon IV Wyrwy i VI Pleszara wraz z nadeszłym baonem uzupełniającym ochotniczym z Królestwa, który przyprowadził Ryszard Trojanowski, staczają ciężki i krwawy trzydniowy bój pod Krzywopłatami w dniach 16 - 19.XI. baony zaś I, III i V, prowadzone przez Piłsudskiego, odcierwają się od cofającej się armii austriackiej i, dokonując zrywnego i suchwałego przejścia na tyłach nieprzyjaciela pod Uliną Małą, przeprowadzając nocny marsz bojowy między oddziałami rosyjskimi. Ryzyko się udaje dzięki wysokim wartościom, jakie tak szybko wyrobił sobie legionowy żołnierz i 11.XI baony Piłsudskiego wkracają do Krakowa.

Po krótkim wypoczynku na Podhalu / w rejonie Suchej i Zawoi / oddział Piłsudskiego otrzymuje zadanie osłony prawego skrzydła wojsk austriackich, głównie zaś osłony linii kolejowej Sucha - Mezana Dolna, po której szły liczne transporty wojskowe. Zadanie to połączone było z poważnymi trudnościami, zważywszy na górzysty teren Podhale. Rozwijające się tutaj walki prowadzi żołnierz

legionowy wśród niezwykle przychylnego dlań usposobienia ludności góralskiej. Baony Piłsudskiego walcząc w górzystym kraju, wśród dotkliwego braku wyposażenia technicznego, posunęły się, po wzięciu do niewoli całego szwadronu rosyjskiego w Chyżówkach, w kierunku Nowego Sącza, gdzie pod Łimanową i Marcinkowicami staczały uparte i krwawe walki, zakończone triumfalnym wkroczeniem w połowie grudnia do wyzwolonej z rąk rosyjskich stolicy Podhala.

W Nowym Sączu z dotychczasowego oddziału zostaje zorganizowana I Brygada Legionów Polskich pod dowództwem trygadiera Piłsudskiego. Z baonów I i III powstaje 1 pułk mjr. Śmigłego-Rydza, a z baonów II i IV powstaje 5 pułk piechoty Legionów / jako pułk 2 w I Brygadzie, nad którym dowództwo objął w tym czasie mjr. Norwid - Neugebauer/. Ponadto w skład I Brygady weszły samodzielne baony: V kpt. Rylskiego, VI kpt. Satyra-Fleszara, baon uzupełniający kpt. Berbeckiego, dyon artylerii kpt. Brzozy i kawalerii rtm. Beliny-Prażmowskiego /2 szwadrony peżne i 3 w stanie tworzenia/. Razem około 2.600 ludzi w stanie wyżywienia.

W drugiej połowie grudnia I Brygada rusza z N. Sącza pod Tarnów, gdzie w dniach 22 - 25 stacza krwawą i morderczą bitwę pod Łowczówkiem.

Boj pod Łowczówkiem kończy pierwszy okres walk, stoczonych w ciągu półroczu 1914 przez oddziały Piłsudskiego. Oddziały te nie pobierając żołdu, nie posiadając drobnej nawet części tego wyposażenia technicznego, jakie posiadały w tym czasie wojska austriackie czy rosyjskie - wykazywały w przeprowadzonych bojach wielki hart ducha, wysokie męstwo i bohaterstwo, a nade wszystko świetną inicjatywę, przedsiębiorczość oraz wiarę we własne siły. Zwłaszcza w okresie trudnych, w odrocie prowadzonych walk jesiennych i zimowych 1914, pod Krzywopłotami, Uliną Małą, Marcinkowicami i Łowczówkiem oddziały Piłsudskiego wyrabiają się na niezwykle tęgie żołnierzy, łączących w sobie brawurę ze spokojem starego wytrawego żołnierza, sechy te i wartości zawdzięczając wychowawczej pracy Józefa Piłsudskiego.

W tym samym czasie rezerwa Legionu Zachodniego, uzupełniona żołnierzami z rozbitego Legionu Wschodniego, pod koniec września wyekana została z Krakowa przez Węgry do Karpat Wschodnich, czemu zarówno utworzona Komenda Legionów, jak i N.K.N. nie zdołał zapobiec. W Karpatach w niezwykle trudnych warunkach terenowych 2 i 3 pułki, zorganizowane jako II Brygada, prowadzą uparte walki z nacierającym nieustannie nieprzyjacielem. W chwili wyruszenia dowództwo nad baonami 2. pułku objął płk Zygmunt Zieliński, a nad baonami 3. pułku kpt. Józef Haller.

Podobnie jak i oddziały Piłsudskiego również i baony II Brygady nie otrzymały odpowiedniego wyposażenia technicznego, mimo iż razem z nimi wyruszyła na front Komenda Legionów. W Karpatach Wschodnich racjonalnie niemal wprost z wagonów do walki przeciwko 3. dywizji kozackiej, która zajęła górzysty obszar komitatu Marmarosz Sziget. Po wyrzuceniu nieprzyjaciela w ciągu dwu tygodni z tego obszaru, legionowe oddziały otrzymały rozkaz przekroczenia grzbietu Karpat i oczyszczenie doliny Bystrzycy. Poprzez słynną drogę Legionów zbudowaną w ciągu trzech dni na przełęczy Pantyrskiej, legionowscy wkroczyli do Nadwórnej, wyrzucając z niej Rosjan, a 29 października staczają krwawą bitwę pod Kołotkowem. Po bitwie tej pułki legionowe wycofały się do rejonu Zielona - Rafałkowa, gdzie przez miesiąc prawie toczyły nieustannie potyczki, przeprowadzając pracę bojową na obszarze niezwykle trudnym, walcząc poszczególnymi baonami i kompaniami, co tym bardziej wymagało inicjatywy i samodzielności zarówno od oficerów, jak i żołnierzy.

Rozwijającą się tutaj akcją bojową prowadziły pułki legionów w ciągu zimy 1914 na 1915, rozdzielone na dwie grupy: ppłk. Hallera / 2 i pół baonu, pluton kawalerii/, oraz na grupę ówczesnego komendanta Legionów mpp. Trzeski-Durkiego / 5 baonów, 2 szwadrony kawalerii, 2 bataliony/. Grupa ta w końcu listopada i w pierwszej połowie grudnia po wykonaniu 100 km marszu walczy na hucul-



szczytnie w rejonie Żabiego, po czym zostaje przerzuconą pod Oskbrmazę, hartując się w nienastannych bojach spotkaniowych. W tym samym czasie grupa Hallera toczy uporczywe walki pod Zieloną i Rafajkową, w których zwłaszcza odparcie nocnego ataku na Rafajkową zapisało się chlubnie w dziejach II Brygady. W marcu 1915 w czasie odprawy w Kołomyi oddziały 2 i 3 pułków zorganizowane zostały jako II Brygada Legionów Polskich. Dowódcą jej został po początkowych, licznych zmianach austriacki płk Kittner: dowództwo 2. pułku powierzono ppłk Januszajtisowi, a 3. ppłk Minkiewiczowi. W skład II Brygady weszły ponadto: oddział kawalerii /późniejszy 2 pułk ułanów/ oraz dywizjon artylerii.

Zanim przeprowadzono tę organizację, w pierwszych tygodniach nowego 1915 roku "oddziały karpackie" toczą nadal ciężkie walki. W ciągu stycznia grupa mpp. Durskiego walczy na Bukowinie w najcięższych warunkach górskiej zimy i zdobywając Kirlibabę, otwiera drogę do Bukowiny i Galicji. W lutym grupa ppłk Hallera bierze udział w ofensywie austriackiej na Stanisławów, znów stacząc krwawe i uporczywe walki pod Maksymcem i Zieloną. Wreszcie po sześciomiesięcznej nieprzerwanej pracy bojowej wszystkie oddziały zostały przeniesione do Kołomyi na wypoczynek.

W omawianym, pierwszym okresie historii Legionów, zaczyna się uwidocznić coraz większa różnica, istniejąca między stosunkiem N.K.N. i Komendy Legionów do Austrii, a stosunkiem do władz austriackich legionistów I Brygady i jej Komendanta, który pragnie dla Legionów wywalczyć możliwie jak największą samodzielność i niezależność je od obcych, austriackich wpływów, zarówno wojskowych jak i politycznych. Z szeregu zatargów pomiędzy Komendą I Brygady z jednej, a Komendą Legionów i lojalnym w stosunku do Austrii N.K.N. z drugiej strony o sposób odstawiania honorów i inne oznaki odrębności wojskowej, wyrasta coraz poważniejszy konflikt między powyższymi czynnikami. Wiosną 1915 Department Wojskowy N.K.N., kierowany przez płk Sikorskiego, rozpoczyna werbunek w Królestwie do dwu formujących się świeżo pułków /4 i 6/. Ochotnicy zgłaszają się licznie, najlepsza i entuzjastyczna młodzież wstępuje do Legionów Polskich, lecz wszyscy niemal stawiają żądanie, by przydzielono ich do I Brygady, gdyż Piłsudski i I Brygada, według powszechnego przekonania, reprezentują prawdziwą ideę niepodległości polskiej, która w ciągu 1915 ma skutek istnienia i walk Legionów Polskich zyskuje coraz więcej zwolenników w kraju. Walka o uzupełnienie I Brygady zapisującymi się do I Brygady, których Dep. Wojsk. N.K.N. starał się przydzielać do innych oddziałów, stanowi w ciągu pierwszej połowy roku 1915 główną treść stosunków między Piłsudskim a Dep. Wojsk. N.K.N.

Wiosną 1915 I Brygada po sześciotygodniowym odczynku w Kętach, gdzie otrzymała wreszcie od Austrii normalne wyposażenie techniczne, zajęła w pierwszych dniach marca odcinek nad Kieł na wprost Ficzowa. Tutaj, pełniąc służbę w walkach pozycyjnych między Sobowicami, Kwaskowem, a Pawłowicami - żołnierze I Brygady stanowili najbardziej przedsięwziętą grupę na całym tym froncie. 11 maja 1915 I Brygada rusza naprzód za rozgromionymi pod Gorlicami wojskami rosyjskimi, wskutek czego nastąpił również odwrót armii, zajmujących obszar Królestwa. W dniach od 16 do 25 maja wzdłuż doliny rzeki Pokrzywianki, pod Konarami i Kozankiem rozwija się mordercza bitwa, w której żołnierze I Brygady wykazał raz jeszcze swe niepospolite zalety bojowe. Po wyczerpującej bitwie pod Konarami Brygada pozostaje nadal na tym samym odcinku, lecz już w walkach pozycyjnych, by 23 czerwca ruszyć dalej na wschód za cofającymi się wojskami rosyjskimi. Od tego dnia biorąc udział w tzw. letniej ofensywie państw centralnych 1915 r. - I Brygada od Włostowa ciągnie wśród zażartych walk z nieprzyjacielem na Ożarów Radomski, a stamtąd na szynną reductę Tarłowską. O świcie 1 lipca reducta zostaje zdobytą. W walkach o nią dotkliwe straty ponosi pułk mjr Rydza-Śmigłego. Jakkolwiek dzięki świetnemu

kierownictwu bitwą przez brygadiera Piłsudskiego, straty te były stosunkowo niewielkie, zważywszy na niezwykle silne i potężne umocnienie reduity. Otworzył pod Tarłowem przejście przez Wisłę, przechodzi ją Brygada pod Rachowem, skąd forsownym marszem udaje się nad Wyżniankę /Lubelska/, gdzie pod Dzierżkowicami, a zwłaszcza pod Urzędowem znów krwawe stacza walki. Stąd rusza na Babin, Rada-wiac, aby, minąwszy Lublin, cokolwiek wpadli jedynie ukani Beliny-Prażmowski, stanąć wespół z nadeszłym w tym czasie świeżo sformowanym 4 pułkiem Roji pod Jastkowem, gdzie czwartaki otrzymali swój pierwszy, krwawy chrzest ogniowy. Spod Jastkowa rusza I Brygada wraz z 4 pułkiem na Majdan Krasieniński, a w trzy dni później bierze udział w uporczywym boju pod Kamionką.

W tym samym czasie, kiedy I Brygada walczy w kraju, spotykając się z co-rasz większym zrozumieniem wśród społeczeństwa - II Karpacka Brygada walczy nadal poza etnograficznymi granicami Polski. Po odpoczynku w Kołomyi, po nabraniu świeżych sił, uzupelnieniu ekwipunku i sprzętu technicznego, w połowie kwietnia pułki II Brygady ruszyły na odcinek Czerniawki i Dobronocy w cyflu południowej Bukowiny na granicy Besarabskiej. Po okresie miesięcznych walk pozycyjnych, wskutek cofnięcia się szczytów austriackich w dniu 10 maja stacza II Brygada ciężki bój, w czasie którego dotkliwe straty ponosi 2 pułk Janusajtisa. Krwa-wy bój odwrotowy, który toczą oddziały II Brygady, zmusił je wskutek cofnięcia się sąsiednich oddziałów austriackich - co w historii działań Legionowych powta-rzało się bardzo często - do przejścia w dniu 12 maja na południowy brzeg Frutu. Nad Frutem II Brygada prawie cały miesiąc przeprowadza walki pozycyjne, po czym, gdy 8 czerwca Austriacy rozpoczęli nowe uderzenie, pułk 3. Minkiewicza zdobywa Łużany, 2. zaś Kamałowce. W kilka dni później pod Zadoborówką, ppor. Eardel na czele plutonu, złożonego z 17 żołnierzy, wyzyskując zrzęcznie teren, uderza znie-nacka na baon rosyjski, co umożliwiła oddziałowi 3. pułku wzięcie tego baonu wraz z karab. maszyn. do niewoli. W dalszym ciągu ofensywy, po przejściu granicy, w kilka dni po walkach w rejonie Czerniowiec 13 czerwca odbywa się pamiętna szarża 2 szwadronu 2 pułku ułanów pod Rokitną, na umocnione potężne okopy rosyjskie. Po trzech dniach spokoju, dzięki cofnięciu się Rosjan zdemoralizowa-nych szarżą ułanów Wąsowicza pod Rokitną, 16 czerwca rozpoczyna nieprzyjacieli silne natarcie pod wsią Rarańczą, rzucając na okopy 2 i 3 pułku osmiokrotne fale tyralier piechoty, jednakże bez najmniejszego powodzenia taktycznego. Od tego dnia II Brygada przez szereg tygodni pozostaje na dotychczasowych pozycjach pod Rarańczą, póki nareszcie nie przeniesiono jej w październiku na front wo-łyński.

W ciągu drugiej połowy 1915 roku siła liczebna Legionów zostaje znacznie powiększona przez utworzenie dwu nowych pułków piechoty, a mianowicie 4 i 6. Z pułków tych utworzona została III Brygada Legionów Polskich pod dowództwem austriackiego gen. Grzesickiego, licząca około 6.000 ludzi. I Brygada liczy w tym czasie około 5.500 ludzi /VIII.1915/ i obejmuje: dwa dwubatalionowe pułki piechoty, jeden pułk ułanów oraz V i VI baony, włączone do pułku 3 /wewnętrzna numeracja I Brygady/, oraz oddziały pomocnicze. II Brygada liczy w tym czasie około 5.000 ludzi, obejmując 2 i 3 pułk piechoty, 2 pułk ułanów oraz oddziały pomocnicze.

Sytuacja polityczna w ciągu 1915 układa się dla sprawy niepodległości i wojska polskiego nadal mało korzystnie. Austria jakkolwiek Legiony Polskie stano-wią dla niej cenny atut na wypadek rokowań pokojowych, na razie nie myślała problemu polskiego poruszać, podobnie i Niemcy, głęboko wierzące w rychłe swe zwycięstwo. Józef Piłsudski w tym stanie rzeczy nie widzi interesu polskiego w dalszej rozbudowie Legionów Polskich, traktując je jako dostateczną kadreę przyszłego wojska narodowego. Zatarł między nim a N.E.N. pogłębias się. W sier-pniu 1915 w czasie swego pobytu w wyzwolonej od Rosjan Warszawie Piłsudski wstrzymuje dalszy werbunek do Legionów Polskich i postanawia rozszerzyć Polską Organizację Wojskową, jako tajną formację wojskową, z nikim nie związaną i od

niego tylko zależną. Do P.O.W. odkomenderowani zostają licznie oficerowie i podoficerowie I Brygady, jako instruktorzy.

W tym okresie głębokich przeobrażeń, związanych ze wstrzymaniem werbunku i z rozbudową P.O.W. - Legiony nadal pełniły swą ciężką służbę. W końcu sierpnia I Brygada walczy na Podlasiu i na wschód od Bugu pod Kaśną i Wysokiem Litewskim, a w pierwszych dniach września zostaje przetrzucana na Wołyn w obszar Stochodu i Styru. Tutaj też zetknęły się nareszcie wszystkie pułki legionowe, jak również tutaj pierwszy chrzest ognioy otrzymał pułk 6, dowodzony przez Rylskiego, /później przez Norwida - Keugebauera/, utworzony z ochotników z Królestwa, w bagnistym terenie północnego Wołyni i Polesia rozwijają pułki legionowe jesienią 1915 r. ożywiając akcję, walcząc z przeważającymi siłami rosyjskimi na wielu naraz punktach. Po sforsowaniu Stochodu pod Smolaraki, na wschód od Kowla, po stoczeniu szeregu potyczek / Smolary, Rieszuchoże, Stobychwa, Czerak, Eulewicz/- kierując się oddziały legionowe dalej na wschód nad Styry.

Zostają w tym czasie rozbite na kilka grup. Najcięższe walki prowadzi grupa, zostająca pod dowództwem ppłka Rydza-Śmigłego, później ppłka Sosnkowskiego. Grupa ta bierze znakomity udział w odrzuceniu Rosjan na wschodni brzeg Styru. Złoczona z 1 pułku, baonów V i VI, oraz 6 pułku, grupa Sosnkowskiego walczy pod Kościuchówką, później na odcinku między Sobieszycami i Bielaką Wołą, pod Jabłonką, Kuklami, Kamienuchą, Wielkim Miedźwieżem, szczególnie wyróżniając się przy zdobyciu Jabłonki i w czasie boju o wieś Kukle.

Drugą grupę oddaną brygadierowi Filcułskiemu, tworzyły: 4 pułk Koji i 5. Berbeckiego. Grupa ta walczy pod Kórkami, Wiszenką, Koszyszcami, Czernyszem i Stowgorozem.

Trzecią grupę, południową, prowadził płk. austriacki Kiltner. Składała się ona z 2 i 3 pułku II Brygady, i rozbita na poszczególne części walczyła nad Styrem, krwawiąc się, zwłaszcza 5 listopada 1915 pod Kościuchówką przy zdobywaniu wzgórza, które od tego czasu Niemcy nazwali Polską Górą. W dwa dni później 2 pułk piechoty wskutek przełamania sąsiedniego odcinka austriackiego zawiązuje pod Bielgowem krwawy bój, który uderzeniem odwodu rozstrzyga dowódca pułku Januszajtis.

W połowie listopada nastął wreszcie względny spokój. Pułki legionowe zajęły okopy nad Styrem, tocząc tam walki pozycyjne, pułk zaś 1. wrócił do składu swe brygady. Oddziały II i III Brygady zajęły odcinek między Kościuchówką i Opatów.

Nadchodząca zima 1915 i 1916 minęła bez szczególnie wyczerpujących trudów wojennych. I Brygada zimowała w Leśniewce i Karasinie, na wiosnę dopiero biorąc udział w akcjach wypadowych i patrolowych nad Wiesiołuchą, gdzie zwłaszcza odznaczyły się oddziały 1 pułku ułanów. Pułki II i III Brygady zajmowały pozycje nad Garbaczem spędzając czas pozostawania w odwodzie w Legionowie, w miejscu postoju Komendy Legionów, w "Nowej Rarańczy" i "Nowym Jastkowie", tuż za pozycjami.

Żywa praca bojowa zaczęła się dopiero na wiosnę 1916. Zgrupowanie w tym czasie wszystkich pułków legionowych na wspólnym obczarze działań miało bardzo doniosłe znaczenie dla wyrobienia wśród nich jednolitej ideologii. Pułki 4 i 6, złożone z młodzieży z Królestwa Polskiego, przejęły się od pierwszej chwili hasłami niepodległościowymi I Brygady. W II Brygadzie silne natomiast wyłyły wśród oficerów zwłaszcza starszych posiadających N.K.W., niemniej jednak Józef Filcułski doprowadza wszystkie pułki do jednolitego prawie stanowiska w sprawie żądań natury politycznej i wojskowej, co wiązało się ściśle z położeniem politycznym sprawy polskiej.

Przez cały 1915 i połowę 1916 państwa centralne nie wychodziły w sprawie



polskiej poza nic nie znaczące ogólniki. Ani Austria ani tym bardziej Niemcy nie myślały w tym czasie w sprawie polskiej się angażować, co zmusza Piłsudskiego do wszczęcia akcji politycznej, mającej wymusić na państwach centralnych wypowiedzenie się w sprawie polskiej. Dzięki konsolidacji wszystkich pułków Legionowych rozpoczyna latem 1916 r. działalność "Rada Pułkowników", która w memoriałach, podpisanych przez Piłsudskiego, Sosnkowskiego, Hallera i Rogę żąda zwanianego Komendantem Legionów Polskich oficera Legionisty, wycofania austriackich oficerów z Legionów Polskich, nadania własnych, narodowych dystryktów, a w części politycznej, uważając Legiony Polskie za kadre wojska polskiego - żąda wypowiedzenia się ostatecznego w sprawie Polski i to w sensie jej niepodległości. Akcja ta była prowadzona wśród wielkiego napięcia, gdyż zarówno Komenda Legionów, jak i N.K.E., a głównie jego Departament Wojskowy, stały wyraźnie na przeszkodzie żądaniom, wysuwany przez "Radę Pułkowników" zwróconym przeciw Austrii oraz lojalizmowi N.K.E. Wywołało to wśród pułków Legionowych a zwłaszcza w I Brygadzie gwałtowne wzburzenie.

Do ostrzejszego jednak przesilenia nie doszło, gdyż na lato 1916 przypadł okres najcięższych walk. W czerwcu rozpoczął na południowym froncie rosyjskim obrzydliwą ofensywę gen. Brusilow, który, skupiwszy wielką ilość dywizji na Wołyniu, rozbił zupełnie 4 armię austriacką arcyksięcia Fryderyka. Rozgorzały walki pod Łuckiem i Czortoryskiem. Wszystkie odwody rzucono do akcji, nie szczędzono też II Brygady. Z Leśniewki i Karasina rzucono ją na najbliższe odcinki. Pod Hrusiatynem dwa baony 2 pułku poniosła dotkliwie straty, tracąc ponadto rannego dowódcę pułku, pod Tumanem walczy baon 3 pułku, pod Hożuzją baon 2 pułku. W lipcu Brusilow, rozszerzając front swego natarcia, postanowił znieść również odcinek Legionowy i osiągnąć przez to dwa efekty: wojskowy i polityczny. Pierwszy aby i tu rozszerzyć lukę i przedrzeć się nad Stochód, drugi aby jednocześnie okrążyć pozycje legionowe, legionistów wybić i wziąć do niewoli, pozbywając się za jednym zamachem tak niewygodnych dla Rosji ze względu politycznych żołnierzy Piłsudskiego. Jakoż w dniu 4 lipca zaczyna się gwałtowne natarcie rosyjskie na odcygu Legionów między upławą i Kościuchówką, bronione przez oddziały II i III Brygady. Najgorętsze walki toczyły się o klucz polskich pozycji: "Polską Górę" i "Polski Lasek". Po kilkudniowych niezmiernie krwawych walkach pod Kościuchówką, zakończonych ogólnym odrotem na linię Stochodu, wszystkie trzy Brygady Legionów odpoczywają razem w Czeremosznie, po czym zaczynają się walki pozycyjne nad Stochodem. Pułki I Brygady, pozostające przez pierwsze trzy tygodnie w odwodzie, przetrzucane raz po raz na coraz to inne odcinki, zajmują wreszcie stanowiska w okopach od Jeziornej do Sitawicz, gdzie bez większych walk, w monotonii pozycyjnej służby pozostają do połowy października, to jest do czasu wycofania oddziałów Legionowych z frontu. Pułki II i III Brygady również zajmują odcinki w tym samym rejonie, stacząc jednak jeszcze ostry bój o Rudkę Miryńską 26 sierpnia.

W tym okresie, w połowie września 1916 Piłsudski, skonstatowawszy niemożność wyzwolenia się od władzy wojsk austriackich i szycanowany przez tę ostatnią na każdym kroku, podał się do dymisji. Żołnierze Legionowi, popierając jego stanowisko, masowo żądają zwolnienia z Legionów Polskich /królewscy/, lub przeniesienia do armii austriackiej /Galicjanie/. Austria i Niemcy postanowieni wobec groźby rozbitcia Legionów Polskich, teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebując pomocy w materiale ludzkim, decydują się przystąpić do budowy wojska polskiego i 5 listopada 1916 proklamują niepodległe Państwo Polskie.

W związku z tymi doniosłymi zmianami politycznymi oddziały Legionowe w październiku 1916 ściągnięto z frontu i umieszczono w Baranowiczach. Józef Piłsudski wstępuje do utworzonej w styczniu 1917 Tymczasowej Rady Stanu z gotowym programem budowy wojska, którego kadrami mają być Legiony Polskie. Jednakże Legiony Polskie nie zostają oddane Radzie Stanu, Komenda Legionów Polskich nie zostaje rozwiązana i jest teraz w stosunku do Niemców tak samo

lojalna, jak dawniej do Austrii, Niemcy zaś poczynają tworzyć tzw. Polnische Wehrmacht - Polską Siłę Zbrojną, której organizację, wyszkolenie, utrzymanie, biorą na siebie, mianując gubernatora okupacji niemieckiej w Polsce gen. Beselera, zwierzchnim wodzem tej siły zbrojnej. Pułki legionowe zostały podzielone w ten sposób, że do specjalnie utworzonych oddziałów wydzielono królewików, rozmieszczonych w obozach świątecznych, kierownictwo nad przeszkoleniem według niemieckich wzorów obejmuje niemiecki gen. Barth, do oddziałów zostali przydzieleni niemieccy instruktorzy, którzy występują coraz ostrzej przeciw dotychczasowemu jętcynie polskiemu charakterowi oddziałów legionowych.

W tym stanie rzeczy, Piłsudski po kilkunastu tygodniach pracy w Tymczasowej Radzie Stanu, po bezowocnych próbach utrzymania Legionów Polskich w całości jako kadry wojskowej - z Rady Stanu występuje, zaznaczając swe ostre stanowisko w stosunku do Niemców. Ci bowiem, starając się stworzyć z legionistów "Wehrmacht", zupełnie sobie podległy, brutalnie łamiąc dotychczasowy polski charakter Legionów Polskich, nie czynią zarzemu nic, co by mogło budzić nadzieję urzeczywistnienia aktu 5 listopada.

W tych warunkach Piłsudski znów staje do walki na dwa fronty. Jeden front zostaje zwrócony przeciwko państwu centralnym, głównie Niemcom, drugi przeciwko Radzie Stanu, chcącej budować Polskę w oparciu na Niemcach.

Walka ta jednak szybko teraz dobiega kresu. Niemcy zdając sobie sprawę z coraz silniejszych nastrojów, nurtujących wśród żołnierzy legionowych, obowiązując się ich i nie ufając im, będącymi złozenia przysięgi na "wierność i towarzysztwo broni", przysięgi, która by legionowemu żołnierzowi związała ręce i całkowicie go wobec Niemców unieszkodliwiła. Przeciwko złozeniu przysięgi wypowiedział się Piłsudski oraz żołnierze I i III Brygady, natomiast za przysięgą odwieńczyli się: Tymczasowa Rada Stanu, Komenda Legionów Polskich, N.R.N. i większość część II Brygady. W tych okolicznościach dochozi do tzw. kryzysu przysięgowego. Po odmowie złozenia przysięgi przez oddziały I i III Brygady następuje rozdzielenie Legionów Polskich. Głównie zwolnieni zostają galicyjscie - oficerowie, a w stosunku do królewików nastosowano jak najbardziej ostre represje. Oficerowie internowani zostają w Benjaminowie, żołnierze w obozie dla jeńców w Szczyornie pod Kaliszem. Pułki, skłęczające się teraz z samych tylko galicjan, przewieziono do Przenyśla, gdzie zostały reformowane; żołnierzy i oficerów odesłano na front włoski do szeregów armii austriackiej, a w dniu 22 lipca 1917 aresztowano i wywieziono z Warszawy Piłsudskiego i Szarkowskiego. W kraju pozostały drobne oddziały "Wehrmachtu" oraz pułki dawnej II Brygady, które wkrótce zamienione na Polski Korpus Po-siłkowy, zostaną z powrotem oddane Austrii i staną na starym szlaku swych walk obok Czerniowców nad Prutem, ty po przejściu granicy pod Baranówką na znak protestu przeciw traktatowi brzeskiemu dać początek tzw. II Korpusowi.

Na zianiu się II Brygady z II Korpusem nie kończy się jednak historia Legionów. Kończą one swój byt formalnie, faktycznie siła ich organizacyjnego ducha, ideologii niepodległości, całkowitego oddania sprawie narodowej trwa nadal, przejawiając się wszędzie tam, gdzie organizuje się i tworzy dalsza walka o niepodległość. Legioniści stają się głównym czynnikiem organizacyjnym i ideowym Polskiej Organizacji Wojskowej i szeregu innych formacji wojskowych, w ramach których pracując i rozwijając niespożyta energię, doczekali się ziszczenia swych pragnień i zrealizowania postawionego sobie pod przewodem Piłsudskiego celu - niepodległości Polski.

/ "Żołnierz Legionów  
i P.O.W." Nr 3/4 1939 /

Kazimierz Sosnkowski

Z LEGIONOW DO MAGDEBURGA  
/22.VII.1917 - 11.XI.1918/  
/fragmenty/

16 lipca 1917r. o godzinie 4 po południu do pensjonatu przy ulicy Moniuszki, gdzie wówczas mieszkałem, przybyli agenci policji politycznej generał-gubernatora niemieckiego z nakazem przeprowadzenia rewizji. Kryzys przysięgowy był w pełnym toku, Sławka aresztowano ostatniej nocy, mnożyły się ostrzeżenia o dalszych represjach. Wśród naszych przyjaciół domagano się potajemnego wyjazdu Komendanta. On sam już od pewnego czasu rozważał szanse i możliwośći przedostania się do Rosji.

Wiosna tego roku zmieniła układ sił na arenie świata; przewidywaliśmy, iż rewolucja rosyjska i czynne wystąpienie Stanów Zjednoczonych będą musiały wpłynąć na rozwój wypadków w sensie przez nas upragnionym i doprowadzić do kolejnej porażki, lub co najmniej do wielkiego osłabienia wszystkich państw zaborczych. Zdawał się zbliżać okres sohyłku wojny światowej, gdy wśród powszechnego wyczerpania, posiadanie własnej, dostatecznie liczebnej siły zbrojnej, niezależnej od obcych przede wszystkim moralnie, wedle naszego ówczesnego rozumienia, powinno było stać się czynnikiem najbardziej ważkim dla losów sprawy polskiej, zmuszających tych co je w swym ręku dzierżyli, do ostrożności w końcowych układach i kompromisach. Niebezpieczeństwo, iż właśnie sprawa polska stanie się w pierwszym rzędzie przedmiotem handlu podczas układów pokojowych, groziło zawsze, dopóki choć jeden z zaborców miał szanse zasiąść przy stole na rad po stronie zwycięskiej. Pragnęliśmy więc przede wszystkim zgromadzenia maksimum siły fizycznej w ręku Wodza, gwarantującego niezależność polskiej racji stanu. Akt 5 listopada był w naszych oczach porodią niepodległości i wartość posiadał o tyle tylko, o ile mógł dać podstawę do stwerczenia silnej armii pod wodzą Piłsudskiego. Parę miesięcy pracy w Departamencie Wojskowym Tymczasowej Rady Stanu wystarczyły najzupełniej, aby rzucić wszelkie pod tym względem iluzje: państwa centralne postępowały nadzwyczaj ostrożnie co więcej, niechętnie i nieszczerze. Natomiast upadek caratu stworzył możliwośći tworzenia armii polskiej w Rosji. Stąd jedyny kierunek wyjazdu, posiadający wówczas cel i sens, prowadził na Wschód, zaś jedynym szlakiem otwartym, wiodącym do Rosji - była droga powietrzna.

Sprawa nie była więc ani prostą, ani łatwą w wykonaniu.

Przypadek zrzucił, iż podczas rewizji był właśnie u mnie Komendant. Przetrząsnięcie niewielkiego pokójku trwało dość długo, szukano dokładnie, przeglądając każdy skrawek papieru. Patrzyłem z uśmiechem starego konspiratora na puste ręce i rozczarowane twarze agentów, opuszczających moje mieszkanie wśród grzecznych ukłonów.

W nocy z 21 na 22 lipca wróciłem bardzo późno do domu, spędziwszy wieczór u Michała Sokolnickiego gdzie, po konferencji z Komendantem, zasiadliśmy do tradycyjnej partii winta. O świcie, z głębokiego snu obudził mnie odgłos dzwonka, brzęczącego niezwykle uparcie i hałaśliwie u drzwi wchodowych. Za ledwie w półsennej świadomości, zdążyłem sformułować nieczynny wniosek, iż nadeszła chwila oczekiwanej od dawna aresztowania, ujrzałem przed sobą postacie trzech



cywilnych panów. W następną minutę wiedziałem już, że czeka mnie dalsza podróż.

Toaleta moja nie trwała długo, walizki zostały szybko spakowane przy pomocy jednego z agentów. Na ulicy, przed domem, oczekiwał samochód, który poniósł mnie szybko wraz z tymi milczącymi towarzyszami poprzez puste jeszcze zupełnie ulice Warszawy. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, samochód zatrzymał się przed paradywnym wejściem dworca wiedeńskiego.

Już na samym progu salonu recepcyjnego zobaczyłem Komendanta, który siedząc w fotelu u przeciwległej ściany, uśmiechnął się z lekka na mój widok. Czterej rcali żandarmi, ubrani i uzbrojeni przeprosowo, stali dyskretnie w kącie sali, oficer niemiecki w randze kapitana podeszedł do mnie i, salutując, przedstawił mi się, po czym niezwłocznie dał znak do odjazdu.

Peron był pusty zupełnie, nieliczni przechodnie siedzieli już w wagonach. Umieszczono nas w przedziale 2 klasy. Komendant w szarym mundurze legionowym zajął miejsce na jednej z ławek, mając z obustron żandarmów. Jeden z nich był charakterystycznym typem Prusaka ciężkiego, masywnego, z rudą, rozłożystą brodą. Ja, w ubraniu cywilnym znalazłem się naprzeciwko Komendanta, również w towarzystwie dwóch "aniołów-stróżów", kapitan, eskortujący nas, zasiadł skromnie w rogu przedziału przy oknie. Rozpoczęliśmy z Komendantem dyskretną rozmowę, półśłówkami, licząc się z tym, że zapewne nasi towarzysze rozumieją po polsku, snuliśmy oględne domysły co do celu naszej podróży. Około godziny 2-giej kapitan zaproponował spożycie obiadu i zaprowadził nas do wagonu restauracyjnego, gdzie zasiadliśmy we trzech przy osobnym stoliku, pozostawiając żandarmów u przejścia. Drobny ten szczegół był widocznie obmyślony z góry, aby nie zwracać uwagi dość licznych pasażerów.

O 5-iej przybyliśmy do Poznania: pierwszy raz w życiu i w tak niezwykłych warunkach zetknąłem się z Wielkopolską. Po krótkim oczekiwaniu, w pokoju naczelnika stacji, zmieniawszy pociąg, ruszyliśmy dalej. Był śliczny wieczór lipcowy, skończone barwne piękne i żywe łany Wielkopolski, zastawione złocistymi snopami żyta. Minawszy parę stacji, zorientowałem się, że kierunek naszej podróży, począwszy od Poznania, wykręcił wyraźnie ku północy, oczyma zakomunikowałem sobie zdziwienie. Mijając Piłę, nie mieliśmy już żadnej wątpliwości że jedziemy do Gdańska. Zdecydowałem się nagabnąć wyraźnie kapitana, dopytując nas wiezie, ociągając się i niechętnie odpark, iż chociaż nie jest mu znane ostateczne przeznaczenie, przypuszcza jednak, że zostaniemy umieszczeni w cfiickerskim obozie jeńców wojennych w Weic selmunde. Późnym wieczorem minęliśmy Tczew, około godziny 7-iej w nocny pociąg stanął w Gdańsku.

Z dworca ruszyliśmy pieszo poprzez mroczne ulice uspięgonego miasta. Pięknie pachniały kwitnące lipy, poprzez ich gęste konary przedzierał się od czasu do czasu blask latarni ulicznej, świecącej żrzadka i samotnie, - gwoli oszczędności. Sądziłem, że prowadzą nas do komendy miasta czy też garnizonu: zdawały się przemawiać za tym warunki dotychczasowej podróży, inscenizacja naszego wyjazdu, wreszcie wyrażony półgębkiem i, jak się okazało nieszczerze, domysł kapitana. Ale... "der weiche Traum zerschellt an die harte Wirklichkeit", powiedział jeden z niemieckich pisarzy i niebawem mieliśmy sposobność przekonać się nacznie, ile słuszności i zdrowego rozsądku kryje się w tym poetyckim twierdzeniu. "Halt". - rzległa się wydana półgłosem komenda kapitana, - i po chwili rudy żandarm szar-

pał za dzwonek u żelaznych wrót wielkiego budynku z surowej cegły, o charakterystycznym wyglądzie.

Sprawnie i szybko rozwarły się wrota, -- zdążyłem jednak jeszcze zakląć z cicha, gdyż, rzuciwszy okiem na zawieszoną u góry tablicę, ujrzałem krótki, lecz wymowny napis:

### "Gerichtsgefangnis"

Moja znalomość niemieckiego była naówczas już wystarczającą, abym mógł, w ciągu ułamka sekundy zdać sobie sprawę, iż słowo to w języku Goethego oznacza najpospolitszy kryminal.

W kancelarii więziennej rozpoczął się rytuał zwykłych formalności. Nasz kapitan zamienił szeptem parę zdań z dyżurnym funkcjariuszem więzienia, podpisał protokół oddania i odbioru "transportu", z rosnącym w sposób widoczny zażenowaniem pożegnał się z nami, rzewszcie z pewnym uśmiechem opuścił więzienie, jak gdyby rad, iż skończyła się wreszcie nieprzyjemna, bądź co bądź, dla oficera w mundurze, funkcja politycznego policjanta. Wraz z jego wyjściem ustala niezwłocznie wszelką komedię pozorów, ustępując miejsca wulgarnej procedurze, właściwej, jak sądzę, dla każdego porządnego i szanującego się kryminalu. Odebrano nam pieniądze, przedmioty złote i srebrne, rzeczy poddano rewizji i nareszcie, po tym nieco długim i męczącym wstępie, odprowadzono nas do wyznaczonych cel.

Więzienie gdańskie zbudowane jest na sposób "nowoczesny": środek głównego budynku stanowi pusta hala, przebiegająca od partuuru aż po dach, opasana czterema piętrami żelaznych galerii, zastępujących korytarze. Cechą charakterystyczną tych budowli jest niezwykły rezonans, spowodowany zarówno konstrukcją, jak i doбором materiału, na który składa się bodaj wyłącznie cegła, beton i żelazo, -- to też odgłosy kroków naszego małego orszaku dźwięczały w ciszy nocnej zgoła przeraźliwie. Poprowadzono nas na trzecie piętro. Hierarchię legionową uwzględniono w ten sposób, że pierwszego "łokowano" Komendanta. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy z kosciotem zatrzęsnięto za nim żelazne drzwi celi /numeru jej, niestety, nie pamiętam/ i gdy się rozległ klasyczny i nieodzowny we wspomnieniach więziennych zgrzyt klucza w zamku. Mnie umieszczono na tym samym piętrze, ponieważ nie przypuszczam, aby architekt tej szacownej instytucji, w przewidywaniu jej historycznej roli, wysłał zbytńo swą dekoratorską fantazję, przeto sądzę, że opis mojej celi jednocześnie będzie wierną fotografią celi Komendanta. Zacznę od najbardziej charakterystycznego szczegółu.

Wypisana wielkimi cyframi na drzwiach celi liczba, wskazująca ze ścisłością do jednej setnej jej kubaturę w metrach sześciennych zdawałaby się upoważniać do nadziei na minimalny, choćby zgoła więzienny "komfort". Tymczasem już na progu poczułem obrzydliwy zaduch: jeden rzut oka i pobieżne cględziny celi wykazały, że fetor pochodzi z kąta, mieszczącego t. zw. w syberyjskich wspomnieniach "paraszę".

Rozmiary celi wynosiły około pięciu kroków wzdłuż i trzech wszerez. U góry małe okienko, opatrzone mocną kratą, tapczan w postaci blaszanej płyty, wpuszczanej w ścianę na dzień, opuszczanej na noc na tapczanie siennik z grubego materiału w niebieską kratę, o silnym zapachu chlorku, mikiem o tyle, że dowodzącym czynności prania,

wały żelazny stolik, również w formie klapy przytwierdzonej do ściany, nad stolikiem niewielka drewniana szafeczka, jeden stołek, - oto przedmioty, stanowiące urządzenie celi.

Szczególnym przywilejem, przyznanym mi w więzieniu gdańskim, było pozwolenie na doprowadzenie żywności z miasta. Szczęśliwym trafem, podczas pakowania walizek w Warszawie, zdążyłem zabrać parę książek, które rewizja w kancelarii więziennej łaskawie oszczędziła: przeczytałem je z taką sumiennnością i dokładnością, z jaką chyba dotychczas żadnej książki nie studiowałem.

Jedynym urozmaiceniem życia więziennego w Gdańsku był regularny półgodzinny spacer /t.zw. "Freistunde"/, odbywający się pod eskortą uzbrojonego dozorca, zresztą w zupełnej samotności, na jakimś małym izolowanym podwórku, miłym przez to, że niepozabawionym zieleni albowiem znajdował się tam, zgodnie z wymaganiami czasów wojennych, niewielki warzywny ogródek.

Szóstego dnia rano, dozorca więzienny przedził mnie, bym się przygotował do drogi, gdyż mam być przeniesiony gdzieś wgląd Niemiec. Jakoż około godziny pierwszej po południu, sprowadzono mnie do kancelarii, gdzie oczekiwała już eskorta w składzie oficera i dwóch rosłych żandarmów, przypominających wrzeczem Fryderycjańskich gwardzistów. Dowódca eskorty, zgrabny, młody chłopiec o milej powierzchowności z krzyżem żelaznym pierwszej klasy na piersiach, najwidoczniej awansowany na froncie podoficer, gdyż w randze "Feldwebel-leutnant", - uważał za potrzebne zaprodukować przede mną próbkę pruskiego drill'u. Zdążyłem, podczas załatwiania formalności, odczytać jego podpis na protokole - nazywał się Bukowski, był więc najwidoczniej Polakiem z pochodzenia. Pan feldwebel-leutnant wystosował do mnie krótką i energiczną przemowę w podoficerskim stylu, zakończoną efektywnym zwrotem: "wenn Herr Oberst weglaufen wollen, beföhle ich zu schiessen", po czym nastąpił groźny finał w formie komendy: "Ieden und sichern". Sięgnęły niezgrabne żandarmskie łapy do ładownic, szczęknęły zamki karabinów i wkrótce opuściliśmy gdański kryminal. Nie mogę powiedzieć, aby powrotna droga na dworzec wypadła równie miłe, jak spacer do więzienia wśród zapachu lip i pod osłoną cieniów nocy. Tym razem mój ałerdzisty opiekun prowadził mnie z pewną pompą: na przedzie kroczył żandarm z nabitym karabinem i nasadzonym bagnetem, za mną szedł drugi żandarm podobnie uzbrojony, zaś pochód zamykał, jako dowódca "transportu", mój miły, quasi rodak. Zgoła bojący szyk eskorty oraz moje cywilne ubranie wzbudzały niekłamana sensację i powodowały głośne, a niepoehlebne komentarze wśród publiczności, tłumnie zalegającej ulice. Na dworcu kolejowym eskorty musiał wystąpić w mej obronie. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, iż uczynił to z energią co najmniej równą tej, jaką przejawiał dotychczas w stosunku do swego więźnia. Z pewną ulgą wsiadłem do wagonu, na którym umocowana była tabliczka z napisem "nach Berlin".

Nie wiedziałem, opuszczając dworzec w Gdańsku, iż zobaczę go ponownie po pięciu latach, jako Minister Wojny Rzeczypospolitej i, że w miejscu, które było świadkiem mego upokorzenia, witac mnie będą oficjalnie przedstawiciele władz polskich



Przybyliśmy do Berlina o wschodzie słońca. Prowadzono mnie przez centrum miasta. Z ciekawością rozglądałem się dokoła: znając Berlin jeszcze z czasów przedwojennych, starałem się dociec, jakie pigtkno wycisnęła na nim wojna i odniosłem wrażenie, że stolica Niemiec, przynajmniej w śródmieściu, zachowała swoją charakterystyczną fizjonomię sztywnego porządku i sytego dobrobytu. Po godzinnym marszu przybyliśmy na jakiś, nieznamy mi, drugorzędny dworzec kolejowy. Tym razem zostałem umieszczony w przepelnionym publicznością wagonie trzeciej klasy. Nie byłem rozgniewany tą degradacją, gdyż dało mi to możność czytania ciekawych obserwacji.

Wagon był zajęty przez robotników i biedną ludność, zdążającą w okolice podmiejskie, bądź do pracy, bądź to po zakupy żywności. Na wprost mnie na ławce siedziało kilka starszych kobiet, pochłoniętych żywą dyskusją na tematy, dotyczące cen żywności oraz sposobów jej zdobycia, wartości różnych ersatz'ów etc. Twarze były blade i bardzo wymizerowane. Ztrudem tylko mogłem uchwycić sens rozmowy. Tym razem zostałem umieszczony w typowym berlińskim dialektie, ale to, co zrozumiałem świadczyło dość wymownie o czarnych nastrojach ludności, znękaney wojną i jej skutkami w życiu codziennym.

W Szpandawie kazano mi wsiąść, niebawem zarysowały się przede mną mury fortecy szpandawskiej.

Szliśmy dość długo przez liczne podwórza forteczne, mijając wszelkiego rodzaju kazamaty i budynki, szpetniejsze jeden od drugiego. W obszernej kancelarii więziennej, stopy zapylonych aktów i papierów, oraz ilość zatrudnionego personelu, pozwalały wnioskować o rozmiarach więzienia i roli, jaką odegrało ono w dziejach Niemiec. Nie znam cośobście więzień Reichu centralnej, ale wyobrażam sobie, iż więzienie forteczne w Szpandawie /Festungsgefängnis/ musi je mocno przypominać: mroczne, choć obszerne ubikacje, stare, grube mury, wszędzie imponująca- obfita grubych krat, powietrze duszne i sparte, przesiąknięte zapachem złożonym z kombinacji starych, poóółkłych papierów, ludzkich wyziewów i jakiegoś nieokreślonego kwaśnego odoru, wszystko to dość sugestywnie oddziaływało na wyobraźnię.

Formalności tym razem trwały bardzo długo, podoficerowie, zatrudnieni w kancelarii zakatwiali wszystko nader flegmatycznie, przerywając sobie pracę rozmowami prowadzonymi od stolika do stolika.

Wreszcie wyprowadzono mnie i kazano iść na piętro, gdzie znów musiałem długo czekać na jakąś nieokreśloną bliżej władzę więzienną, aby raczyła przyjąć mnie, wyznaczyć celę i zamknąć pod klucz. Gdy stał na korytarzu, wsparty o framugę okienną, otoczony naturalnie mymi "aniołkami- stróżami", zauważyłem w pewnym momencie zbliżającą się do nas grupkę eskorty, wśród której, ku swemu niekłamalnemu wzruszeniu, ujrzałem siwy mundur Komendanta. Gdy Komendant mijal mnie nie mogłem powstrzymać się od instynktownego odruchu w jego stronę, odruch ten jednak został szybko powstrzymany przez mocną gestykulację moich opiekunów.

Przez krótką chwilę spotkania zdołałem z niepokojem zauważyć zły wygląd Komendanta, którego twarz była bardzo zmęczona i blada. Nie przypuszczałem wówczas, iż w przeciągu roku z górą nie tylko Go nie zobacze, lecz nawet nie będę wiedział gdzie przebywa i jakie są jego losy.

Nie zapamięnę ostrego wrażenia, gdy wreszcie w jeden z pierwszych dni września, po roku, spędzonym w ciszy i samotności, znalazłem się na zalanych słońcem ulicach Magdeburga, w tłumie przechodniów, wśród gwaru śródmieścia, oszołomiony, wzruszony, szczęśliwy.

Cytadela magdeburka zbudowana jest na wyspie rzeki Elby. Okolona zewnętrzными, potężnymi murami, mieści ona w środku szereg budynków wojskowych, wzniesionych w różnym czasie i o najrozmaitszym przeznaczeniu. W jednym z rogów wewnętrznego dziedzińca cytadeli odgródzono dość obszerny czworobok, zamknięty z dwóch stron murami starych fortów. Dwa pozostałe boki od strony dziedzińca zamknięta była wysoka, mocna palisada, z poza której wznosił się dach piętrowego pawilonu. W czasie pokoju odsiadawali swój termin oficerowie armii niemieckiej, skazani na karę twierdzy za udział w pojedynku, lub za inne przestępstwa. Stałem w bijącym sercem u wrót palisady, feldwebel pociągnął za dzwonek i po chwili ze wzruszeniem ścisnąłem dłoń Komendanta, jego siwe, dobre oczy patrzyły na mnie ciepło i serdecznie.

Komendant wyglądał nieswietnie, - dowiedziałem się wkrótce, że poważnie chorował w więzieniu. Zwłaszcza podczas zimy nie dopisywało serce i dokuczał reumatyzm, czuł się wówczas tak źle, że na skutek zaleceń lekarza garnizonu, władze były zmuszone udzielić zezwolenia na wyjazd do miasta, gdzie Komendant brał kąpiele i poddawał się różnym zabiegom leczniczym. Stwierdziliśmy wnet obydwa, że przez cały czas ubiegły odbywaliśmy podróż po więzieniach wedle jednej marszruty, w tym samym czasie i w analogicznych warunkach. Różnica w traktowaniu zarysowała się wyraźnie dopiero w Magdeburgu. Komendant, obejmując niejako rolę gospodarza, oprowadził mnie po pawilonie, który aż do końca niewoli miał być naszą wspólną siedzibą.

Pawilon stał tuż przy palisadzie, równoległe do niej. Reszta czworoboku zajęta była przez spory, niebrzydki ogródek. Rosły tam różne jarzyny, jedna kwatery obsiana była tytoniem, uprawianym ze szczególną pieczołowitością przez dozorującego feldwebla. Na wprost pawilonu, po przeciwległej stronie ogródka wznosiły się wewnętrzne ściany wspomnianego już starego fortu. Dwaj żołnierze w pełnym uzbrojeniu pełnili wartę u wrót palisady.

Cały parter budynku był wolny, oprócz jednej izby, w której mieszkał feldwebel. Strone, drewniane schody prowadziły na piętro, przedzielone wąskim korytarzem. Pierwszy pokój po lewej stronie wychodzący na ogródek, był przeznaczony dla mnie. Komendant zajmował dwie izby po tejże stronie w końcu korytarza; w jednej z nich sypiał, w drugiej jadł, pracował, odpoczywał. Wszystkie ubikacje z przeciwległej strony korytarza były puste i niezajęte, w niektórych nasz feldwebel urządził sobie improwizowaną suszarnię tytoniu. Wszystkie drzwi stały otworem, pawilon wraz z ogródkiem stanowił zamkniętą całość, w obrębie której Komendantowi przysługiwało prawo wolnej, nieskrępowanej cyrkulacji. Jedzenie przynoszono mu z pobliskiej restauracji.

Tryb naszego wspólnego życia ułożył się mniej więcej w sposób następujący: rano, przy śniadaniu, studiowaliśmy namiętnie komunikaty z pola walki. Ściany naszej "bawialni" chwiesiłem wokół mapami, wchodząc niejako z powrotem w czynności szefa sztabu, zaznaczałem postępy armii sprzymierzonych. Po śniadaniu parę godzin spędzaliśmy w ogródku, chodziliśmy całymi godzinami, rozprawiając żywo

na najrozmaitsze tematy. Mówiąc o niedalekiej przyszłości, Komendant ożywił się bardzo i raczej, aniżeli rozmawiał, zaczynał myśleć głośno, snując przenikliwe, przewidujące wywody, które układały się stopniowo w zwięzłe, pełne przekonującej siły skróty wyślo- we na temat mocarstwowego rozwoju niepodległej Polski.

Wielka wojna, - mówił Komendant - nie tylko pociągnąć za sobą wielkie wstrząsy wewnętrzne w państwach zwyciężonych, lecz spowoduje na całym świecie znaczne przeobrażenia społeczne i ekonomiczne. Polska, wciśnięta pomiędzy państwa, przeżywające głębokie kryzysy wojenne, rozpocznie wyścig do nowej mety dziejowej, mając przed sobą kilka lat uprzywilejowanych wyraźnie przez historię. Wśród ogólnego, pcowjennego chaosu, młode państwo polskie mieć będzie wszelkie szanse, by wygrać wyścig, stać się ostoją ładu i porządku na wschodzie Europy, zyskać mocarstwowe znaczenie. Spełnić się to może jednak tylko wtedy, jeśli Polska potrafi ustalić ogólną politykę, która zdoka ją ustrzec od wstrząsów i przesilen osłabiających tempo konsolidacji wewnętrznej, hamujących tok pracy nad organiza- cją państwa.

Warunek powyższy Komendant nazywał umiejętnością znalezie- nia w rozpoczynającym się życiu państwowym zdrowej, rozumnej, "prze- ciętnej". Już w parę dni po powrocie do Warszawy, podczas próby Komendanta powołania Rządu Koalicyjnego, widziałem jak pierwsze Jego wysiłki w kierunku stworzenia owej "przeciętnej" rozbijają się o wy- bujałą ambicję i nieustępliwość stronnictw.

Po obiedzie rozchodziliśmy się do pracy: Komendant pisał wów- czas wspomnienia z pola walk legionowych, wydane następnie pod tytu- łem: "Moje pierwsze boje". Muszę przyznać, iż częściej jednak odda- waliśmy się ulubionej grze w szachy. Nasza wspólna namiętność do tej szlachetnej rozrywki doprowadzała nas niekiedy do lekkich nie- porozumień. Prowadziłem na plecu naszego "stołowego pokoju" staty- stykę gry, stawiając kreski, oznajmiające otrzymanego mata. Pewnego dnia, narysowawszy coś ze sto trzydziestą kreską, oznajmiłem, że mam o dwie wygrane partie więcej. Komendant rozgniewał się nie na żar- ty, w gruncie rzeczy miał rację, gdyż zawsze był szachistą o wiele silniejszym ode mnie.

Wkrótce po moim przybyciu do cytadeli, zaczęły się mnożyć dalaze dowody uprzejmości władz. Przede wszystkim przyznano nam przywilej odbywania spacerów poza obrębem cytadeli. Oficer, odko- menderowany z dowództwa garnizonu układał program każdorazowej wy- cieczki i pełnił obowiązki przewodnika. Eskortę reprezentował feld- webel, który szedł za nami w dyskretnej odległości kilkunastu kroków. Korzystając chętnie z nowej, a milej rozrywki, zwiedziliśmy kolejno wszystkie "Sehenswürdigkeiten" Magdeburga, piękne parki i ogrody, muzeum miejskie, wspaniałą katedrę.

Tak więc w ciągu dnia stawaliśmy się naprzemian z więźniów turystami i vice-versa, - turyści wracali pod klucz, za palisadę, do swych okratowanych apartamentów.

W końcu września przybył do Komendanta w odwiedzin hr. Kessler.

Pretekstem "wizyty" była dawna znajomość, zawarta na polu walki. Mianowicie, o ile pamiętam, w roku 1915 służył on jako ofi- cer kawalerii przy jednym ze sztabów niemieckich na Wołyniu i w sprawach czysto frontowych miał okazję parę razy rozmawiać z Komen- dantem. W okresie naszego aresztowania hr. Kessler zajmował niezna-



ne mi bliżej stanowisko w Berlinie, - zdaje się przy Urzędzie kancelerskim. Powyższe okoliczności motywują dostatecznie rolę, jaką mu wyznaczono w chwili, gdy Rząd Rzeczy, inaugurując pod wpływem Księgi na froncie, ogólną zmianę swojej polityki, zdecydował się w stosunku do osoby Komendanta na kłopotliwą i bezcelową rejteradę. Trudno jest zrozumieć, co zamierzano osiągnąć na tej nowej drodze, prawdopodobnie, wśród ogólnej katastrofy, w atmosferze popłochu i powszechnej dezorientacji, chwytano się wszelkich, choćby najbardziej niedorzecznych środków, iść się nadzieją, że w ten czy inny sposób uda się jeszcze uratować cośkolwiek z ówczesnego stanu posiadania w zakresie sprawy polskiej.

Hr. Kessler nadał swej wizycie charakter towarzyski, nie pozabawiony cech mimowolnej ironii na tle krat i palisady. Przywiózł on w darze różnorodne smakołyki: owoce, pasztety, cukry i wina. O rozmowie, która wówczas miała miejsce nie wspomina, gdyż opisuje ją w innym miejscu Sokolnicki.

"Liebesgaben" powędrowały do feldwebela, ku jego nieklamanej uciesze.

## I X X

W końcu października, nawet poza murami magdeburgskiej cytadeli, można było zdać sobie sprawę, iż katastrofa państw centralnych stoi u progu.

Komunikaty kwatery głównej stawały się z dnia na dzień coraz wymowniejsze w swym dramatycznym lakonizmie. Z lamów dostępnych nam gazet, pomimo całej dyscypliny, właściwej prasie niemieckiej, przewijał najwyższy niepokój, prawie rozpacz. W rozmowach z tego okresu liczyliśmy się z rychłą i zasadniczą zmianą naszego losu. Sercem i myślami byliśmy już w Warszawie. Komendant stał się bardziej milczącym i zamysłonym, jak gdyby przeczuwał ciężar wielkich zadań, które spaść miały niebawem na jego barki. Nie zapomniał nigdy tej paradoksalnej i niepozabawionej swoistego komizmu chwili, gdy na kilka dni przed uwolnieniem przybiegł do nas dozorca feldwebel i, wołając z przejęciem "haben Sie's jeseh'n, haben Sie's jeseh'n?" - podał swemu więźniowi numer tygodnika "Die Woche", gdzie na pierwszej stronie umieszczony był wielki portret Komendanta, a u spodu widniał napis, który brzmiał mniej więcej w sposób następujący:

"General Pilsudski, der neue Oberbefehlhaber der polnischen Armee".

A jednak wielki moment nadszedł w sposób całkowicie dla nas nieoczekiwany.

Dnia 9 listopada około godziny 11 przed południem kończyliśmy właśnie nasz zwykły poranny spacer w ogródku. W pewnej chwili rozległ się u bramy wejściowej odgłos dzwonka, targanego jakąś niecierpliwą i nerwową ręką. Żołnierz z warty poszedł otwierać bramę i w tej samej sekundzie stała się rzecz niezwykła. Obydwaj wartownicy odskoczyli nagle nieco wstecz, nastawiając bagnety w stronę niewidzialnych przybyszów niewidocznych jeszcze dla nas w danej chwili, gdyż z miejsca, gdzie powyższa scena nas unieruchomiła,

węgiel pawilonu zastąpił widok na bramę. Staaliśmy z Komendantem jak wryci, obserwując niezwykle widowisko. Kilka sekund trwała głośna i gwałtowna sprzeczka niewidzialnych gości z wartownikami, wreszcie zza węgla wyłoniły się dwie oryginalne postacie cywilne, które z widocznym pośpiechem zaczęły się ku nam zbliżać. Jeden zwałszcza z przybyłych panów ubrany był zgoła dziwnie: strój jego przypominał żywo bohatera ludowego melodramatu na prowincjonalnej scenie: na głowie kruczynał zniszczony kapelusz, nieokreślonego kształtu, coś pośredniego pomiędzy czapką sportową, a cylindrem, szyję spowijał dookoła szalik o barwie czerwonej, pastać była spowita w stary, poplamiany płaszcz, o zgoła fantastycznym kroju, spod którego wyzierały wojskowe, długie buty. W następnym мгнieniu oka, z najwyższym zdumieniem zdołałem rozpoznać, iż właścicielem malowniczego ubioru był... sam hr. Kessler, którego przed paru tygodniami miałem możność podziwiać w dumnym uniformie oficera pruskiej gwardii. Zanim zdążyłem sformułować sobie najbardziej choćby mglistą hipotezę o powodach tej nieprawdopodobnej maskarady, hr. Kessler stał już przed nami i z widocznym wzruszeniem, pomijając w pośpiechu wszelkie towarzyskie formalności, wypalił prosto z mostu z lekką przerywanym głosem:

"Panowie są wolni... Mam rozkaz Kanclerza Rzeszy towarzyszyć Panom do Berlina... Proszę się spieszyć... Nie ma chwili do stracenia... Magdeburg zrewoltowany... Samochód czeka na Panów, proszę zabierać tylko najniezbędniejsze rzeczy... Jeszcze raz powtarzam: nie ma minuty do stracenia, - inaczej za nic nie ręczę"...

Wysłuchaliśmy tej przemowy z chłodnym i grzecznym spokojem. Ponieważ sytuacja rzeczywiście mało się nadawała do stawiania pytań, lub żądań wyjaśnień, przeto, milcząc, udaliśmy się na górę, celem zabrania rzeczy. Ale o pakowaniu się mowy nie było, już po upływie pół minuty mieliśmy na barku hr. Kesslera, który nerwowo i natarczynie naglił do pośpiechu. Za ledwie zdążyłem zabrać małą podręczną walizkę, do której wrzuciłem trochę bielizny i parę najniezbędniejszych drobiazgów codziennego użytku, Komendant uczynił mniej więcej to samo. Żałowaliśmy bardzo pozostawionych w cytadeli przedmiotów, z którymi w więzieniu człowiek szczególnie się żywa, zwłaszcza pragnęliśmy koniecznie zabrać notatki, rękopisy, mapy, ale nasz niecierpliw oswobodziciel słysząc o tym nie chciał.

W roku 1919 Rząd niemiecki odesłał nam część rzeczy, wraz z urzędowym protokołem, stwierdzającym, że znaczna część naszej własności została rozgrabiona zaraz po zdobyciu cytadeli przez zrewoltowany tłum. Incydent ten miał miejsce w pół godziny po naszym odjeździe.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że Kessler bawił w Magdeburgu już od paru dni, czekając na wynik obrad gabinetu berlińskiego w sprawie uwolnienia Komendanta. Decyzja Rządu zapadła około 7 Listopada, wedle jej brzmienia hr. Kessler miał zażądać od Komendanta pisemnego oświadczenia, iż nie przedsięwziął nic przeciwko państwu niemieckiemu.

Już następnego dnia od żądania tego o tyle odstąpiono, iż w nocy z 8 na 9 listopada Kessler otrzymał nagły rozkaz od Kanclerza Rzeszy, by Komendanta zwolnić natychmiast i jak najspieszniej przewieźć do Berlina. Sądzę, iż w gruncie rzeczy Rząd niemiecki trwał uparcie przy swoich warunkach, chciał jedynie tak drażliwą misję w wytrawniejsze złożyć ręce, poza tym pod naciskiem szybko biegnących wypadków, obawiając się, iż rachuby powyższe wogóle upadną.

słoko nas oswobodzą rewolucjoniści, pragnął mieć Piłsudskiego pod swoim bokiem w Berlinie.

Szybkim krokiem, nieomal biegiem przeszliśmy obszerny dziedziniec cytadeli, na którym zaczęły się już gromadzić tłumy żołnierzy. Coś wisiało w powietrzu, każdy, kto przeżył rewolucję 1905r, zna dobrze ów nieuchwytny, lecz fizycznie odczuwalny nastrój, który, banalnie, lecz trafnie, przyrównać można pod względem oddziaływania na nerwy ludzkie do ciszy, poprzedzającej burzę. Warta na odwachu u wejścia do cytadeli, wytrzeszcząwszy oczy na nasz dziwny orszak, nie zaczęła nas wcale. Na ulicy, przed cytydelą widać było ożywione gromadki robotników i wojskowych, spieszące w stronę centrum miasta. Minąwszy most na Elbie, skręciliśmy w boczne, ciche uliczki i niebawem ujrzelśmy oczekujący samochód. Przy kierownicy zasiadł towarzysz hr. Kesslera, okazał się nim pod cywilną powłoką rotmistrz von Gulpen, dowódca wojsk samochodowych w garnizonie magdeburkim. Zawarczał motor i wkrótce znaleźliśmy się za miastem, w otwartym polu.

Boże miłosierny, cóż to była za rozkosz pedzić samochodem w świat szeroki, upijac się orzeźwiającym powietrzem po szesnastu miesiącach, spędzonych w więzieniu.

Był cudowny dzień jesienny, spośród błękitnych niebios słonice zlewało strugi bladego złota na urodzajne równiny Saksonii, na szmaragdowy ruń oziminy, na horyzoncie snuły się opalowe mgiełki, wstęga szosa kładła się za nami biała i jaśniejąca, drzewa przydrożne umykały szybko wstecz równymi szeregami. Hr. Kessler i rotmistrz von Gulpen, wywiązawszy się pomyślnie z misji, która mogła okazać się dla nich kłopotliwą przygodą, wpadli w różowe humory i odzwacali się co chwila do nas zagadując wesoło. Komendant i ja milczeliśmy obdwaj pograżeni w myślach, trochę oszołomieni nagłą zmianą sytuacji, nieco odurzani falami rześkiego powietrza i pedem samochodu. Co prawda ostatnie określenie stanowi małą poetycką przesadę, nasza przeciwa maszyna pozabawiona była wszelkich ambicji pod względem szybkości i zawrotnego pędu.

Już w pół godziny od wyjazdu z Magdeburga koła zaczęły stuknąć o kamienie szosy, jednocześnie poczułemikliwy zapach, przypominający coś pośredniego pomiędzy aromatem wanilii i śwadem przypalonej cebuli. Von Gulpen zaklął głośno i zatrzymał samochód. Wykoczywszy na szosę, spostrzegłem, iż z tylnych kół unoszą się smugi niebieskawego dymu. Z oponami działo się coś dziwnego, topiły się one, a raczej smażyły z charakterystycznym szmerem, jaki wydaje gotująca się smoka. Czarna, gorąca maź spływała leniwie z kół na szosę. Rotmistrz uprzejmie i fachowo wytłumaczył mi, iż jedziemy na oponach, które stanowią najnowszy "ersatz" w automobilizmie. Pomysł wynalazcy polegał na tym, iż stare opony wypełniano zamiast powietrzem kompozycją, otrzymywaną przez poddanie specjalnym chemicznym zabiegom mączki, czy też papki... kartoflanej. Jechaliśmy więc na "kartoflanych" pneumatykach, które, rozgrzewając się na skutek tarcia o powierzchnię szosy, zaczynały topnieć, wydając ów zapach, który von Gulpen nazywał malowniczo "zapachem przypalonego pudingu". Historia powtarzała się regularnie co kilkanaście kilometrów, - nasz rotmistrz miał więc rację kląć, na czym świat stoi swego niefortunnego rodaka-wynalazcę.

Nigdzie po drodze nie spotkaliśmy najmniejszych choćby oznak rewolucyjnego wrzenia. Wszystkie wsie, miasta i miasteczka były ciche i spokojne, normalna praca codzienna szła zwykłym niezakłóco-



nym trybem. W małej mieścinie na pograniczu prowincji saskiej i Marchii Brandenburskiej zatrzymaliśmy się na dłuższy postój. Oczekiwało nas tutaj śniadanie, zamówione w mleczarni parowej przez naszych przewidyujących przewodników jeszcze z Magdeburga. Obfite menu, skomponowane prawie wyłącznie z nabiażu, smakowało nam znakomicie. Właściciel mleczarni, zdaje się nakłogowy "polityk", wypytywał gorliwie o najświeższe wiadomości. Dowiedzieliśmy się od niego, że połączenia telefoniczne działają na wszystkich stronach, że wiele jego informacji wzdłuż naszej drogi i w samym Berlinie nie było dotychczas żadnych objawów ruchawki lub rewolty.

Minąwszy malowniczą i zieleniejącą dolinę Haweli, posuwaliśmy się względnie szybko wgląd Brandenburgii. Charakter krajobrazu zmienił się zupełnie: naokół jak okiem sięgnąć, widniały piaszczyste, monotonne równiny, poprzecinane smugami lasów sosnowych. Około czwartego po południu spostrzegliśmy na horyzoncie dalekie dymy Berlina, co prawda czas był po temu najwyższy, gdyż jechaliśmy na ostatnim komplecie "puddingów", mimo, iż von Gulpen zabrał ich ze sobą zapas wcale imponujący.

Z obu stron szosy zaczęły wyrastać szeregi baraków wojskowych, droga przecinała w poprzek plac ćwiczeń w Doberitz.

Naokół snuły się nieporządnie i bezcelowo gromadki pruskich landszturmistów. Niebawem samochód musiał zatrzymać się przed zamkniętym szlabanem kolejowym: oczy nasze przykuła scena, znanominająca na pierwszy rzut oka, iż dzieje się coś niezwykłego.

Wzdłuż nasypu drogi żelaznej, z obu stron przejazdu, czernił się szpaler, złożony z ludności cywilnej, pomieszanej z rzadka z grupkami żołnierzy. Oczy wszystkich zwrócone były wzdłuż toru na zachód. Instyktownie zwróciliśmy nasze spojrzenia w tamtym kierunku: na horyzoncie, w miejscu, gdzie łuki szyn ginęły na zakręcie, można było dostrzec pióropusz dymu, zbliżający się z wolną w stronę Berlina. Von Gulpen, zauważywszy wśród gapliów oficera huzarów, odcinającego się od szarego tkumu jaskrawą czerwienią munduru, wyskoczył z samochodu, aby zasięgnąć języka. Ale i bez tego zabiegu sytuacja stała się jasną, z kłębow dymu wyłonił się korpus sapiącej lokomotywy i tuż przed nami przedelfowały z guchotem i stukiem dwa długie pociągi, złożone z wagonów osobowych, literalnie napakowanych marynarzami. Stali oni stłoczeni na platformach, siedzieli na dachach wagonów, z każdego okna wykłtywał pęk marynarzy, na wpół wychylonych na zewnątrz, krzyczących coś na całe gardło i machających czapkami w stronę zgromadzonej wzdłuż toru publiczności.

Zamieniliśmy z Komendantem dyskretnie, lecz znaczące mrugnięcie. Spojrzałem na naszych towarzyszy: i hrabia i rotmistrz mieli miny niepewne i kwaśne. Rzecz można, iż wjeżdżamy do Berlina razem z rewolucją.

Na nierównym bruku przedmieścia ostatnia para "puddingów" zaczęła smażyć się i topić z zatrważającą szybkością. Posuwaliśmy się krok za krokiem, żelazne obręcze stukały i podskakiwały, uderzając o uliczne kamienie. Von Gulpen, korzystając z pomyślnego okoliczności, iż jego willa leżała po drodze, w ogrodowej, podmiejskiej dzielnicy, zdecydował, że musimy zatrzymać się na godzinę u niego w mieszkaniu, skąd można było rozpocząć starania o nowy samochód. Była godzina piąta wieczorem, gdy ostatnim wysiłkiem nasze poczwierne maszyny, na gołkach obręczach, dowiekliśmy się na miejsce. Rotmistrz przyjął nas bardzo gościnnie, zapoznał ze swoją rodziną,

uraczył doskonałym podwieczorkiem. Spędziliśmy parę istotnie miłych chwil w zacisznym salonie, na ożywionej pogawędce. Von Guipen był dość dziwnym typem. Wesoły i rozmowny, sypał dowcipami, jak z rękawa. Zarówno sposób obejścia, jak i pełne prawdziwego smaku urządzenie domu wskazywały na wysoki poziom towarzyskiego kultury. A jednak od czasu do czasu poprzez zewnętrzny ogład i miłe maniere wyziierał z niego rąbek człowieka o instynktach zgola pierwotnych i dzikich. Miał on zwyczaj nosić stale przy sobie wielki sprężynowy nóż o kłindze ostrej i szerokiej. Wyciągał on go często z zanadrza, przy czym, demonstrując nam ową "broń", najlepszą, wedle jego zdania, dla celów starcia wręcz, wymieniał nieprawdopodobną zgola cyfrę Moskali, zarżniętych przez siebie wiasnoręcznie podczas walk na froncie kaukaskim, gdzie spędził dłuższy czas w szeregach tureckiej armii. Prawdopodobnie junkier "pur sang", - chętnie i komicznym oburzeniem odgrażał się w naszej obecności swym zrewoltowanym rodakom, obiecując sobie i naich skórce wypróbować ostrze swego umiłowanego majchra.

Samochód, który w międzyczasie przybył z jakiegoś urzędu, szymbko nas przywodził do hotelu "Continental", gdzie z polecenia "Auswartiges Amt" były od rana dla nas zarezerwowane apartamenty.

Jeszcze tego samego dnia, dość późnym wieczorem, Kessler zapowiedział Komendantowi wizytę hr. Lerchenfelda. Jak wiadomo, hrabia Lerchenfeld, późniejszy bawarski prezes ministrów, był w owym czasie przedstawicielem Niemiec przy Radzie Regencyjnej. Nie wiedząc wówczas o okolicznościach, w jakich zapadła decyzja gabinetu, dotycząca uwolnienia Komendanta, zaohodziliśmy w głowę, co może być celem tych nieoczekiwanych odwiedzin. Wyjaśniło się to wkrótce. Lerchenfeld na wstępie przeprosił za niezwykłą porę swej wizyty, twierdząc, iż został wysłany przez gen. Beselera, aby spotkać Komendanta w Berlinie i towarzyszyć mu w dalszej podróży. - w międzyczasie jednak otrzymał wiadomości z Warszawy, które czynią niezbędny natychmiastowy jego powrót. W toku dalszej rozmowy szydło rychło wyłazło z worka, pomimo widocznych starań Lerchenfelda, by wywodom swym nadać formę bardzo ogólną i dyplomatyczną. Wyłuskując sens jego słów spośród licznych obsłonek i upiększeń, można było zrozumieć, iż chodzi o wydobycie z Komendanta deklaracji, dotyczącej jego ustosunkowania się w przyszłości do Niemiec, Lerchenfeld z naciskiem podkreślał, iż Beseler czeka na odpowiedź, którą on mógłby zaraz zawięzić do Warszawy. Komendant wyraził swe zdumienie, iż zwolnienie jego, które zostało nam zakomunikowane jako decyzja Rządu bez żadnych cmowień lub zastrzeżeń, obecnie, sądząc ze słów hr. Lerchenfelda, nawiązywane jest do pewnych warunków, żaluje bardzo, że wcześniej o tym nie wiedział, albowiem musiały się grubo zanymyślić, czy w podobnych okolicznościach może korzystać z ofiarowanej mu wolności, żadnych obwiadczeń Beselerowi udzielić nie jest w stanie, - sądzi zresztą, że będzie miał niebawem okazję rozmawiać z nim osobiście w Warszawie. W ostatecznym wyniku, odpowiedź Komendanta była niedwuznaczna, kategoryczną odmową składania jakichkolwiek deklaracji, lub zobowiązań.

Zestawiając przebieg sceny w berlińskim "Continentalu" z tym, co wiem obecnie o kulisach sprawy, sądzę, iż można dość ściśle zrekonstruować właściwy przebieg wypadków.

Jest rzeczą zgola nieprawdopodobną, ażeby w obradach gabinetu, dotyczących zwolnienia Komendanta, Beseler nie brał udziału, osobiście, lub przez swego zastępcę. Rząd niemiecki trwał zawsze przy swej pierwotnej uchwale zwolnienia warunkowego, t. zn. pod rygorem

złożenia owej słynnej deklaracji. Możliwym jest, iż pod naciskiem rozpoczynającej się w Magdeburgu rewolty, zdecydowano się wysłać do hr. Kesslera rozkazy nieporuszania wcale tej sprawy, przy oblicywaniu sobie przeprowadzenie jej na miejscu, w Berlinie. Prawdopodobniejszą jednak wydaje mi się hipoteza, że w całej imprezie hr. Kessler odgrywał rolę raczej pomocniczą, a delikatna misja wydobycia deklaracji została od razu powierzona Lerchenfeldowi. Gdyby nie dalszy rozwój rewolucji, który właściwie wymusił nasz wyjazd z Berlina, należałoby przypuszczać, iż cała ta historia miała by swój ciąg dalszy - inaczej mówiąc, po nieudanej misji Lerchenfelda nastąpiłoby musiały dalsze narady między Rządem Rzeszy, Beselerem i Kwaterą główną.

Tak, czy inaczej, odniosłem wrażenie, że hr. Lerchenfeld, opuszczając hotel, nie tail swego złego humoru. Omawiając wówczas z Komendantem przebieg wizyty, wyraziłem przekonanie, że zamiast do Warszawy trafimy ponownie za kratę.

Doprawdy, nie mogliśmy się uskarżać na monotonię zdarzeń w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Rano więźniowie stanu, wieczorem "goście" Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jutro, być może, w Ojczyźnie, być może, za kratami Mcabitu, lub pobliskiej, a dobrze już znanej Szpandawy.

W oczekiwaniu tego, co w dniu następnym loteria życia przyniesie mogła, kładłem się na spoczynek w pudry i atłasy z uczuciem "Schadenfreude" i zaprawionej pewną złośliwością ironii.

10 listopada rano postanowiliśmy z Komendantem odbyć pieszą przechadzkę po ulicach Berlina, przyjrzeć się miastu i na podstawie bezpośredniej obserwacji, zdać sobie sprawę ze stanu rzeczy w stolicy Niemiec. Pewną trudność sprawiała okoliczność, iż Komendant, który cały czas niewoli spędził w mundurze legionowym i nie miał z sobą cywilnego ubrania nie chciał wychodzić na miasto bez szabli.

Hr. Kessler od rana już oczekiwał na dole, w hallu hotelowym. Przyszliście on zaprosił nas na śniadanie, w którym wziął udział książę Hatzfeldt, zdaje się, ówczesny referent spraw polskich w Auswärtiges Amt, czy też w Urzędzie Kanclerskim. Nie mogę powiedzieć, abyśmy się czuli oczarowani tym nowym aktem niezgrabnej kokieterii. Cóż jednak mogliśmy zrobić, pomimo wszelkich pozorów faktycznie byliśmy jeszcze wówczas więźniami, i nolens volens, trzeba było przyjąć "uprzejme zaprosiny". O naszym wyjeździe do Warszawy Kessler, pomimo lekkich nagabywań z mej strony, nie wspomiał ani jednym słówkiem, co zdawało się świadczyć o trafności moich wczorajszych domysłów. Skorzystałem z jego obecności, by zażądać szabli dla Komendanta. Kessler nie śmiał odmówić, wyszedł i po pewnym czasie dostarczył wprowadzić nie szablę, ale oficerski bagnet, który, zresztą i w legionach stanowił zwykłą broń boczną, noszoną w polu.

Mniej więcej około 12-ej w południe wyszliśmy z Komendantem na miasto. Byliśmy sami, choć, zapewne, jakiś niewidoczny i dyskretny "anioł-stróż" towarzyszył nam w dyskretnym oddaleniu. Słyszeliśmy długo przez Friedrichstrasse, po czym skręciliśmy w Leipziger-Strasse, wracaliśmy koło Pariserplatz i przez Unter den Linden.

Fizjonomia śródmieścia nie zdradzała nic podejrzanego, ruch na ulicach miał wygląd normalny, sklepy były otwarte, ludność w zwykłym tempie dnia powzedniego spieszyła gdzieś za swymi codziennymi sprawami. Jedynym symptomatycznym szczegółem była mała ilość wojskowych, spotykanych na ulicy: na całej wymienionej przestrzeni nie



widzieliśmy bodaj ani jednego oficera w mundurze.

Przed drugą czekał już w hall'u nieodłączny hr. Kessler, aby nas zabrać na śniadanie do słynnej restauracji Hillera na Unter den Linden. Szliśmy pieszo, i znów staranna moja obserwacja nie zdołała wykryć żadnej oznaki, świadczącej o zakłóceniu normalnego rytmu ulicznego ruchu. Zdawać by się mogło, iż wczorajsze zdarzenia w Magdeburgu, widmo rewolucji, spotkanie u bram Berlina, w Dobe-ritz, były tylko uludą, sennym marzeniem.

Śniadanie było zastawione w osobnej, niewielkiej sali, położonej nie od ulicy, lecz w tylnej części lokalu. Szereg lokajów w nieskazitelnych frakach, stół, zastawiony wspaniale, śnieżna biel obrusa, kwiaty, jarzące refleksy srebra i kryształów, dywany, witraże, ciężkie boazerie i bogate złocenia staroniemieckiego stylu, — wszystko zalane potokiem elektrycznego światła spiływającego z zapalonych pajaków. Okna sali były szczerline zasłonięte żaluzjami od zewnątrz. Ks. Hatzfeldt, hr. Kessler, rotm. von Gulpen i ja po cywilnemu, — jedynie Komendant w swoim skromnym, nieco wyszarzanym mundurze, którego siwa plama dziwnie odbijała od całości obrazu.

Od samego początku, przy biesiadnym stole zapanował namstrój niezręczny i wyraźnie fałszywy. Komendant był milczący i zamysłony, ja, zły na cały ten niedorzeczny pomysł, postanowiłem jeszcze po drodze do Hillera, iż będę bardzo chłodny i pełen demonstracyjnej rezerwy. Rozmowa rwała się co chwila, ustępując miejsca kłopotliwemu milczeniu. Nie pomagały najprzedniejsze i najwyszukiwsze potrawy, które nie różniły się niczym ani pod względem doboru ani jakości od przedwojennych smakołyków: dla zakładu Hillera wojna jakby nie istniała, jej prywacje, zakazy i ograniczenia nie miały widocznie dostępu do tego przybytku uprzywilejowanych. Na próżno ks. Hatzfeldt i hr. Kessler silili się na uprzejmość, — nadaremnie von Gulpen usiłował ratować sytuację swymi dowcipami, — milkiły one glucho, bez echa, chybiając najzupełniej celu.

Jakoś między drugą a trzecią potrawą, ktoś z administracji lokalu wszedł do sali i, zbliżywszy się do ks. Hatzfeldt'a zaczął mu coś długo i z przejęciem szeptać do ucha. Widocznie szeptał wierał wiele interesujących szczegółów, gdyż twarz słuchającego spoważniała w gnieniu oka. Ks. Hatzfeldt wstał z krzesła i zwrócił się do nas z lekkim, ledwie wyczuwalnym drżeniem w głosie:

"Panowie wybaczą, iż muszę ich na chwilę opuścić. Z urzędu Kanclerza Rzeszy wzywają mnie do telefonu".

Gdy po kilkunastu minutach wrócił, spojrzałem mu uważnie w twarz: wydało mi się, iż kąciki ust drgają nerwowo. Kessler nie spuszczał z niego pytającego wzroku: Hatzfeldt w odpowiedzi skinął z lekką głową.

Zrozumiałem, iż tam na mieście, poza szczelnymi żaluzjami dzieje się coś niedobrego. Nie mogłem sobie odmówić małej satysfakcji, czy zemsty i, ożywiwszy się zniecała począłem rozwijać swoje towarzyskie talenty, inaugurując "une causerie brillante" w najwytworniejszej niemieczyźnie, na jaką mnie stać było. Oczywiście, z kolei nasi gospodarze dziwnie zeszytnieli i wszelkie moje wysiłki nie zdołały z nich wydobyć nic więcej ponad krótkie, machinalne, z widocznym wysiłkiem, udzielane odpowiedzi. Atmosfera stawała się z minuty na minutę coraz duszniejszą i bardziej nerwową.

Funkcjonariusz lokalu zjawił się powtórnie w sali:

"Durchlaucht werden zum Telephon gebeten"...

Oczekując na powrót Hatzfeldt'a milczeliśmy wszyscy, - teraz już szczerze, bez żenady, nie zadając sobie żadnego przymusu. Nieobecność jego trwała tym razem dość długo. Zacząłem się już niecierpliwie w duchu, przeczuwając, że zbliża się decydująca chwila. Nareszcie ks. Hatzfeldt ukazał się we drzwiach. Za chwilę wiedziliśmy już wszystko. W Berlinie rewolucja. Z rozkazu Kanclerza Rzeszy mamy niezwłocznie wyjechać do Warszawy. Osobny pociąg będzie nas oczekiwał za pół godziny na dworcu Friedrichstrasse. Kessler oraz von Gulpen towarzyszą nam w podróż.

Opuszczaliśmy salę w pośpiechu, pozostawiając za sobą stojący stół biesiadny, pełne talerze, nietknięte kielichy i szereg kelnerów, wystraszonych i zastygłych w bezruchu z późniskami w rękach...

Tak skończyła się ta przedziwna "uczta zadżumionych".

Gdy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi restauracji, znaleźliśmy się na Unter den Linden, ujrzeliśmy widowisko, którego do końca życia nie zapomnę. W przeciagu półtorej godziny spędzonej u Hillera, sceneria ulicy zmieniła się jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Środkiem jezdni sunęły jeden za drugim wojskowe samochody ciężarowe, przystrojone w czerwone sztandary, wypełnione po brzegi marynarzami, żołnierzami, robotnikami. I po ulicznym asfalcie i wzdłuż szerokich chodników snuły się gęsto tłumy demonstrantów i publiczności, przemieszane z grupkami uzbrojonych w karabiny cywilów. Łoskot samochodów, okrzyki demonstrantów, głosy rozprawiającego i gestykulującego tłumu zlewały się w przeciągłą wrzawę, która wypełniała po brzegi dumną ulicę, biła w mury wspaniałych kamienic. Sceny rewolucyjne, nie wyłączając gwałtownych i bardzo krwawych nie były dla mnie nowością, - a jednak przyznać muszę, iż obraz zrewoltowanego Berlina, zapewne, dzięki swej paradoksalności, wywarł na mnie głębokie wrażenie.

Z trudem przeciskaliśmy się przez tłumy, zanim zdokaliśmy nareszcie dopaść jakiejś bocznej ulicy. Hotel był prawie pusty, większość służby gdzieś się rozbiegła, zaś ci, którzy pozostali, tkwili u okien, wychodzących na ulicę. Na korytarzu jakaś pokojówka, - niebrzydka i fertyczna Niemeczka - podniósłszy do oczu rąbek swego białego fartuszka, płakała rzewnie, raczej z radości, niż z przestrochu. W nagłym przystępie świetnego humoru, korzystając z rozpoczętej ery równości, braterstwa i swobód obywatelskich, przyskoczyłem do płaczącej dziewczyny i, zanim zdążyła ochłonąć ze zdumienia ucałowałem ją w oba różowe policzki.

Dworzec Friedrichstrasse był niedaleko. Pociąg, złożony z lokomotywy i jednego wagonu I klasy stał już pod parą, Kessler i von Gulpen czekali na peronie. Niebawem światła Berlina znikły za nami. Jechaliśmy naprawdę do Warszawy.

Godzina mijała za godziną, a spać się nikomu nie chciało. Nasi towarzysze podróży czuli się dość niepewnie i nie ukrywali swego niepokoju, który wzrastał jawnie przed każdą większą stacją. Twarze ich rozjaśniały się jednak stopniowo, w miarę jak ubywało przestrzeni, gdyż wszędzie po drodze funkcjonowały jeszcze dawne władze cesarskie. Dopiero w Toruniu dopędziła nas rewolucja: na dworcu urzędowała już Rada robotników i żołnierzy. Pociąg zatrzymano i poddano oględzinom. Przedstawiciele władzy rewolucyjnej zachowali się w stosunku do Komendanta nader uprzejmie, a nawet z pełną demonstracyjną kurtuazją. Role odwróciły się: hr. Kessler i rotm.

von Gulpen przeszli pod naszą opiekę.

11 listopada, w szary poranek jesienny, stanęliśmy na dworcu wiedeńskim w Warszawie.

Kazimierz Sosnkowski

/"Za kratami więzień i drutami  
obozów" - Warszawa 1928/



Kazimierz Świątowski

## WYPÓWIEDZI PIŁSUDSKIEGO

/fragmenty/

9 maja 1926 r.

Przed tym dniem nastąpiły takie wypadki:  
Dnia 18.IV.26 r. na konferencji przedstawicieli klubów, tworzących koalicję rządową, Świątowski zapowiedział wystąpienie z niej PPS. Dnia 20.IV. CK i Klub pocięli PPS uchwalili odrzucenie programu ministra skarbu Żdźwiechowskiego i poleciła swoim ministrom podesć się do dymisji. / Pismo Zbiorowe, t.VII str.325/. Skrzyński na skutek tego faktu wniósł dn.21.IV. podanie o dymisję, która nie została przez Wojciechowskiego przyjęta, Skrzyński zaczął poszukiwać dla siebie nowej większości sejmowej /ibid., str.329/, a gdy te zabiegi okazały się bezowocne, podesć się ponownie dn.5.V. do dymisji, która została przyjęta. Misję tworzenia gabinetu otrzymywali po tym dniu kolejno Witos, potem Chaciniński /Ch.B./, potem jeszcze raz Witos, gdy ich próby stworzenia rządu nie dały rezultatu, misję tworzenia gabinetu otrzymał 8.V.26 r. Władysław Grabski /ibid., str.332/.

Wojciechowski pragnął nerwowo wiedzieć się z Komendantem. Było to w związku z trudnościami, na jakie Władysław Grabski natrafił przy formowaniu swego gabinetu. Żeligowski i Wacław Makowski uzależnili swą odpowiedź, czy zgodzą się na wejście do rządu, od opinii Komendanta. Makowski był u Komendanta i otrzymał radę, by teki nie przyjmował. Tę samą radę otrzymał Żeligowski.

Rozmowa w Belwederze odbyła się z początku przy udziale Wł. Grabskiego. Te części rozmowy miały przebieg tak ostry, że Władysław Grabski opuścił konferencję mimo wstrzymywania go przez Wojciechowskiego. Komendant wysunął zarzut, że za czasów premierostwa Grabskiego były takie sprawy w gospodarce wojskowej tolerowane, które teraz kończą się kryminalami. Grabski usprawiedliwił się, że nie on ponosi za to winę, a Sikorski. Na to Komendant replikował, że Grabski, jako ówczesny premier musi za to ponieść odpowiedzialność, tym bardziej, że był ostrzegany przez Komendanta.

Po opuszczeniu konferencji przez Grabskiego, Wojciechowski przyznał, że Grabski natrafił na trudności, i że liczył on jeszcze na pomoc Komendanta. Wojciechowski na wraźenie, że misja Wł. Grabskiego nie uda się. Wojciechowski liczy się z tym, że NPR i poważnie uchwałę oświadczaającą się za przyłączeniem się jej do spółki Chjeno-Piasta. Wojciechowski jest wprawdzie zdecydowany powierzyć teraz Skrzyńskiemu misję tworzenia gabinetu, ale o ile nie nastąpi "démarché" prawicy, to może co innego wypaść.

Komendant mówił, że o ile nie się łączy na rząd parlamentarny, to po co wybierać figury prowokacyjne. Lepiej np. zatrzymać się na

osobie Jana Dębskiego<sup>3/</sup>, bo w każdym stronnictwie są ludzie, którzy boją się zbyt ostrego stawiania kwestyj.

Wojciechowski na to odrzekł, że Witos zwalczał Dębskiego. Wojciechowski trochę namawiał Komendanta, by godził się na Witosa. Wojciechowski uważa, że wszyscy idą przeciw Wojciechowskiemu i dlatego doprowadzając do fiaska jego usiłowania. Zapytał się, czy Komendant byłby gotów skończyć "z tym", tzn. z Sejmem. Komendant odpowiedział: nie.

Wieczorem tego dnia zebranie po łów lewicy. Koncepcja Komendanta: "Gruba czwórka"<sup>4/</sup> może nie zrobić pabinsiu, ale wyzyskiwać ona może to, że posiada w Sejmie większość. Dlatego trzeba się liczyć z tym, że nie będzie można teraz od razu przejść na koncepcję rządu pozaparlamentarnego. Byłby może możliwy powrót do rozszerzonej koalicji. Wtedy można by wejść do takiego rządu, gdyby w nim zasiadło tylko po jednym reprezentancie z każdego klubu - przy neutralizacji resortu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i oddaniu Komendantowi Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Najprawdopodobniej prawica nie zgodziłaby się na utworzenie takiego rządu i wtedy pobiłoby się ją jej własną bronią. Gdyby natomiast ona zgodziła się na taki rząd, to przy zgraniu się trzech ministrów, wchodzących z ramienia stronnictw lewicowych<sup>5/</sup>, pod batutą Komendanta można by próbować zmniejszyć szujostwo w Polsce.

Komendant kładzie wagę na taktykę a nie na programy. Komendant ocenia sytuację obecną jako etap jego walki z szujami.

Najwięcej oporu w stosunku do wysuwanej przez Komendanta koncepcji było ze strony Poniatowskiego, ale ostatecznie był on skłonny pójść na nią.<sup>6/</sup>

Przypisy /autora/.

1/ Skrót nazwy Narodowej Partii Robotniczej z Adamem Chądzyńskim na czele.

2/ Skrót bloku wyborczego ND i partii Dubanowicza pod nazwą: Chrześcijańska Jedność Narodowa.

3/ Jan Dębski, członek stronnictwa ludowego "Pisst".

4/ Ironiczna nazwa dla prezesów klubów Związku Lud/owo/-Nar/odowego/ /N.D./, "Pissta", Ch.D. i N.P.R.

5/ PSL "Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie z Janem Dębskim na czele.

6/ Władc z przebiegu konferencji zarówno w Belwederze jak i z posłami lewicowymi, że Piłsudski gotów był w danej sytuacji zadowolić się kompromisowym wyjściem drogą parlamentarną. Utworzenie rządu Witosa na drugi dzień po tych konferencjach, tzn. 10.V.26 r. o 14.30 zamknął drogę do takiego kompromisu, co spowodowało Piłsudskiego do pójścia na drogę poza parlamentarną.

*Moja notatka bez daty, ale napisana, o ile sobie przypominam - zaraz po ustaniu walk w Warszawie a więc około 15 maja 1926 r./*

Komendant w ostatniej fazie tworzenia się gabinetu Witos był przekonany, że nie dojdzie on do skutku. Przypuszczał, że jeszcze w południe tego dnia, w którym ogłoszono fakt utworzenia rządu, Witos nie znajdzie ministra spraw wojskowych i będzie musiał usiłować, by w tej sprawie porozumieć się z Komendantem.

Gdy rząd został już sformowany 1/, Komendant po południu 10 maja podyktował wywiad 2/ i wyjechał do Sulejówka.

Na drugi dzień skonfiskowano 3/ wywiad Komendanta, a po demonstracjach w kawiarniach warszawskich czuć było, że nowy rząd pójdzie na represje. Pieracki i Więckowski 4/ zostali zwolnieni ze swoich stanowisk. Dreszerowi kazano się meldować w Komendzie Miasta. Wydano zarządzenie co do ściągnięcia oddziałów z DOK Toruń do Warszawy.

Z tymi wiadomościami pojechali do Sulejówka Wieniawa i Miedziński. I wtedy Komendant postanowił robić demonstrację.

O tym, że miała to być tylko demonstracja świadczą następujące fakty: Komendant podporządkował sobie garnizon rembertowski w taki sposób, że musiało się dowiedzieć o tych krokach Ministerstwo Spraw Wojskowych z meldunków czy to Pricha 5/ czy Paszkiewicz 6/, z którymi Komendant rozmawiał telefonicznie. W tych rannych godzinach dnia 12.V. Komendant chciał połączyć się telefonicznie z gen. Malczewskim 7/ ale ten udał, że go nie ma.

Komendant o godz. 10-tej wyjechał z por. Galińskim do Warszawy dla zobaczenia się z Wojciechowskim i Malczewskim. W Warszawie odstąpił od tego zamiaru. Wojciechowskiego zresztą w tym dniu reno n e było w Warszawie.

Komendant wrócił do Rembertowa i zarządził marsz 7 p. ułanów i baonu manewrowego 8/ na Warszawę, który rozpoczął się o godz. 13-tej.

Pułk 36-ty miał obsadzić most Kierbedzia a szwoleżerzy most Poniatowskiego, którego wylotu zachodniego, a więc od strony Nowego Świata jednak nie zajęto.

O godz. 17-tej wiadukt mostu Poniatowskiego od strony Warszawy został obsadzony przez oficerską szkołę piechoty, która ustawiła karabiny maszynowe w kierunku mostu.

Wojciechowski przyjechał na wiadukt i zażądał od Stamirowskiego 9/, by ten przeczytał jego rozkaz do wojska.

Stamirowski pojechał z tym pismem do Komendanta. Po czym nastąpiło spotkanie Komendanta z Wojciechowskim. Wojciechowski zażądał podania się rozkazom prawowitej władzy. Komendant obiecał Wojciechowskiemu zarówno jego osobiste bezpieczeństwo jak i nietykalność jego stanowiska.

Wojciechowski zwrócił się wtedy do oddziału Porwita 10/ złożonego z karabinami maszynowymi, by czynili swą powinność.

W ten sposób Komendant znalazł się właściwie na kilka kroków przed zwróconymi w jego stronę karabinami.

Komendant powiedział wtedy Wieniawie na ucho, by tymczasem zażądał oficerów ze szkoły piechoty na to, by Komendant mógł sam odjechać i ściągnąć z mostu konie 7 p. ułanów.



Most Poniatowskiego nie był forsowany, gdyż 36 pp. zajął cały most Kierbedzia. Gdy za jakiś czas znalazłem się na tym moście, przyjechał tam Komendant, kazał 36 pp. posunąć się dalej w kierunku Placu Zamkowego a mnie polecił, bym skontaktował się z kolejerzami 11/ i skłonił ich, by dla zapobieżenia transportom wojskowym robili im utrudnienia 12/.

- 
- 1/ Wojciechowski podpisał nominację rządu Witosa o godz. 14.30 dnia 10.V.26 r. /Malicki str. 280/
  - 2/ per. Piasek Zbiór. t. VIII. str. 333-6
  - 3/ Konfiskatę Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę podpisał Tłuchowski.
  - 4/ /Brak przypisu. Płk Bronisław Pieracki i płk Aleksander Więckowski./
  - 5/ /Brak przypisu. Gen. Rudolf Prich pełnił wówczas funkcję komendanta "Ośrodka Doświadczalnego Armii" i garnizonu w Rembertowie./
  - 6/ Płk Paszkiewicz był wtedy dowódcą Szkoły Podchorążych.
  - 7/ Gen. Malczewski był Ministrem Spraw Wojskowych w rządzie Witosa.
  - 8/ Batalion ten był stacjonowany w Rembertowie przy kursie dla dowódców batalionów.
  - 9/ Kazimierz Stasiński z rozkazu Piłsudskiego objął dowództwo w Rembertowie /Pobóg t. II str. 477/
  - 10/ Mjr Porwit był dyr. nauk w Szkole Podchorążych /Pobóg t. II str. 477/
  - 11/ Ponieważ Plac Zamkowy był w owym momencie w rękach 30 p. strzelców, będącego postronie rządu Witosa, więc między tym placem a mostem Kierbedzia było coś w rodzaju linii dzielącej dwa fronty. Komendant zatrzymał jeden z wozów tramwajowych, które ściągały do ramizy. Kazał mi wsiąść do tego wozu jadącego w stronę Placu Zamkowego i w ten oryginalny sposób przekroczyłem linię bojową.

12/ Udziłem się do lokalu Zw. Zaw. Kolejerzy i rozmawiałem z pos. Kuryłowiczem, który oświadczył pełną gotowość wykonania poleceń Piłsudskiego.

Po spełnieniu tego zadania spotkałem Piłsudskiego późnym wieczorem 12 maja, gdy zmienił swą kwatery z Pragi na ulicę Królewską. Jechałem z nim autem i zatrzymaliśmy się na chwilę na Placu Zamkowym. Piłsudski wysiadł na chwilę z auta, by rozmówić się z nepotkanym tam płk. Stanisławem Skwarczyńskim. Mógł z nim porozumieć się tylko przykładając swe usta do ucha rozmówcy, gdyż Plac Zamkowy był pełen tłumu, który entuzjastycznie wiwatował na cześć Piłsudskiego. Gdy wsiadł na nowo do samochodu pochylił się w moją stronę i powiedział: "Zwyciężyłem". Było to wyrażenie dowodem, że nastroj społeczeństwa uznał Piłsudski za przesłankę gwarantującą powodzenie jego akcji.

W późniejszych latach moi przyjaciele polityczni nie bardzo chcieli brnąć pod uwagę nastrojów "tłumu".

Pamiętam, że ilekroć Komendant powracał do wspomnień o wypadkach majowych, to zawsze mówił, że jego pierwotnym zamiarem było przyjechać do Warszawy w sędzijskich oddziałach, wejść do gmachu Sztabu Generalnego i czekać na konsekwencje tego faktu. Sądził, że

wtedy gabinet Witosa będzie zaakoczony tym, że jego Minister Spraw Wojskowych gen. Malczewski nie zdołał zyskać sobie posłuchu pewnych oddziałów wojskowych i że ten fakt według wszelkiego prawdopodobieństwa albo zmusi Wojciechowskiego do jakichś pertraktacji z Piłsudskim, albo ten fakt skłoni samego Witosa do podania się do dymisji; albo Prezydent taką dymisję spowoduje.

#### POGLĄD NA WYPADKI MAJOWE 1926 R.

/pisany w październiku 1958 r./

W chwili rozpoczęcia swej akcji w dn. 12.V.26. Piłsudskiego intencją i plenum nie było zrobienie czegoś, co zasługiwałoby na miano zamachu stanu. Nie miał na myśli ani pozbawienia Wojciechowskiego stanowiska Prezydenta ani nie planował jakiejś swej bezpośredniej akcji obalenia rządu Witosa.

Aranżował demonstrację, która według jego początkowej koncepcji mogła według wszelkiego prawdopodobieństwa mieć jako swój skutek ustąpienie rządu Witosa. Przy czym nie dążył do zastąpienia go swoim rządem, tzn. do narzucenia swego premierostwa, a zadowoliliby się objęciem teki Ministra Spraw Wojskowych w gabinecie oczyszczonym od jego zdecydowanych przeciwników.

Takie rozwiązanie sprawy mogłoby - jak to widać z wynurzeń Piłsudskiego przed 12 maja - mogłoby go zadowolić. Uswaiałoby bowiem to niabezpieczeństwo, które Piłsudski uważał za najbardziej groźne. Była nim tendencja partji do takiego ingerowania w stosunki w wojsku, by ono stało się narzędziem w rękach tego czy innego stronnictwa. Ta obswa była genazą gwałtownego publicystycznego ataku Piłsudskiego przed 12 maja na projekty ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych.

Atak ten był o tyle nie dość fortunnie obrany, że cały temat mógł być zagmatwany prawniczymi dysertacjami, w których szersze kręgi opinii nie bardzo się mogły wyznać i stąd były one skłonne sprzeczności do siebie całe zagadnienie do personalnego sporu między Piłsudskim a Szepetykiem czy Sikorskim. Po drugie samo meritum sprawy nie było w zasadzie dość łatwe do definitywnego rozwiązania. Piłsudskiemu słuszenie chodziło o to, by Naczelny Wódz "in spe" ochronić od nacisków partyjnych. Ale w ustrojach parlamentarnych trudne jest uczynić Naczelnego Wodza zupełnie niezależnym od Min. Spr. Wojsk., który będąc odpowiedzialnym przed parlamentem, może ulegać inspiracjom stronnictw i może z kolei nalegać na Naczelnego Wodza by i on był im powolny. Najlepszym sprawdzieniem trudności tego zagadnienia jest fakt, że Piłsudski do końca swego życia nie próbował w pełni legitylitywnie określić hierarchicznych stosunków między Min. Spr. Wojsk. a Gen. Inspektorem.

Dekret Prezydenta podpisany przez Piłsudskiego jako Min. Spr. Wojsk. z dn. 6.VIII.26. r. nie załatwia tego zagadnienia w art. 5 gdyż mówi tylko, że "wnioski co do obsady stanowisk dowódców pułków i wyższych Minister Spraw Wojskowych uwzględnia z Gen. Inspektorem". Piłsudski ograniczył się przy załatwianiu tego zagadnienia do oświadczenia zawartego w piśmie z dn. 8.VI.26 r. do premiera Bartla, zawierającego warunki Piłsudskiego przyjęcia przez niego teki Ministra Spraw Wojskowych. Brzmiało ono: "Jako minister spraw wojskowych... oświadczam z góry, że w kwestiach obrony państwa będę repre-

zentował jego /tzn. Gen. Inspektora/ zdanie, a nie swoje, pokrywając w ten sposób konstytucyjną odpowiedzialnością jego pracę i jego zdania".

Faktycznie teoretyczna możliwość powstania różnic między Gen. Inspektorem a Ministrem Spraw Wojskowych została usunięta, gdyż Piłsudski do końca życia piastował obie te funkcje.

Stopień niebezpieczeństwa ingerowania czynników partyjnych w stosunki wojskowe zależy od dwóch czynników. Od tego czy groźba konfliktów zbrojnych jest bliższa czy dalsza i od tego, czy życie polityczne w kraju jest mniej czy bardziej zorganizowane.

Po traktacie rzymskim stronnictwa były przekonane, że Polska na na dłuższy czas pokój. Najlepszym tego dowodem było to, że PPS w okresie uczestniczenia w gabinecie Skrzyńskiego chciała zapewnić równowagę budżetową przez zmniejszenie wydatków na armię drogą skrócenia o połowę czasu służby wojskowej, tzn. do jednego roku /por. Pobóg t. II str. 472/.

Inne było wyczucie Piłsudskiego. Interesował się zawsze bardzo żywo sytuacją wewnętrzną w Rosji Sowieckiej i wyrażał przypuszczenie, że im większe będzie miało ona trudności wewnętrzne, tym bardziej może być skłonna do zlikwidowania tarc wewnątrznych w atmosferze przygotowań wojennych, do których można było zaliczyć inaczejowanie rozlicznych wtedy dywersji na naszych wschodnich granicach. Wiedziony takimi swymi przewidywaniami mógł być Piłsudski bardziej niż inni przejęty niebezpieczeństwem zdemoralizowania armi partyjnymi ingerencjami, które w okresie sprawowania władzy Naczelnego Wodza widział i z dużą gorczycą potem o nich w swych enuncjacjach wspominał.

Nie tylko jednak różnice w ówczesnych ocenach trwałości pokoju wpływały na żywienie większych lub mniejszych trosk o zdrowie armii. Największe niebezpieczeństwo wypaczenia istoty wojska wynikało z ówczesnego niedorozwoju naszego życia politycznego, którego po 130 latach niewoli nie mogliśmy się pozbyć w tych kilku latach niepodległego bytu. Szesnasmowa była wielka ilość ugrupowań politycznych, z których żadne nie mogło wylegitymować się jakimś szerszym poparciem opinii. Organizacje ich były lichy. Wpływy propagandowe nikłe. Olbrzymia przewaga warstw dość biernych a jeszcze większa ilość obywateli niezdolnych do orientowania się w zagadnieniach - dawało w rezultacie to, że te drobna a ekłótna garstka ludzi parających się polityką miała na ustach buńczuczna przechwałki o swą siłę, w którą w głębi duszy sama nie wierzyła.

Ten stan rzeczy skłaniał leaderów partyjnych do tęsknego zerkania w stronę wojska. Bacznie śledzili, komu zostaje powierzane dowództwo nad większymi jednostkami wojskowymi i żywili pragnienia, by ważne postarunki zostały obsadzone ich mniej lub więcej zaswanowanymi zwolennikami, licząc na to, że żołnierze zwykli są iść ze głosem swych bezpośrednich przełożonych. Realizacja takiej polityki personalnej dawałaby kierownikom stronnictw możność powoływania się na idące w ich duchu opinie wojska, szermować tym ważkim argumentem i żywić nadzieję, że w momentach zaostżenia się stosunków wewnętrznych armia w ostatecznej rozgrywce przechyli, dzięki swej realnej sile, szalę wypadków na ich korzyść.

Powrót Piłsudskiego do wojska zamykał partiom prawicowo-centrowym taką do władzy drogę, którą wobec niewiary we własne siły uważały za najskuteczniejszą i najszybszą prowadzącą do ich celów. Dlatego stronnictwa te zrobiły w latach 1923-26 wszystko, by nie dopuścić Piłsudskiego do pracy w wojsku.



W stronnictwach lewicowych zaczęły już wówczas zjawiać się zastrzeżenia co do osoby Piłsudskiego, ale mimo to partie te uważały powrót jego do wojska za pożądany. Stawał się on dla nich najpewniejszą gwarancją, że prawice nie zdoła opanować armii swymi wpływami i że będzie wekutek tego musiała zrezygnować z dość żywych wówczas w jej sferach zachcianek zrobienia jakiegoś puczu. Lewice nie czuła, by miała szanse sparaliżowania takich aspiracji drogą poddania wojska pod swoje polityczne wpływy. Wyżsi oficerowie byli skłonni do ulegania raczej wpływom tzw. inteligencji, z którą stykali się w codziennym życiu, a która w tych latach daleka była od podzielenia lewicowych poglądów, a o wiele bardziej skłonna do nasiąkania endeckimi punktami widzenia.

Część oficerów zwłaszcza wyższych żywiła w latach poprzedzających bezpośrednio wypadki majowe przekonania, że stronnictwa prawicowe mają szanse odegrania dominującej roli w państwie i że należy z nimi trzymać. Liczyli na to, że przy poparciu tych partii będą mogli swą osobistą aspirację do wyższych stanowisk zespokoić łatwiej niż przy powrocie do czynnej służby państwowej Piłsudskiego. Powstawały w ten sposób jakby luźne związki partyjno-wojskowe oparte na koncepcji wyświadczania sobie wzajemnych usług. Za poddanie wojska pod wpływy partyjne - uzyskiwanie w zamian wyższych funkcji wojskowych.

Tym się tłumaczy to paradoksalne na pozór zjawisko, że ludzie, stojący tak niedawno na przeciwstawnych biegunach politycznych, znaleźli wspólny język. Stanisław Grebski, zwolennik Ententy i pasywiści, a z gen. Szepetyckim, b. szefem austriackiego Generalnego Gubernatorstwa w Lublinie i z gen. Sikorskim, który w obozie sktywistów reprezentował kierunek daleko idącej ugodowości w stosunku do Austrii czy Niemiec.

I ten paradoks miał swój krwawy epilog. Promotorami bowiem dramatu, zmieniającego pleniową przez Piłsudskiego demonstrację w brestobójce walki byli generałowie Malczewski i Rozwadowski, którzy wbrew ententofilskiemu stanowisku Ner. Demokracji, aż do rozpadnięcia się Austrii lojalnie wypełniali swa obowiązki w jej siłach zbrojnych, i gen. Włodzimierz Zagórski, który przez cztery lata I-szej wojny światowej działał jako agent austriackiego wywiadu. A jednym z motywów wspaniałej walki w mieście był u nich antagonizm w stosunku do oficerów legionowych, których, mimo zdanie przez nich sześćioletniego agzasiu na polach bitew, nie przestali w swej zarozumiałości "zawodowców" uważać za dyltantów.

Polskie publicystyczne czy historyczne relacje o wypadkach majowych mają tendencję do pewnego zniekształcenia przebiegu owych zdarzeń. Zasugerowani późniejszym rozwojem wypadków mają skłonność ujmować te wydarzenia jako rokosz wojskowy, który miał leżeć w zamierzeniach Piłsudskiego przed 12 maja i od pierwszych godzin tego dnia był realizowany.

Stąd Pobóg-Malinowski kładzie zbyt nić naciek na zaaranżowanie przez Żeligowskiego z inspiracji Piłsudskiego międzygarnizonowych ćwiczeń, które miały na kilka dni przed 12 maja skonczyć w okolicach Rembertowa takie oddziały wojskowe, które Piłsudski miał zamierzać użyć do akcji /t. II str. 476/.

A Adam Próchnik w swej książce pt. "Pierwsza piętnastolecie Polski Niepodległej" już wyraźnie zbyt wielką wagę przywiązuje do

tego faktu, którym chce poddać w wątpliwość oświadczenie Piłsudskiego, że jego planem pierwotnym było ograniczenie się tylko do demonstracji. Próchnik powołuje się na to, że Piłsudski w swym wywiadzie mówił o fakcie zwyciężenia żołnierzy długimi marszami, które mogły uchronić z tego wniosek, że "takiego światowego rekordu nie dokonywa się dla przemarszu na gry wojenne". /str. 231/

Próchnik, który w rozdziale swym o przewrocie majowym stara się być względnie obiektywnym, przeoczył, że Piłsudski w swym wywiadzie z dn. 25.V.26 r. mówił o rekordowych marszach 13 pp. z Pułtuska i 5 p. jazdy z Ostrołęki, które miały miejsce nie przed 12 maja, a dnia 13 maja, to znaczy dopiero wtedy, gdy powstałe okoliczności zmusiły pierwotny plan demonstracji przemienić w konieczność zbrojnego starcia. /Por. Pism. Zbior. t. IX. str. 16/.

Potwierdza tę pomyłkę Próchnika również ustęp z rozmowy Piłsudskiego z korespondentem "Le Matin" Seuerweinem z dn. 23.V.26 r.: "Jeden pułk kawalerii w ciągu jednego dnia przebył 120 km., mimo to nie chciał wypocząć i wziął udział w wielkim manewrze nocnym, dzięki któremu nasi przeciwnicy zostali otoczeni." /Por. Pisma Zbior. t. IX str. 13/. Marsz więc tego pułku odbył się w drugim dniu walk, a więc 13.V. i brał on udział w ataku z 13 na 14 V.

+ + +

Przeciwnicy Piłsudskiego starali się i będą nadal usiłować wypaśćk majowe sprowadzić i zniwelować do rzędu buntu, rebelii czy rękosz wojskowego. Będą oni sami zwiedzeni lub zechcą innych zwiść pozornymi analogiami.

Wojskowi, dufni posiadaniem realnej siły, aspirują do rozstrzygnięcia spraw państwowych w krajach, które niedawno rozpoczęły swój byt niepodległy, w których formy życia politycznego nie zostały ukształtowane, w których opinia publiczna nie jest regulatorem życia państwowego. Są to kraje, które zapadają nie wręcz na choroby dziecięce, noszące nazwę "pronunciamento", a aranzowane przez coraz to innych generałów.

Wojsko może poczuć się uprawnione do wychodzenia poza zakres swych kompetencji i w starych państwach, mogących się legitymować długą swą tradycją życia politycznego, jeśli ono - jak we Francji - wypaszy się, popędnie w marazm i odbierze społeczeństwu wiarę, że pertie poradzą sobie z najbardziej żywotnymi problemami.

Państwo polskie przed majem 1926 r. miało i coś z ośweks w powiaksach i coś z paralityka niezdolnego do żadnego normalnego odruchu. Więc nie dziw, że wojskowi, którzy z natury swego fachu mają czujniej skierowany wzrok w te strony, które pozoga wojenną mogą zapłonąć i którzy bezwład państwa w takich momentach mogli się obawiać, stawiali się podatni na zewołanie, które i w społeczeństwie znechodziło coraz większy poełuch: "Trzeba raz z tym skończyć!"

Piłsudski, który zgodnie ze swą taktyką zdobywania swych celów etapami, chciał przede wszystkim odwrócić niebezpieczeństwo skazania "morsel" armii, tę sprawę właśnie uczynił motywem swej przedmajowej uwertury zagranej - trzeba przyznać - dość brutalnymi akordami.

Od spraw wojska się zaczęło i ono tylko w bolesnych i dramatycznych walkach rozstrzygnęło przy kim zostało zwycięstwo.

Cóż jeszcze można podejrznać amatorów deklamacyjnego wypadku amjowych do rządu puczów wojskowych? Chyba jeszcze to, że żołnierze w przeważającej liczbie szli za swymi bezpośrednimi przełożonymi, a o stanowisku dowódców większych jednostek decydowała w pewnym stopniu u jednych uczuciowa przynależność do obozu I Brygady Legionów, a u drugich solidarność z tymi, którzy przed wstąpieniem do armii polskiej służyli w wojsku austriackim i obawa, że bardzo krytyczny stosunek Piłsudskiego do wartości sztabów austriackich może się odbić na ich karierze.

Piłsudski po powrocie swym do wojska zrobił wszystko, by ten podział nie przeobraził się w jakieś "junty" i przy obsadach najwyższych stanowisk nie brał w żadnym stopniu pod uwagę, po której stronie jakich dowódców znalazł się podczas majowych wypadków.

Tym postępowaniem obrócili w niwecz lansowane przez przeciwników podejrzenia, że Piłsudski dlatego tylko zwalcza wpływy stronnictwa na obsady stanowisk wojskowych, by mógł sam powierzać je "swym ludziom" niezależnie od ich kwalifikacji.

Stucia analogii między wypadkami majowymi a rokroczną wojakowya nie ma żadnego uzasadnienia. Repertuar środków taktycznych w dziedzinie politycznej jest dość wąski. Dlatego nie przedstawia większych trudności wysledzenie ich podobieństwa. Różnica jednak zasadnicza polega na odpowiedziach: kto je stosuje i w jakim celu?

Piłsudski przy końcu tzw. okresu eulajewskiego dąży do władzy. To jest dobre prawo każdego męża stanu. Najgorsze są aspiracje do stanowisk kibiców. Ocena faktów historycznych sprowadza się do oceny, czy ich promotorzy mają prawo do rangi mężów stanu czy nie.

Kazimierz Świtalski



WOJSKO W SEJMIE  
/31 października 1929/

Incydent, który miał miejsce w tym dniu jest podstawą - jedną z wielu - formułowania sądów o "wojskowej" czy wręcz "faszystowskiej" dyktaturze Piłsudskiego. Polemizowanie z tego rodzaju utrwalonymi opiniami nie ma sensu. Warto natomiast przyjrzeć się uważniej faktom, które posłużyły do ich sformułowania. Należą do nich: "zamach" majowy 1926 r., proces brzeski, oraz właśnie ów incydent, który w takiej lub innej formie obił się o uszy większości umiejących czytać Polaków, a który znany jest jako "najście oficerów na Sejm" czy nawet "wojskowy zamach na Sejm".

Fakty z dziejów Polski niepodległej należą do historii. Można powiedzieć, że należą do bezpowrotnej przeszłości i roztrząsanie ich nie ma dziś sensu ani znaczenia. Nie mogą już wyrzucić żadnego wpływu na naszą współczesną rzeczywistość, a "nauki płynące z historii" mają to do siebie, że zawsze i nieodmiennie idą w las. Jednakże wydarzenia z przeszłości zostawiają ślad, który sam przez się jest faktem historycznym o ogromnym i aktualnym znaczeniu, ślad w świadomości ludzkiej. Sposób przedstawiania historii, wytworzenia obiegowego o nią poglądu jest silnym instrumentem kształtowania świadomości społeczeństwa, ukierunkowywania jego dążeń i formowania postawy ideowej i moralnej. Dlatego historii nie wolno pozostawiać na pastwę kłamcom.

Pod bagnetami, karabinami i szablami

W dniu 31 października 1929 roku miała się rozpocząć zwyczajna sesja budżetowa Sejmu. Był to trzeci, wraz z Ustawodawczym, Sejm Rzeczypospolitej, wybrany w dniu 4 marca 1928 roku. W jego skład weszli przedstawiciele 24 partii, które utworzyły 20 klubów posełskich. Po raz pierwszy w wyborach wziął udział Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, specjalnie na tę okoliczność utworzony pod przewodnictwem Walerego Sławka. Uzyskał on, wraz z innymi stronnictwami prorządowymi około 25 % głosów i 122 /+8/ mandatów, stając się największym klubem, choć do absolutnej większości, wynoszącej 223 głosy, było mu jeszcze daleko. Drugim z kolei stronnictwem, co do liczby zdobytych mandatów, była PPS - 63 posłów. Wytępiające zazwyczaj wspólnie stronnictwa lewicy: PPS, "Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie i parę innych ugrupowań, miały łącznie 162 posłów i stanowiły najsilniejszy blok w Sejmie. Prawica - Związek Ludowo-Narodowy - wybory przegrała i przekształciła się z najsłabszego w poprzednim Sejmie stronnictwa w grupę znacznie mniej aktywną i pozbawioną poważniejszego znaczenia. Z tego m.in. powodu w walce, którą toczył Sejm z Piłsudskim, główną rolę zaczęła odgrywać właśnie lewica, mimo, iż to ona właśnie poparła zamach majowy. Marszałkiem Sejmu wybrany został Ignacy Daszyński, przeciw kandydatowi Piłsudskiego, którym był Kazimierz Bartel, w poprzedniej kadencji prezes wyłonionego z "Wyzwolenia" Klubu Pracy.

Sięgnijmy do paru książek, aby przekonać się, co na temat wyderzeń tego dnia może dowiedzieć się przeciętny czytelnik w PRL.

"Gdy po półrocznych, przymusowych feriach miał się zabrać wreszcie Sejm na sesję budżetową /31 X 1929/, w gmachu sejmowym pojawiła się około setka uzbrojonych oficerów, którzy wtargnęli do środka poturbowanego straż marszałkowską. Zaraz potem przybył do Sejmu Piłsudski jako przedstawiciel rządu w zastępstwie rzekomo chorego Świątalskiego. Jednakże Daszyński mimo brutalnego nacisku za strony Piłsudskiego etanowczo

odmawiał otwarcia sesji dotąd, dopóki oficerowie nie opuszczą budynku sejmowego. Nie ulega wątpliwości, że najście oficerów piłsudczykowskiach na Sejm było próbą zastraszenia parlamentu i wywarcia nań odpowiedniego nacisku w związku z zaostrzającym się konfliktem na tle gospodarki budżetowej rządu." /Józef Buszko - Historia Polski 1864-1948, PWN W-wa 1985/

"W październiku 1929 r. sytuacja zaostrzyła się poważnie w związku z wejściem grupy uzbrojonych oficerów do gmachu Sejmu przed rozpoczynającą się sesją budżetową. Marszałek Sejmu Daszyński przeciwstawił się stanowczo otwarciu posiedzenia "pod bagnętami, karabinami i szabłami" - jak się wyraził w burzliwej rozmowie z interweniującym w tej sprawie osobiste Piłsudskim." /Henryk Zieliński - Historia Polski 1914 - 1939, Ossolineum 1985/

Szerzej omawia tę sprawę Andrzej Garlicki w książce "Od maja do Brześcia" /Czytelnik, W-wa 1981/. Książka ta, podobnie jak inne prace Garlickiego ma charakter popularny, choć oparta jest na szerokiej podstawie źródłowej i niezłej orientacji w temacie. Garlicki wyspecjalizował się w dość zręcznym - jakby to określił Gombrowicz - "dorabianiu gęby" okresowi międzywojennemu, a w szczególności Piłsudskiemu, i wydaje się, że ta wymalowana przez niego gęba odpowiada życzeniom tych, co konterfekt ten zamówili. W każdym razie Garlicki był do niedawna niemalże monopolistą w zakazanym temacie Piłsudskiego i mógł korzystać z niektórych źródeł trudno dostępnych lub wogóle niedostępnych, a także z literatury wydanej na Zachodzie.

Rzeczonym on opis incydentu od cytatu ze wspomnień Liebermana, opublikowanych w paryskiej "Kulturze". Następnie pisze: "W przedśmionku sejmowym zgromadziło się około stu oficerów, z których część była przy szablach. Nie uskuchali oni wezwań straży marszałkowskiej, a następnie dyrektora kancelarii sejmowej, do opuszczenia terenu Sejmu. W pobliskim szpitalu Ujazdowskim zgrupowany był drugi rzut oficerów. Grupą w Sejmie dowodził płk. Kostek-Biernacki, grupą w szpitalu płk Dojan-Surówka, łączność między nimi utrzymywał mjr Ryszczek, zaś całością akcji kierował ówczesny komendant miasta - płk Wieniawa-Długoszowski. Oficerowie w Sejmie zachowywali się spokojnie, ale mimo wezwań nie zamierzali opuścić hałsu sejmowego. Utworzyli natomiast szpeler dla powitania Piłsudskiego, który przybył do Sejmu, aby w zastępstwie chorego premiera otworzyć sesję. "Następuje relacja ze znanej rozmowy Piłsudskiego z Daszyńskim, do której jeszcze wrócimy.

"Miał Piłsudski powody do zdenerwowania. Daszyński bowiem pokrzyżował /nie otwierając Sejmu - M.C./ misternie przygotowany plan. Założenie było dość proste. Uznano zapewne, że gdy Piłsudski wkroczy na salę, postawie komunistyczni i mniejszości narodowych urzędują przeciwko niemu demonstrację. Był to już swego rodzaju zwyczaj. Wówczas zgromadzeni w Sejmie oficerowie mieli wedrzeć się na salę i czynnie wystąpić w jego obronie. Przypomnijmy owo oświadczenie Piłsudskiego sprzed kilku miesięcy, że obowiązkiem oficera jest obrona honoru przełożonego. Interwencja oficerów miała by nieobliczalne konsekwencje. W najlepszym razie doszłoby do pobicia posłów, w najgorszym - do masakry. Fakt, że grupę oficerską dowodził Kostek-Biernacki, przemawiał za tym drugim.

Celu tej akcji wolno nam się tylko domyślać. Być może, chodziło jedynie o sterroryzowanie posłów przez przemoc fizyczną. Awantura mogła dostarczyć pretekstu do rozwiązania Sejmu. Nie należy zapominać, że Sejm miał powrócić do sprawy Czechowicza, że ugrupowania Centrolewu zdecydowane były postawić wniosek o wotum nieufności dla gabinetu Świtalskiego.

Akcja była przemyślana i drobiazgowo przygotowana. Pokrzyżowała ją postawa Daszyńskiego. Zajazd oficerski na Sejm okazał się całkowitym

niewypałem i kompromitacją. /.../ Sejm, który miał być poniżony i zdegradowany fizycznie, okazał siłę i spójność w obronie swej godności. Nawat BBWR, którego Sławek, wbrew radom Świtalskiego nie poinformował o planie akcji, był zdezorjentowany i zaokocznony przebiegiem wydarzeń. /.../ Opozycja uzyskała wyraźną przewagę polityczną. To piłsudczycy musieli tłumaczyć się przed opinią publiczną, a tłumaczyć się nie bardzo było jak, bo fakty świadczyły przeciwko nim. Usiłowano argumentować, że przedsiwonek sejmowy nie był eksterytoryalny, że oficerowie przybyli spontanicznie, by jedynie powitać Piłsudskiego. Przekupiono komendanta straży marszałkowskiej, który miał oświadczyć, że oficerowie, prowadzeni przez personal sejmowy i posłów, zachowywali się bez zarzutu. Wszystko to było jednak czyta zbyt grubymi nićmi." / Od maja do Brześcia - Czytelnik, W-wa 1983/

Moznaby przytoczyć jeszcze parę innych dzieł, ale nie jest to konieczne. Powyższe oddają w zupełności obowiązującą wykładnię tego wydarzenia, wraz z wynikającymi bądź z nadgorliwości, bądź ignorancji sprzecznociami. Na przykład historyk Buszko dowiedział się, że oficerowie "poturbowali" straż marszałkowską. Garlicki pisał, iż "zachowywali się epokojnie", lecz jednocześnie uważa, że komendant straży, który powiedział to samo, został przekupiony. Czyżby i Garlicki został przekupiony przez piłsudczyków? Podkreślić należy dwa najistotniejsze momenty. Po pierwsza PRL-owska "historiografia" stroi się w piórko obrońcy demokratycznych swobód w Polsce "sanacyjnej", atakując, jakby w pażnej zgodzie z ówczesną opozycją, rządy Piłsudskiego. Powinno to natychmiast budzić zdrową nieufność u czytelnika, ale nieestety, nie budzi. Po drugie taka właśnie wykładnia - przedstawiająca incydent jako "zamach" na Sejm, jako jeden z objawów "wojskowej dyktatury Piłsudskiego" i przykład gwałcenia swobód demokratycznych - dość silnie utrwaliła się w powszechnej świadomości, do tego stopnia, że ludzie, którym zaledwie obiko się o uszy parę sloganów na temat Polski niepodległej i Piłsudskiego, pewni są, że "coś takiego było".

Odbicie tego powszechnego przekonania znajdujemy również w publicystyce "niezależnej". Np. w poetycznym szkicu Anny Bojarskiej /"Krytyka" nr 25/87/ "Wokół Niewiedomskiego" znajdujemy takie sformułowanie: "Straszny to dyktator, który obsadza parlament wojskiem - po czym odchodzi jak niespyzny, wojsko usuwając, po rozmowie z pryncypialnym marszałkiem, który pod "bagnetami, rewolwerami i szablami" ugiął się nie zamierza!" Oraz: "Wprowadzenie wojska do Sejmu, Rozwiązanie Sejmu, Brześć, Bereze." Pani Bojarska czuje do Piłsudskiego sympatię i stara się przekonać czytelnika, że nie był tak strasznym dyktatorem, jak go malują, ale sam fakt "obsadzenie parlamentu wojskiem" nie ulega dla niej wątpliwości, co więcej, układa się w logiczny ciąg sanacyjnych zbrodni: wprowadzenie wojska, rozwiązanie Sejmu, Brześć, Bereze. Można więc uznać, że przekonanie jej jest odbiciem vox populi, autentycznej opinii szerokiej publiczności, uformowanej nie przez co innego, jak właśnie przez powszechnie obowiązujące i szeroko rozpowszechniane stereotypy, którymi posługuje się współczesna historiografia. Nie tylko zrasztą: komunistyczna - dodajmy.

Musimy wtrącić tutaj pewną dygresję. PRL-owska historiografia dopracowała się, po latach doświadczeń, niezawodnej metody naukowej, która pozwala napisać, w warunkach ostrej cenzury i reglamentacji źródeł, dzieło "naukowe" i uzyskać kolejny stopień naukowy, tj. osiągnąć kolejny szczebel naukowej kariery. Metoda ta polega na konfabulacji, mi-styfikacji i kompilacji. Wszystkie elementy tej metody znajdujemy w krótkim cytacie z dzieła historyka Buszki. Stwierdza on np., że Sejm miał zebrać się po "przymusowych ferjach", dając do zrozumienia, że "ferje" te były jakąś bezprawną szykaną Piłsudskiego. Otóż Piłsudski po objęciu władzy w maju 1926 r. dążył do ograniczenia czasu obrad



sejmowych, poprzednio permanentnych, i wprowadzenia terminowych rygorów budżetowych. Dlatego też na propozycję rządu Sejm uchwalił 2 sierpnia 1925 r. pośród innych poprawek konstytucyjnych, modyfikację Art. 25, regulującego tryb pracy Sejmu. Sesja zwyczajna /budżetowa/ zwoływana była przez Prezydenta najpóźniej do końca października i trwała w praktyce do czasu uchwalenia budżetu, tj. pięć miesięcy. Ferie zatem nie były i nie mogły być bezprawnie narzucone, ponieważ wynikały z postanowień konstytucji. Następnie historyk Buszko oznajmił, iż konflikt pomiędzy rządem a Sejmem "zaostrzał się" na tle polityki budżetowej. Wynikałoby z tego, że Sejm miał odmienne koncepcje tej polityki, i prowadził na ten temat spór z rządem. Pogląd taki możnaby nazwać grubym uproszczeniem, gdyby nie był fałszywy, co postaramy się wykazać. Przykładem konfabulacji, nawet w świetle pracy Garlickiego, jest twierdzenie o "wtargnięciu" uzbrojonych oficerów i "poturbowaniu" straży marszałkowskiej. Całość jest natomiast przykładem kompilacji, gdyż oczywiście historyk Buszko nie wypowiada tu jakiegos swojego syntetycznego poglądu czy własnych ustaleń faktycznych, tylko powtarza mniej więcej obowiązującą wykładnię i z całą pewnością każde słowo mogłoby opatrzyć stosownym przypisem. Nie trzczy się przy tym o to, czy pisze prawdę, czy nieprawdę, ponieważ nie to jest przedmiotem troski i zainteresowania historyka-kompilatora, lecz - jak wszędzie w ustroju komunistycznym - odpowiednia "podkładka", czyli możliwość powołania się na inną publikację. W ten sposób kłamstwo powtórzone w druku przez pięciu profesorów staje się niakwestionowaną prawdą naukową. Kompilatorstwo jest nejskuteczniejszym sposobem szerszenia ignorancji. Tolerancja środowiska naukowego dla tego rodzaju metod może dziwić, ale w rzeczywistości jest zrozumiała, ponieważ tylko ich stosowanie umożliwiła "karierę" naukową, publikowanie, wyjazdy zagraniczne, osiągnięcie stani akademickich itd., toteż wszyscy zawodowi historycy w mniejszym lub większym stopniu zmuszeni są z nich korzystać, często nie zdając już sobie sprawy z ich anty-naukowego charakteru i z granicy pomiędzy "obiektywizmem" polegającym na wyrzeczeniu się własnego zdania i naukowej samodzielności, a ordynarnym kłamstwem. Dlatego np. prof. Marian Marek Drozdowski domaga się "ambitnej krytyki naukowej" dzieł prof. Garlickiego, choć dzieła te nie krytykę taką nie zasługują w sposób oczywisty, gdyż z "naukowością" poza tytułem autora, nic wspólnego nie mają, a są jedynie nadużyciem. Można wskazać palcem kłamstwo i świadomie fałszywe interpretacje, ale jak wiadomo, jedno fałszywe zdanie wymaga nieraz całego tomu, by je sprostować, szczególnie gdy nie jest wynikiem zwyczajnego błędu lub nieświadomości, ale celowej machinacji. A to właśnie ma miejsce w odniesieniu do historyków piszących o Polsce niepodległej i Piłsudskim, gdyż nie dążą oni do ustalenia i wyświetlenia prawdy, co jest zadaniem historyka i wogóle nauki, ale wykonują "zarządzenie społeczne", tj. konstruuja i staraja się przedstawić w sposób przekonujący taki obraz przeszłości, jaki jest przydatny dla celów politycznych - tj. wyjaławiania i deformowania świadomości historycznej i ideowej polskiego społeczeństwa. Podejmujemy tu próbę zbadania okoliczności jednego tylko, lecz z wielu względów ważnego, wydarzenia historycznego, po to, aby wykazać, że nie tylko interpretacje i oceny zarówno przedwojennej rzeczywistości jak i osoby Piłsudskiego są propagandowym fałszem, ale że sama podstawa na której budowane są te opinie, jest sfałszywana i fakty ją tworzące albo są zniekształcone, albo wręcz wogóle nie miały miejsca.

Incydent w Sejmie był elementem trwającego pomiędzy Sejmem, a raczej pomiędzy sejmową opozycją a Piłsudskim konfliktu. Opozycja w swoich wystąpieniach przedstawiała ten konflikt jako walkę kierowanego przez partię opozycyjne społeczeństwa z obozem rządzącym, i pogląd ten jest podtrzymywany przez współczesną propagandę. Jest

to pogląd fałszywy. Już wybory 1928 roku wykazały, że Piłsudskiego i środowiska zbliżone do jego polityki popiera znacznie większa część społeczeństwa, niż jakikolwiek inny obóz polityczny. Potwierdziły to w sposób zdecydowany wybory 1930 r., tzw. "brzeskie". Twierdzenie, że obóz rządowy wygrał je przy pomocy terrorku i fałszerstw jest nieudowodnione, pomimo, iż włożono w jego propagowanie i udowadnianie wiele wysiłku. Dopóki zaś udowodniony nie będzie, nie może być przedmiotem polemiki naukowej. Natomiast rzeczony konflikt polityczny przebiegał na dwóch płaszczyznach - pierwszą i najbardziej nas tutaj interesującą była płaszczyzna parlamentarna, i dotyczyła walki opozycji sejmowej z rządem, a ściśle z Piłsudskim, gdyż on sam wziął na siebie rozgrywanie tej walki. W konflikcie tym stronnictwa opozycji jeśli nie były zjednoczone, to co najmniej działały wspólnie i jednym czynnikiem tej wspólnoty było dążenie do obalenia Piłsudskiego i przejęcia władzy, choć i w tym działaniu, jak zobaczymy, nie było zgodności. Ze strony Piłsudskiego natomiast było to dążenie do umocnienia władzy wykonawczej, tj. rządu i odsunięcia Sejmu od bezpośredniego wpływu i nacisku na rząd i jego czynności, to znaczy ograniczenia jego działalności do przysługującej mu funkcji ustawodawczej i kontrolnej. Drugą płaszczyzną konfliktu było społeczeństwo, gdzie obraz tej walki nie był tak klarowny. Przeciw rządowi i Piłsudskiemu występowały stronnictwa polityczne, przeciwstawiając mu własne programy polityczne i społeczne, mniejszości narodowe zorganizowane w ugrupowaniach o różnym charakterze, a także czynniki dywersji politycznej, jak komuniści, a potem również np. prohitlerowskie ugrupowania niemieckie. Równocześnie wszystkie te siły polityczne walczyły nie mniej zażęcie pomiędzy sobą. Dopiero przełom lat dwudziestych przyniósł pewną konsolidację ugrupowań opozycyjnych na przeniesionej z terenu sejmowego płaszczyźnie antyrządowej. Za cenę wspólnej akcji antyrządowej stronnictwa te zawarły kompromis doktrynalny i programowy, uważając, iż najpilniejszym zadaniem jest obalenie rządu i przywrócenie sejmowładztwa, które dawało siliście partyjnej bezpośredni wpływ na rządy w kraju. Trzeba tu zwrócić uwagę, że koniunkturalne współdziałanie ugrupowań wzajemnie wrogich, jak np. komunistów i endecji nie należało do rzadkości na gruncie sejmowym, o ile dotyczyło posunięć antyrządowych, natomiast znacznie rzadziej zdarzało się na gruncie społecznym. Tu poszczególne stronnictwa rozgrywały własną grę. Jednakże trzeba stwierdzić, że - poza mniejszościami i komunistami - w walce z rządem brała udział głównie "klientela" /wyrażenie prof. Garlickiego/ polityczna stronnictwa, tj. stosunkowo nieliczne warstwy uaktywnione doktrynalnie przez lewicę lub prawicę. Zdecydowana większość społeczeństwa zajmowała stanowisko prorządowe, nie tylko ze względu na osobisty autorytet Piłsudskiego, ale również dlatego, że rząd uosabiał w powszechnej opinii interes niepodległego państwa. Decydował więc po prostu narodowy i społeczny instynkt. Jak dalece gra polityczna stronnictwa była z tym zdrowym instynktem sprzeczna, świadczy Stanisław Thugutt, opisując "incydent" który "zastanowił go głęboko". "Było to przy głosowaniu nad Konstytucją. Przyzysła do mnie gromadka posłów-chłopów, skarżących się z dużym wzburzeniem, że prezydium Klubu /Wyzwolenie - M.C./ każe im głosować przeciwko Konstytucji, a to jest przecież czyn nienarodowy i nieobywatelski. Wytłumaczyłem im nie bez trudu, że skorośmy przegrali tak ważny punkt Konstytucji, jak istnienie Senatu /.../ musimy teraz głosować przeciw całości /.../ Poszli głosować przeciw, ale widziałem, że czynią to z wielką niechęcią." Demagogia i doktrynerstwo partyjnych elit, często wyrażające się w działaniu wyraźnie antynarodowe i antypaństwowe było, jak widać obce i niezrozumiałe nie tylko dla "szerokich mas", ale nawet ścisłego "aktywnego" stronnictwa, i pozostawało domeną w istocie bardzo nielicznej garstki, chętnie i kategorycznie nazywającej się "przedstawicielstwem narodu".

Dlatego też walka o poparcie szerszych warstw społeczeństwa opierała się z jednej strony na szerzeniu demagogicznych i radykalnych haseł społecznych - w wypadku lewicy, lub z takich czy innych względów trafiających do instynktów tłumu, jak np. antysemityzmu w wypadku اندعجي; z drugiej strony było to szerzenie oskarżeń pod adresem rządu i Piłsudskiego, jako wspanych wszelkich bolączek społeczeństwa. Natomiast strona rządowa starała się opozycję sejmową skompromitować, jako czynnik destrukcyjny i utrudniający prawidłowe funkcjonowanie państwa, kierujący się nie dobrem narodu i państwa ale egoizmem i pragnieniem stworzenia takich warunków, w jakich przywódcy opozycji mogliby zaspokajać własne interesy, tj. sejmokracji, utożsamianą z anarchizacją życia politycznego.

Uświadomienia sobie, że incydent w Sejmie był elementem tej obustronnej walki, jest konieczne z tego względu, że dla ustalenia jego przebiegu i znaczenia dysponujemy relacjami nie obiektywnych obserwatorów, lecz wyłącznie stron, aktywnie i gorąco uczestniczących w konflikcie. Z tego względu elementarnym obowiązkiem historyka jest konfrontacja źródeł; niedopuszczalne jest natomiast opieranie się na wersji przedstawionej w relacjach jednej tylko strony, co właśnie czynił np. prof. Garlicki, sprzeniewierzając się tym samym elementarnym zasadom pracy naukowej. Przyjmuje on mianowicie za podstawę, czyniąc to całkowicie bezkrytycznie, relacje pamiętnikarskie działaczy opozycji. Czyni tak, rzecz jasna wyłącznie dlatego, że wymalowanie takiego właśnie, a nie innego obrazu, jest jego celem.

Zasadniczym źródłem wersji Garlickiego jest relacja Adama Próchnika /"Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej" - W-wa 1983/.

"Dokonac otwarcia sesji miał Piłsudski. Na pewien czas przed jego przybyciem do Sejmu dał się zauważyć w pobliżu parlamentu gorączkowy ruch oficerów. Na podstawie ustnych rozkazów oficerów szeregu formacyj i biur wojskowych w Warszawie skonsygnowano w okolicy Sejmu. Podzielono ich na dwa oddziały. Jeden, w charakterze jakby rezerwy, umieszczono w pobliskim szpitalu Ujazdowskim, drugi zaś miał za zadanie właściwą akcję. Między obu tymi oddziałami, rezerwowym i operacyjnym byli łącznicy. Około godziny 4 po południu oddział oficerów uszykowany w czworokach zbliżył się do gmachu sejmowego. Najpierw weszło do gmachu 3 oficerów. Po krótkim zatargu ze strażą marszałkowską, które stosownie do zarządzeń nie chciała ich wpuścić, jeden z nich wyszedł i przyprowadził ze kilka minut cały oddział, który wdarł się do przedsionka sejmowego, usuwając przemocą zamykających im drogę strażników. Cały przedsionek w jednej chwili wypełnili oficerowie, których liczba przekroczyła wkrótce setkę. Większość była zbrojna w szablę i rewolwery. Osobista interwencja dyrektora kancelarii sejmowej pozostała bez skutku i oficerowie nie dość, że nie opuścili gmachu, lecz zapowiedzieli, że wkrótce wejdą na salę. /Opis zajść tych oparty jest na wyniku badań specjalnej komisji sejmowej./

Tymczasem przybył do Sejmu Piłsudski. Minawszy szpaler oficerski wazedł do środka i polecił zawiadomić marszałka Sejmu, że przybył na posiedzenie w zastępstwie premiera. Marszałek Daszyński kazał mu odpowiedzieć, że posiedzenia nie otworzy wobec wkroczenia do Sejmu uzbrojonych oficerów. Równocześnie marszałek wysłał pismo do prezydenta, zawiadamiając go, że w takich warunkach nie może otworzyć posiedzenia Sejmu." /Dalej relacja z rozmowy Piłsudskiego z Daszyńskim, którą zamieścimy później./

"Koło 8 wieczorem oficerowie opuścili Sejm. Wobec niedojścia posiedzenia do skutku trudno uetalic, jaki był rzeczywisty cel tej wyprawy. W związku jednak z groźbami, nieraz rzucanymi już poprzednio, nie wydaje się prawdopodobne, aby wizyte oficerska nie miała wyraźnego celu i aby posiedzenie, gdyby doszło do skutku, mogło mieć normalny przebieg."



Próchnik powołuje się na źródło swej relacji, mianowicie sprawozdanie komisji sejmowej. Garlicki za źródła tego korzysta ostrożnie, mianowicie odstępując od wersji użycia przemocy, słusznie traktując ją jako mało wiarygodne, mimo oficjalnego charakteru. Natomiast o wiele śmiałej niż Próchnik pozwala sobie domyślać się "co by było, gdyby".

Oto relacja posła Hermmana Liebermana /cytowana przez Garlickiego/. "Zdążyłem do gmachu sejmowego wzdłuż ulicy Wiejskiej - była to czwarta po południu - gdy ujrzałem na ulicy przed domami stojące grupki oficerów. Gdy zbliżyłem się ku bramie gmachu sejmowego, była ona zawałona tłumem oficerów, wciągających się przemocą do wnętrza. Nie orientując się w sytuacji zbliżyłem się do wkraczających oficerów i wraz z nimi dopchałem się do przedsionka, do hallu, potem przez tłum oficerski przecisnąłem się do kuluarów wewnętrznych Sejmu. Zatknąwszy się z innymi posłami zaczęliśmy omawiać przyczynę tego zalewu gmachu sejmowego przez oficerów, którzy, dodając, uzbrojeni byli w szable i rewolwery. Wówczas przypomniałem sobie przestrożę, otrzymaną jakieś dwa dni przed posiedzeniem od jednego z poważnych dziennikarzy z obozu rządowego, który mi poufnie oznajmił, że na pierwszym posiedzeniu wydarzą się niezwykle rzeczy, że moja osoba w szczególności będzie zagrożona, przeto radzi mi powstrzymać się od uczestnictwa w tym posiedzeniu."

Garlicki ponadto powołuje się w przypisie na "opowiadanie" posła Janusza Radziwiłła /BBWR/, któremu "ktos z wysokich dignitarzy senacyjnych" doradzał zabranie rewolwery do sejmu i ostrzegał przed incydentami. Warto w tym miejscu zauważyć, że Janusz Radziwiłł był wiceprezesem Klubu poselskiego BBWR i wystąpi jeszcze w tej relacji.

A oto wspomnienia Witosa: "Mimo, że od samego rana tego dnia chodziły pogłoski, że dziś stanie się coś niesłychanego, nikt nie wiedział, co to może być. Kluby poselskie odbywały narady, publiczności ciekawej przy białym berdzo wiele.

Nareszcie zaczęło się coś wyjaśniać. O godzinie pół do czwartej po południu oddział oficerów, przeważnie wyższych stopni, wszedł do hallu sejmowego czwórkami i zajął miejsce. O godzinie czwartej przyjechał do Sejmu Piłsudski. Przeszedł przez szpalet utworzony przez oficerów, którzy urzędzili mu krzykliwą owację. Marszałek Daszyński, poinformowany o tym, posiedzenia Sejmu nie otworzył, lecz wezwał na naradę prezesów klubów sejmowych. Stawili się wszyscy, nie wyłączając księcia Radziwiłła, zastępującego klub BB jako jego wiceprezes. Marszałek Daszyński, oburzony i zdenerwowany, zawiadomił nas o fakcie wtargnięcia oficerów do Sejmu i usunięcia przemocą straży marszałkowskiej, pełniącej swoje obowiązki. Ponieważ interwencja jego urzędnika nie odniosła skutku, zwrócił się do ministrów Składkowskiego, żądając usunięcia oficerów. Ten mu odpowiedział, że oficerowie przybyli do Sejmu celem powitania marszałka Piłsudskiego. Ponieważ on posiada wiadomości, że oficerowie przybyli w zupełnie innym celu, postanowił nie otwierać posiedzenia Sejmu, dopóki oficerowie z niego nie wyjdą. Stanowisko marszałka zostało przez wszystkich jednomyślnie zaakceptowane.

Z posiedzenia tego wróciłem na salę sejmową. Galerie były silnie obsadzone ciekawą i podobno specjalnie sprowadzoną publicznością, 10-12 dyplomatyczne pełne. Posłowie zniecierpliwieni wchodzili i wychodzili z sali, cały rząd oczekiwał w pokoju dla niego przeznaczonym, urzędników o kilka razy więcej, niż zwyczajnie bywało. Marszałek Daszyński robił jeszcze próbę, wysyłając do oficerów dyrektora kancelarii p. Pomorskiego. Oficerowie na wezwanie p. Pomorskiego zupełnie nie reagują, pozostając w gmachu w dalszym ciągu." /Tu relacja z rozmowy Daszyńskiego z Piłsudskim./ "Po tej rozmowie Piłsudski opuścił gmach Sejmu, udając się prosto do prezydenta, a oficerowie usadowili się na krzesłach wyniesionych z klubu BB."

Adam Pragier: "Miałem zwyczaj, w dniach zapowiadających ostrzejsze

wydarzenia, przychodzić do Sejmu wcześniej, by rozemnieć się w położeniu. Tego dnia byłam w Sejmie na dwie godziny przed wyznaczonym terminem. Nic osobliwego nie zauważyłam. Także na ulicy było spokojnie. Na kilka minut przed rozpoczęciem posiedzenia, gdy znalazłam się w hallu wejściowym, zobaczyłam tam kilku oficerów. Zwróciłam moją uwagę, że byli w stroju służbowym, z pasami na piaszczach i szablami. Po chwili poczęło ich przybywać więcej, w grupach po kilku. Szybko rozeszła się wieść po całym Sejmie o tej niezwyklej obecności oficerów, będących na "służbie" właśnie w hallu sejmowym.

W ciągu kilkunastu minut hall wypełnił się gestym tłumem oficerów, których było zapewne stu kilkudziesięciu. Zachowywali się spokojnie. Przeważnie milczeli, lub rozmawiali półgłosem. Udarzające było, że już pierwsi, co przybyli, odmówili wyjścia z hallu, gdy ich wezwwała do tego straż marszałkowska, a później odmówili takiemuż wezwaniu dyrektora kancelarii sejmowej, Pomorskiego. Dawali przy tym wymijające wyjaśnienia, na przykład, że przyszli kupować znaczki na pocztę sejmową, albo, że oczekują na przyście Pana Marszałka. Byli i tacy, co mówili, że wkrótce wejdą na salę posiedzeń. Marszałek Sejmu Daszyński zorientował się prędko w położeniu i zdecydował nie otwierać posiedzenia przy obecności oficerów w hallu. Sytuacja nierozstrzygnięta przeciągała się przez dłuższy czas. Oficerowie byli "na służbie", więc byli cierpliwi i czekali, zapewne sami nie wiedząc na co. Wszedł Piłsudski, postąpił się i utworzył szpalet, by go przepuścić, ale nie czynili żadnej owaacji. Niektórzy posłowie /ja także/ wychodzili po kilkakroć do hallu by zobaczyć co się dzieje, i widzieli ten sam obraz: niemą gromadę oczekujących oficerów." Następnie Pragier opisywał "epizod komiczny". Mianowicie marszałek Senatu prof. Szymański "zaczyn człowiek", "nieporadny jak niemowlę w tajnikach wielkiej polityki", "zgoryczył się niezmiernie", że Daszyński "niechętnie widzi" oficerów w Sejmie, zaprosił ich zatem do hallu Senatu, a gdy grzecznie odmówili, kazał przynieść do hallu sejmowego krzeselka, cietka i herbatę, zapraszając, by się posilili. "Ale oficerowie nie raczyli, choć może niejedyn miał ochotę, bo byli na służbie." Dalej Pragier podaje informacje, zaczerpnięte in extenso przez Garlickiego, o oddziałach w szpitalu Ujazdowskim i dowodzących oficerach, a także przypuszczenia o komunistycznej demonstracji i spodziewanej reakcji oficerów. Jak wiadomym, historyk Garlicki na tutaj podkładkę dla swoich twierdzeń naukowych. Jednakże Pragier w swoich przewidywaniach biegu wypadków ogranicza się do stwierdzenia: "Nie wiadomo, do czego by wówczas doszło."

"O tym, że liczone się z możliwością rozlewu krwi, dowiedziałem się nie później, niż w dwa dni po zajściu. Znajomi lekarze ze szpitala Ujazdowskiego i ze szpitala Dzieciątka Jezus powiedzieli mi, że na ten wieść zarządzone w szpitalach pogotowie, nakszono przygotować sale operacyjne i pewną liczbę łóżek na oddziałach chirurgicznych." Pragier nie podaje źródła swoich informacji o oddziałach wojskowych w szpitalu Ujazdowskim i oficerach dowodzących, z czego wynika, że źródłem tym nie byli ci sami lekarze, którzy poinformowali go o ostrym dyżurze. Jest to trochę dziwne, gdyż "znajomi lekarze", pracujący i obecni wówczas w tym szpitalu, musieliby przecież uznać obecność uzbrojonego oddziału wojska ze wydarzenie bardziej bulwersujące i godne rozpowszechnienia, niż ostry dyżur, który w praktyce szpitalnej nie jest istotnie czymś niezwykłym. Zarządzenie go mogło się wydać im godne uwagi dopiero w zestawieniu z otrzymaną później informacją o zajściu w pobliskim Sejmie. Należo zatem przyjąć, iż rzeczywistym źródłem informacji Pragiera o "odwodach" w szpitalu Ujazdowskim była p. o. g. i. o. k. a, której mechanizm zawsze polega przede wszystkim na łączeniu wydarzeń, które nic ze sobą w rzeczywistości wspólnego nie mają, lecz zestawione razem podnoszą znacznie sensacyjność plotki i czynią zupełnie postronnych ludzi uczestnikami

i bohaterami bulwersującego zdarzenia.

Dodajmy jeszcze jedną, interesującą skądinąd, relację działacza PPS, posła Kwapińskiego. "Ta nienawiść do niezależności posłów opozycji i do godnego prezentowania Sejmu przez Marszałka Daszyńskiego, który brocił jak lew suwerenności Sejmu i zareagował, kiedy Piłsudski w zastępstwie chorego premiera Światłowskiego, przyszedł do Sejmu i miał zamiar namyślać posłom, a oczywiście i pośrednio i Marszałkowi Sejmu. Zawsze tak bywa z dyktatorami, że jak planują jakiś wybrzyk lub chcą popełnić bezprawie, obawiają się stanąć po męsku twarz w twarz z rzeczywistością i otaczają się zbrojną watahą. Sejm był wówczas świadkiem nietypowego wydarzenia. Zapewnił się nagle uzbrojonymi oficerami, którzy przy wejściu do Sejmu uszeregowali się w szpalet i kiedy posłowie zakończą w tym uzbrojonym najściem wchodzili do Sejmu, oficerowie mierzyli ich groźnymi spojrznięm. Plan zauszników Piłsudskiego był nam, posłom z PPS znany. Polegał on na tym, że w okresie, kiedy Piłsudski będzie wymyślał posłom z trybuny, a w Sejmie zaczęły posłowie przeciwko temu protestować, uzbrojeni w rewolwery i szable oficerowie mieli wtargnąć do sali sejmowej i rozprawić się z posłami. Plan ten nie udał się ani Piłsudskiemu ani też jego zausznikom. Bowiem Marszałek Sejmu storpował Piłsudskiemu ten cały jego zamysł.

Piłsudski zniecierpliwiony tym, że Marszałek Sejm Daszyński nie otwiera sesji, zgłosił się w towarzystwie dwóch pułkowników u niego w gabinecie, zapytując:

- Czy mam długo jeszcze czekać na otwarcie sesji?

Daszyński odparł spokojnie:

- Jak uzbrojeni oficerowie opuszczą gmach sejmowy.

Ja, poseł Dobrowolski /n.b. po wojnie członek PZPR - M.C./ i Dziegielewski stanowiliśmy jak gdyby straż Marszałka Daszyńskiego. Drzwi gabinetu Marszałka Daszyńskiego były uchylone i ełyzaliśmy przebieg rozmowy. Do fantazji należy zaliczyć rozpowszechnienia przez koła Piłsudskiego opowiadki na temat reakcji Piłsudskiego na stanowczą postawę Daszyńskiego odprawiającego z niczym Piłsudskiego. Gdy Piłsudski w towarzystwie pík Becka i pík Pterackiego wyezli z gabinetu, byli zdziwieni, że ja, Dobrowoleki i Dziegielewski byliśmy świadkami tej rozmowy. Piłsudski, jak mnie zobaczył speszył się. Ignacy Daszyński wyszedł do nas i podziękował nam za osłonę jego osoby. Nie potrzebuję dodawać, że miałem w kieszeni swój wapaniały browning, który zdobyłem na Kraconowie w Orle przy rozbrajaniu jego dywizji."

Relacja Kwapińskiego, dawnego bohaterskiego bojowca PPS, a potem, w latach 1917 - 18 przewodniczącego bolszewickiego "gubswietu" i komisarza do spraw cywilnych w Orle, jest niestety tak jaskrawym przykładem konfabulacji, że nie biorę jej pod uwagę nawet najzajadłej wrogowie Piłsudskiego. Wystarczy powiedzieć, że Kwapiński, będąc rzekomo naocznym świadkiem rozmowy Piłsudskiego z Daszyńskim, widział tam pík Pterackiego, którego jako żywo tam nie było. Był inny minister spraw wewnętrznych, gen. Składkowski. Mimo to kilka informacji Kwapińskiego zasługuje na uwagę. Mianowicie rzekome dokładne poinformowanie posłów PPS o zamiarach Piłsudskiego oraz uzbrojenie się ich na sesję.

Według Juliana K. Malickiego /"Marszałek Piłsudski a Sejm" - W-wa 1936/ wydarzenia miały przebieg następujący. Zanim jednak je zrelacjonujemy, zauważmy, iż Malicki, niewętpliwy wielbiciel i do pewnego stopnia hagiograf Piłsudskiego, był wówczas dziennikarzem "Kuriera Czerwonego" i politycznie nie był związany w jakiś szczególny sposób z obózem piłsudczykowskim. Jego praca, oparta na szerokiej podstawie źródłowej i osobistej znajomości zagadnienia, jest do dziś nie tylko najlep-



szym, ale właściwie jedynym opracowaniem zagadnienia tytułowego. Jeśli pominąć częste wstawki o charakterze wybitnie panegirycznym, pozostaje niezwykle rzetelna i wnikliwa praca o dużej wartości historycznej.

Już przed godziną ósменastą przed Sejmem, na ulicach i na dziedzińcu zaczęli gromadzić się ludzie. Przyczyny tego wybitnego zainteresowania rozpoczęciem obrad sejmowych omówimy później, dość, że istotnie były ku temu wystarczające powody, nie mające zresztą nic wspólnego z oczekiwaniem jakiegos "zamachu" zbrojnego na Sejm. Tym publicznosci cywilnej, którego obecność zarówno na zewnątrz gmachu jak i w hallu sejmowym, gdzie utworzyła się kolejka na pocztę, umykała z relacji posłów - początkowo próbowała usunąć policja, aby nie blokował przejść, jednak ostatecznie pozostawiono go w spokoju. Trzeba od razu wyjaśnić, że hall sejmowy był zwyczajowo miejscem ogólnie dostępnym dla publiczności, której n i g d y dotychczas nie wzbraniano tam wstępu. Wyntkało to być może z braku ściślejszego regulaminu, określającego jaki teren ma być traktowany jako eksterytorialny i niedostępny dla osób nie będących posłami lub członkami rządu, względnie nie posiadającymi przepustek. Ustalił się zatem zwyczaj, że poczte w hallu sejmowym i sam hall wejściowy są terenem ogólnie dostępnym, a straż marszałkowska zajmowała posterunek pod drzwiami wiodącymi z hallu do kuluarów i na sse posiedzeń. Tam osoby postronne były zatrzymywane i wstępu nie miały. Dopiero po wydarzeniach 31 października Daszyński polecił wydać zarządzenie, czyniące niedostępnym cały teren gmachu Sejmu. Tak więc ustaliła się praktyka, że w hallu i na poczte stale znajdowały się osoby postronne, bądź załatwiające sprawy na poczte, bądź pragnące skontaktować się poprzez straż marszałkowską z kimś z Sejmu, bądź po prostu zainteresowane przebiegiem obrad, jeżeli skurat trwało posiedzenie.

Galerie dla publiczności były wypełnione. Dużą część tej publiczności stanowili przedstawiciele państw obcych oraz dziennikarze krajowi i zagraniczni. Sugestia, iż była to publiczność "specjalnie sprowadzona" jest śmieieszna. Jak jeszcze się przekonamy, obecność dużej liczby wojskowych w tłumie otaczającym Sejm, nie była niczym niezwykłym, przynajmniej dla posłów, pomimo, iż sugeruję to w swoich wspomnieniach.

Krótko przed godziną 16, już po dzwonekach wzywających posłów na seję posiedzeń, do hallu weszło trzech oficerów, podpułkownik, major i kapitan. Na pytanie komendanta straży oświadczyli, iż chcieliby się zobaczyć z posłem Polakiewiczem /BBWR, dawniej "Wyzwolenie" / lub Kocem. Komendant Stawicki próbował odszukać ich telefonicznie w siedzibie Klubu BBWR, a ponieważ ich tam nie było, poprosił oficerów, by zaczekali. W tym czasie przez wejściowy kołownik przybyło kilkudziesięciu oficerów. Odbyło się to w ciągu kilku minut. Jeszcze przed godziną 16 przybył do Sejmu Ślawoj-Składkowski, ówczesny minister spraw wewnętrznych. Został on "na ganek i w przedsonku kilkudziesięciu oficerów. Stali oni po obydwu stronach przedsionka, zostawiając wolne przejście od korytarza sejmowego." Parę minut po 16 przyjechał do Sejmu Piłsudski w towarzystwie Becka. "Po wejściu do przedsionka Sejmu, przeszedł wśród szpaleru oficerów, salutujących go w milczeniu." /"Strzępy mel-dunków" - W-wa 1936/

Po wejściu Piłsudskiego, według Malickiego "niektórzy spośród oficerów wracają na poczte, inni wychodzą na dziedzińiec, a jeszcze inni usiłują pozostać w hallu." Przed drzwiami wiodącym w głąb Sejmu stoi strażnik Obojski. Wówczas zjawia się w drzwiach dyrektor biura sejmowego, Pomorski i zwraca się do oficerów w imieniu marszałka Sejmu, z żądaniem opuszczenia budynku. Wszystko to było kwestią kilku minut, gdyż już o godz. 16.05 Daezyński wezwał do siebie Składkowskiego.

"Od mych urzędników, będących w Sejmie, dowiedziałem się, iż oficerowie czują się dotknięci wezwaniem, zwróconym do nich przez funkcjonariuszy Sejmu, by wyszli z przedsionka. Zameldowałem o tym Komendantowi i. /.../ Pan Marszałek polecił mi iść i, w razie poruszenia przez Marszałka Sejmu Daszyńskiego sprawy obecności oficerów w przedsionku, oświadczyć mu, że oficerowie czują się dotknięci i wzburzeni usiłowaniami ze strony funkcjonariuszy Marszałka Sejmu usunięcia ich z gmachu obrad sejmowych. /.../ Marszałek Daszyński oświadczył mi, iż wie od swych urzędników, że w hallu Sejmu zabrali się jacyś uzbrojeni oficerowie, którzy grożą, że wejdą na salę obrad.

Odpowiedziałem, że nie słyszałem nic o tych groźbach, natomiast słyszałem, że wzbreniano im pobytu w przedsionku w sposób nieodpowiedni, więc poczuli się tym dotknięci i rozdrażnieni. Ja, zresztą, oficerom żadnych rozkazów nie dawałem.

Marszałek Daszyński odpowiedział, że to jest niemożliwe wymierzać sobie w ten sposób sprawiedliwość w Ciele Ustawodawczym i że on obrad nie otworzy.

Powiedziałem na to: - Mam zeszczyc zawiedomić Pana Marszałka, że w Sejmie jest Pan Marszałek Piłsudski jako zastępca premiera rządu. To moje oświadczenie zostało potwierdzone przez pułkownika Becka. Marszałek Daszyński odpowiedział krótko: "Ja wiem" - po czym z pułkownikiem Beckiem opuściliśmy gabinet prezesa Sejmu." /"Strzępy meldunków"/

W tym czasie "zdezorientowani oficerowie" zaetanawiali się, co robić dalej. Jedni proponowali wysłać delegację do marszałka Sejmu z żądaniem przeprosin za afront, inni zaczęli się rozchodzić. Jednakże w tym momencie zjawił się ponownie dyr. Pomorski, raz jeszcze żądając, by oficerowie opuścili Sejm. Wywołało to skutak odwrotny, ponieważ zostało uznane przez niektórych oficerów za celową prowokację. Pozostają oni w hallu sejmowym; padają propozycje, by udać się na skargę do Piłsudskiego.

Około godziny 16.20 zostaje zwołany konwent seniorów, który aprobeuje decyzję Daszyńskiego, by sesji nie otwierać. Po godzinie 16.40 Daszyński pisze list do prezydenta Mościckiego: "Zarządzenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24 października r.b. /.../ o zwołaniu sesji Sejmu, nie mogę wykonać, ponieważ o godz. 4 po południu wderło się przemocą do gmachu sejmowego przeszło 90 uzbrojonych oficerów W.P., którzy na moje żądanie opuszczenia gmachu Sejmu odpowiadają odmownie i pozostają w pobliżu sali posiedzeń Izby poselskiej." Kilka minut przed 17 list został wyspediuowany na Zamek.

W tym czasie, wobec przedłużającej się absurdalnej sytuacji, komendant straży marszałkowskiej Stawicki zwraca się do dyrektora Pomorskiego z propozycją usunięcia oficerów, skero "przeszkadzają oni w rozpoczęciu obrad". Na pytanie, jak chce tego dokonać, odparł: "Zbiórę wszystkich strażników z całego gmachu /było ich 16 - M.C./, zwrócimy się do oficerów i grzecznie ich przeprosimy, żądając jednocześnie, aby opuścili Sejm, gdyż poskowie się ich boją." Dyrektor sprzeciwił się temu pomysłowi, oświadając: "niech siebie robią, co im się tylko podoba. Im więcej jest ich tutaj, tym lepiej". Posłowie BBWR, jak się wydeję nie bardzo orientujący się w sytuacji i nie rozumający daczego Daszyński otwierać sesji nie chce, zachowywali się biernie wobec wytwarzającego się konfliktu. Poznoscili jedynie krzeszka ze swego klubu, aby w ten sposób zemanifestować swoje solidarność z oficerami.

Piłsudski oczekiwał w pokoju dla członków rządu. Doterza do niego wiadomość, że Daszyński udał się osobiście do prezydenta. Gdy przed godziną piątą wiadomość tę sprostowano, postanowił przeprowadzić rozmowę z marszałkiem Sejmu. "Panie Marszałku, melduję posłusznie, że mamy

czas." - rzekł na to Sławoj. - "Mówięc tak miałem nadzieję, że marszałek Daszyński, widząc spokojne zachowanie oficerów, otworzy obrady Sejmu."

Do marszałka Sejmu poszli z Piłsudskim Sławoj i Beck. Po przywitaniu Daszyński zaproponował, aby "pan generał i pan pułkownik" pozostali w salofiku. Piłsudski sprzeciwił się temu: "Nie, od czasu, gdy Pan przekreśla wszystko, wzięłem tu dwóch świadków. Słyszałem, że miał Pan jechać do pana Prezydenta, więc nie przychodzikam do Pana, teraz widzę, że Pan jest tu, więc przychoǳę i chcę Pana spytać, po co Pan robi te hece. Czy ja mam długo czekać na otwarcie Sejmu? Czemu Pan nie otwiera Sejmu? Co znaczą te hece?"

Pan marszałek Daszyński: Czy to, że tu są panowie oficerowie w Sejmie?

Pan Marszałek Piłsudski: Nie, nie to, ale to, że Pan nie otwiera posiedzenia Sejmu. Czegóż Pan go nie otwiera?

Pan marszałek Daszyński: Pod bagnietami, karabinami i szablami izby ustawodawczej nie otworzę. W hallu są uzbrojeni oficerowie.

Pan Marszałek Piłsudski: A jak to Pan dowiedzie?

Pan marszałek Daszyński: Mógłi mi to moi urzędnicy.

Pan Marszałek Piłsudski: Oh, pańscy urzędnicy! Jeżeli Pan tego nie chce, to trzeba to było ogłosić wcześniej. Nikt tak nie robi, a przed wejściem, gdzie ogłoszenia nie ma, zawsze tłum się zebrać musi. A później jacyś fagasi, albo któryś z posłów każe oficerom wychodzić. Po co te głupstwa?

Pan marszałek Daszyński: Jest Pan moim gościem, więc nie chcę z tego, co Pan mówi, robić użytku.

Pan Marszałek Piłsudski: Z czego?

Pan marszałek Daszyński: Pan mówi, że robię głupstwa.

Pan Marszałek Piłsudski: Ja nie jestem gościem, jestem tu oficjalnie.

Pan marszałek Daszyński: Ja też oficjalnie!

Pan Marszałek Piłsudski: Więc proszę Pana o trzymanie języka /uderzenie w stół ręką/ i pytam Pana, czy zamierza Pan otworzyć sesję?

Pan marszałek Daszyński: Pod bagnietami, rawolwerami i szablami nie otworzę.

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?

Pan marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?

Pan marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski kłania się lekko i nie podając ręki opuszcza gabinet Pana Marszałka Daszyńskiego. Przechodząc przez salonik Pana marszałka Sejmu, mówi głośno: "To dureń." /Komunikat gen. Składkowskiego i płk Becka, "Gazeta Polska" 2 XI 1929/

"Przechodźmy znów przez korytarze Sejmu do pokoju ministrów. Tu Pan Marszałek siada na kanapie, mówi: "Dajcie mi się nemyśleć." Po chwili Komendant decyduje się jechać do Zsmku do Pana Prezydenta, by omówić z Nim sytuację. Z Panem Marszałkiem odjeżdżają minister Prysztor i pułkownik Beck. Odprawdzam Komendanta do samochodu przez szpalier oficerów, którzy ciągle stoją w przedsionku i wracam do pokoju ministrów." /"Strzępy meldunków"/

O godzinie 18.15 Daszyński otrzymał od prezydenta Mościckiego pismo, w którym proponował on, wobec rozbieżności relacji Piłsudskiego z pismem Daszyńskiego: po pierwsze, odroczyć sesję do innego dnia, po drugie, spotkanie obydwu stron w obecności prezydenta, gdyż nie jest on w stanie "zająć jakiegokolwiek stanowisko".

Daszyński ponownie zebrał konwent seniorów i poinformował o odwołaniu posiedzenia. Następnie opracowano oficjalny komunikat biura sejmowego, który następnia wydrukowano w dużym nakładzie i rozdawano posiom, udającym się, wobec późniejszego odroczenia sesji na 30 dni/ do



swoich okręgów. Komunikat zawierał następujące stwierdzenia:

"Około godz. 4 po południu wdarło się przemocą do przedsionka gmachu Sejmu około stu uzbrojonych oficerów Wojsk Polskich, którzy odsunęli straż marszałkowską, nie dopuszczającą do wejścia osób bez legitymacji.

O godz. 4 min. 5 Marszałek Sejmu poprosił do siebie Pana Ministra Spraw Wewnętrznych, Generała Sławoja-Składkowskiego, któremu oświadczył, że zgromadzeni w przedsionku oficerowie zlekceważyli wezwania organów Marszałka, aby gmach Sejmu opuścili i pozostają nadal w Sejmie.

Wobec tego oświadczył Panu Ministrowi, że dopóki uzbrojeni ludzie gmachu nie opuszczą - posiedzenia nie otworzy. Generał Sławoj-Składkowski w odpowiedzi oświadczył, że oficerowie byli podrażnieni słowami służby, która wzbraniając im wstępu, kilku z nich obraziła. Marszałek Daszyński wobec tego oświadczył, że obrażonym przysługuje droga służbowa. /.../ ...dlatego prosił pana generała, aby im oświadczył, że demonstracji zbrojnej w Sejmie nie znieście i posiedzenia nie otworzy. O godz. 4 m. 12 zameldował Dyrektor Kancelarii Sejmu p. Marszałkowi, że oficerowie chcą tworzyć szpaler dla Marszałka Piłsudskiego, który już wówczas znajdował się wewnątrz gmachu, w sali przeznaczony dla pp. ministrów, jako zastępcą premiera dr K. Świątalskiego. Marszałek Sejmu polecił ponownie Dyrektorowi Kancelarii, aby poprosił oficerów o opuszczenie gmachu Sejmu. Prośba Dyrektora Kancelarii pozostała bez skutku. O godz. 4 m. 20 zwołał Marszałek Sejmu przewodniczących wszystkich klubów, którzy zjawili się w jego gabinecie i zgodzili się, że pod szablami i rewolwersami posiedzenia nie należy otwierać." /Następuje informacja o piśmie Daszyńskiego do Prezydenta i relacja z rozmowy z Piłsudskim./ "O godz. 6.30 zaprosił Marszałek Sejmu po raz drugi przewodniczących klubów i oświadczył, że ma zamiar posiedzenia nie otwierać i zawiadomi posłów pisemnie, że z powodu obsadzenia Sejmu przez zbrojnych ludzi posiedzenie odracza, a o terminie następnego PP. Posłów zawiadomi.

Poczem o godz. 8 rozdano posłom następujące oświadczenie /.../:

Do wszystkich Panów Posłów!

Z powodu zajęcia przemocą frontowej sieni wejściowej i poczekalni gmachu Sejmu przez uzbrojonych oficerów W.P. w liczbie około stu kilkudziesięciu, którzy na dwukrotne wezwanie urzędowe organów Marszałka Sejmu gmachu Sejmu nie opuszczają, oświadczam, że pod szablami pp. oficerów posiedzenie dzisiaj nie odwołuję. /.../

O godz. 8 min. 20 wieczorem oficerowie opuścili przedsionek gmachu Sejmu. O godz. 8 min. 30 sekretarz marszałka Daszyńskiego wyjechał na Zamek z pismem do Pana Prezydenta, w którym pan Marszałek Daszyński zawiadomił o odwołaniu posiedzenia."

Tegoż dnia jeszcze zostały opracowane komunikaty poszczególnych stronnictw. Komunikaty lewicy szły po linii oświadczenia sejmowego, z podkreśleniem aktu "przemocy wobec Sejmu" ze strony "uzbrojonych oficerów". Komunikat prawicy ostrożniej formułował stwierdzenie, iż "posiedzenie zostało udaremnione przez wkroczenie grupy oficerów". Natomiast klub BBWR początkowo nie potrafił zająć zdecydowanego stanowiska, przynajmniej nie zajął takiego jego przedstawiciel na posiedzeniach konwentu seniorów. Dopiero wiadomość o ostrej scyzy Piłsudskiego z Daszyńskim spowodowała, iż oświadczenie klubu zapowiedziało zgłoszenie votum nieufności wobec marszałka Sejmu i określało argumenty Daszyńskiego jako demagogiczne i "podyktowane niezrozumiałością i niczym nieuzasadnioną obawą przed szpalerem oficerów". Próbie usunięcia oficerów "przybyłych na powitanie Marszałka Piłsudskiego i tworzących szpaler w przedsionku, do którego wstęp nigdy nie był nikomu wzbroniony i gdzie stale w czasie posiedzeń oczekują różne delegacje i interesanci prywatni", określone jako obraźliwe.

Trzeba zwrócić uwagę, iż opublikowany dnia na tegoż komunikat rządowy był jeszcze ostrożniejszy. Krótko streszczał poczynania zaangażowanych osób, tj. Piłsudskiego i Daszyńskiego, oraz prezydenta, i określał incydent jako "niewyjaśniony". Komunikat ten właściwie nie obarczał winą żadnej ze stron i nie zajmował stanowiska wobec istoty konfliktu. Z pewnością w jego redagowaniu uczestniczyli zarówno Switalski jak i Piłsudski. Ostrożność sformułowań zdaje się świadczyć o tym, że dopuszczali oni możliwość, iż istotnie mogło dojść w Sejmie do jakiejś scysji pomiędzy oficerami a posłami, z winy oficerów.

Waga tego, nieco operetkowego, incydentu ujawniła się jednak dopiero w dniach następnych. Stronnictwa lewicowe nadały mu niesłychany rozgłos, za pośrednictwem prasy, organizowanych specjalnie na tę okoliczność wieców, spotkań opozycyjnych posłów z wyborcami. Kampania antyrządowa rozprzestrzeniła się także za granicę, gdzie prasa, szczególnie socjalistyczna i lewicowa, przedstawiała wydarzenie jako zełmach dyktatury na demokrację i swobody obywatelskie. Oficjalną podstawę dla tej kampanii dawał komunikat sejmowy, podkreślający użycie przemocy ze strony oficerów. Wyolbrzymiała wydarzenie natychmiast rozprzestrzeniająca się plotka i pogłoska, której echa dostawały się także na łamy prasy. Nierzadko przyjmowano jako fakt dokonany zmasakrowanie posłów lub personelu sejmowego; częściej masakrę przedstawiano jako cel "najęcia" oficerskiego, udaremniony przez niezłomną postawę marszałka Sejmu. Pogłoska nadawała incydentowi charakter niemal zorganizowanej operacji wojskowej, z udziałem zwartych oddziałów uzbrojonych w karabiny i pistolety, z karabinami maszynowymi na okolicznych dachach. Kraj ogarniał zaczęło oburzenie. Społeczeństwo, dotychczas obdarzające Piłsudskiego sympatią i poparciem, było zdeorientowane. Niepopularny Sejm, obarczany przez ogół odpowiedzialnością za wszystkie dolegliwości i bóle społeczne zaczęł powracać do łask jako ofiara brutalnej przemocy.

Groźniejsza dla interesów państwa była inspirowana przez lewicę kampania zagraniczna. Przedstawiano w niej incydent jako dowód na faszyzowski charakter "dyktatury" Piłsudskiego, a Polskę jako barbarzyński i zacofany kraj, nie potrafiący rządzić się według demokratycznych zasad, kraj terrorku i wojskowej dyktatury. Brało w tej kampanii wiele dzienników, jak wiedeński "Arbeiter Zeitung", niemiecki "Vorwaerte" oraz szczególnie wiele dzienników francuskich, jak "La Republique", "Peuple Avenir", "Matin", "Petit Parisien". Nie było to przypadkiem. Kierujący wówczas polityką francuską Briand dążył do "pacyfikacji" stosunków europejskich drogą zbliżenia z Rzeszą. Tej linii politycznej stały na przeszkodzie zobowiązania sojusznicze Francji wobec Polski. Toteż uwolnienie się od tych zobowiązań było gorącym pragnieniem rządu francuskiego, szczególnie w okresie "briandyzmu". Pewna, dość liczna zresztą część francuskiej opinii była kierunkowi temu przeciwna, toteż tego rodzaju kampanie, dyskredytujące Polskę, szczególnie gdy wychodziły z samej Polski, z kół opozycyjnych, przydając im wiarygodności, były niezwykle pomocne w przełamaniu oporów zarówno opinii publicznej, jak i zasiadających w parlamencie zwolenników sojuszu z Polską i kursu ostrzejszego wobec Niemiec. Bardzo poważna część polskiej opinii nie liczyła się z konsekwencjami tego rodzaju, dla Polski bardzo groźnymi, i do samego końca wykorzystywała swoje kontakty zagraniczne w celu rozpętania kampanii "antypiłsudczykowski", a w istocie antypaństwowych, licząc na to, iż nacisk i poparcie zagraniczej opinii i kół politycznych ułatwi jej obalenie Piłsudskiego i objęcie władzy.

Dodatkowym elementem była niezwykle silna i wpływowa propaganda prokomunistyczna w Europie zachodniej, bazująca na szerokiej podstawie stronnictw i ugrupowań lewicowych i "postępowych", która czyniła wiele, aby politycznie Polskę wyizolować i w ten sposób przygotować warunki dla bolszewickiej ekspansji. Toteż intensywnie propagowano obraz Polski jako kraju zacofanego i reakcyjnego, "faszystowskiego", na tle postępowego i wspaniałego ustroju naszego wschodniego sąsiada. Prasa zachodnia, nie wyłączać zresztą dużej części polskiej, była przepełniona zachwytaami nad wspaniałymi osiągnięciami Związku Sowieckiego, entuzjastycznymi relacjami podróżujących po Kraju Rad głośnych intelektualistów, itp. Takiemu nastawieniu zachodniej opinii i zachodniej polityki sprzyjał wybitnie gorączkowy wyścig zachodniego kapitału do współpracy gospodarczej z Sowietami, która rozpoczęły właśnie w ramach stalinowskiej pięcioletki gigantyczną rozbudowę swego przemysłu zbrojeniowego i ciężkiego. Sytuacja więc jak najbardziej sprzyjała, by antyrządowa propaganda opozycji trafiła na podatny grunt i odbijała się głośnym echem. Sprzyjała także konkretnym osiągnięciom opozycji. Wprowadziła poparcie "postępowej opinii europejskiej" nie utworowiła opozycji drogi do władzy, ale spowodowała osłabienie międzynarodowej pozycji Polski, rozluźnienie jedyne go liczącego się sojuszu z Francją, a w parę lat później "krytyczne nastawienie parlamentu" francuskiego wobec sytuacji wewnętrznej w Polsce stało się pretekstem odmowy udzielenia pożyczki wojskowej.

Ofiarami demagogii padały także osobistości Polesce zasadniczo przychylnie i zwolennicy utrzymania i zacieśnienia sojuszu polsko-francuskiego, jak np. przewodniczący parlamentarnej grupy francusko-polskiej, socjalista Jean Locquin. Pod wpływem wieści o "zbrojnym zamachu na Sejm" wyetosował on do Daszyńskiego list z wyrazami poparcia. "...Pragniemy - ja i moi przyjaciele - powińszować Panu jego szlachetnej postawy wobec prób wprowadzenia dyktatury wojskowej, prób, którym przeciwstawił się pan z taką stanowczością." Francuski socjalista wspomina o "przykrym oddźwięku", jaki wywołuje we Francji "ograniczenie swobód obywatelskich" w Polsce, a także formułuje grzeczne, choć poważne ostrzeżenia, iż "braterski zapas" nerodu francuskiego, skłaniający go, a przede wszystkim "rzęszce robotnicze" do "stania się po stronie" Polski, może "załamać się", wobec "skłonności do pogrzebania się w faszyzmie".

Dpozycja traktowała kampanię na tle incydentu w Sejmie jako swój olbrzymi sukces, jako polityczny i propagandowy cios, który dotkliwie ugodził Piłsudskiego i obóz rządowy. Nie wydaje się, aby zrozumiała istotny sens przyjacielskiego ostrzeżenia towarzysza Locquina, oraz to, że w rzeczywistości podcina gałąź, na której siedzi. Opozycja celowała w Piłsudskiego i za każdym razem, a dzieło się tak bardzo często, niezawodnie trafiała w państwo i podstawy jego międzynarodowej pozycji i niepodległego bytu. W tym sensie tektyka opozycji istotnie została po latach uwieńczona pełnym sukcesem, co tak dobitnie podkreślają komunistyczni historycy i propagandiści.

Sławoj-Skłodkowski zauważa, iż po pożegnaniu wychodzącego z Sejmu Piłsudskiego: "Oficerowie powoli i w spokoju opuszczają przedaionek." Jest to pozornie sprzeczne z twierdzeniem komunikatu sejmowego, który określa czas opuszczenia Sejmu przez oficerów na godz. 8.20. Jednak relacje Sławoja, przynajmniej z faktów i wydarzeń, których był naoczny świadkiem, trzeba traktować jako wiarygodne. Oznacza to conajmniej,



generał widział opuszczających Sejm oficerów, a pozorną sprzeczność, jak się zdaje, jest dość łatwa do wyjaśnienia.

Piłsudski naradza się naprzód z prezydentem, czego skutkiem był list Mościckiego, a następnie ze Świtalskim. List prezydenta do Deszyńskiego, podobnie zresztą jak komunikat rządowy, traktuje incydent jako wymagający wyjaśnienia, wobec rozbieżności w jego przedstawianiu, i jak się zdaje, strona rządowa była zdezorientowana i nieprzygotowana na jego następstwa, tj. antyrządową kampanię opozycji. Mościcki postanowił doprowadzić do spotkania - w jego obecności - Deszyńskiego z Piłsudskim i Świtalskim, nie tylko "celem wyjaśnienia sprawy", ale przede wszystkim w celu załagodzenia konfliktu. Dlatego postanowił sesji nie odraczać, do czego miał prawo, ale odłożyć jej otwarcie, na czas, jaki zarządek Sejmu uzna za stosowny. Dopiero rozwój sytuacji w dniach następnych spowodował konieczność odroczenia sesji na 30 dni.

Deszyński jednak - a może raczej strona sejmowa, gdyż trudno ustalić z kim konkretnie uzgadniał on swoje posunięcia - nie tylko był zdania, że incydent żądnych wyjaśnień nie wymaga, ale natychmiast przystąpił do rozpowszechniania takiej wersji, jaką przyjął od pierwszych minut. Oficjalny komunikat sejmowy, który stał się podstawą do informacji prasowych oraz antyrządowej kampanii już następnego dnia, podawał jako fakty, po pierwsze: wtargnięcie oficerów przemocą do Sejmu, nie precyzując, że chodziło jedynie o część Sejmu dostępną dla publiczności, po drugie: że usunęli oni jakoby zagradzając im drogę straż marszałkowską, co sugerowało zaistnienie jakiegoś incydentu z użyciem siły fizycznej ze strony oficerów w stosunku do personelu sejmowego, po trzecie: że oficerowie byli uzbrojeni, co w kontakcie całego komunikatu pozwalało wnioskować, iż zamierzali oni tego "uzbrojenia" w jakiś sposób użyć, po czwarte: że odmówili opuszczenia Sejmu. Wszelako to pozwalało na sformułowanie wniosku, że miał miejsce zbrojny zamach na Sejm. Niezależnie od tego, jakie - na podstawie przytoczonych dotychczas danych - można byłoby snuć przypuszczenia co do celu przybycia oficerów, nawet w świetle tych relacji jest jasne, że trzy pierwsze punkty nie znajdują żadnego potwierdzenia w faktach, natomiast czwarty wygląda zupełnie inaczej, gdy uwzględnimy, iż hall sejmowy nie był eksterytorjalny, zatem wyprzeszenia z niego kogokolwiek nie miało dotychczas precedensu. Mówiąc delikatnie komunikat oparty był na fałszywych informacjach, ponieważ tylko dzięki temu incydent mógł być przedstawiony jako zamach wojskowy na Sejm i posłużyć jako podstawa kampanii antyrządowej.

Podjęcie natychmiastowej kampanii antyrządowej udermiło mediacyjne zamiary prezydenta i świadczyło o tym, iż opozycja nie zamierza skorzystać z takiej drogi, traktuje natomiast incydent jako nadzwyczaj korzystny i wygodny pretekst do ataku na Piłsudskiego. Gdyby to on rzeczywiście dążył do ostrego starcia z Sejmem, z całą pewnością musiałby wziąć pod uwagę i taki wariant wydarzeń, jaki w istocie miał miejsce i reakcja jego byłaby zupełnie inna. Świadczy o tym cały tok długotrwałej wojny, jaką z Sejmem prowadził. Piłsudski incydent zlekocwał. "Niech oni robią wielkimi rzeczami, mnie na razie jeszcze wystarczy działać kpinami" - powiedział w rozmowie ze Świtalskim i Sławojem tegoż wieczora. Tym razem jednak pomylił się, gdyż duża część opinii publicznej potraktowała incydent całkiem poważnie.

Następny dzień, 1 listopada przyniósł, jak już pisaliśmy, ostrą cferisywę prasową opozycji. Gwałtowność ataku skłoniła Piłsudskiego do podjęcia dość bezceremonialnych kroków wobec Deszyńskiego, gdyż zarówno odmowę otwarcia sesji jak i nasświetlenie wydarzeń w komunikatach i prasie, potraktował on jako jego osobistą inicjatywę i swego rodzaju wybrzyk. Prawdopodobnie już 1-go listopada polecił on, aby oficerowie obecni w Sejmie złożyli mu raporty, celem wyjaśnienia okolicz-

ności wyderzenia. Natomiast 2-go polecił Beckowi i Sławojowi, aby opracowali notatkę z rozmowy z Daszyńskim. Została ona opublikowana i "w myśli intencji Komendanta, znacznie zaozgrała sytuację polityczną." Piłsudski podjął rzuconą rekawicę pojedynku prasowego i - umieszczając w komunikacie obraźliwe słowo rzucone pod adresem Daszyńskiego, zmierzał do podważenia jego autorytetu i ośmieszenia. Wersja Sławoja i Becka jest uznana za ściśle. Nie zaprzeczył jej w każdym razie sam Daszyński. Marszałkowi Sejmowi nie pozostawiało natomiast nic innego, jak podtrzymać własną wersję wypadków, i niezależnie od tego, czy ogarniała go spokojniejeza refleksja, na co wskazuje ostrożniejeza sformułowania ce do "uzbrojenia" oficerów i "przemocy", trwać na zajętej pozycji bojowej. Była to walka o zdobycie opinii publicznej.

Juliana Malickiego, dziennikarza popołudniówki "Kurier Czerwony" uderzyło, że wszystkie relacje prasowe opierają się na komunikacie Sejmu i rozwijają go, bądź na informacjach z drugiej ręki. Natomiast brak było relacji naocznych świadków, potwierdzających wersję sejmową, pomimo iż Sejm pełen był przecież dziennikarzy, z których nikt nie zauważył, że był świadkiem "zbrojnego zamachu", rozgrywającego się rzekomo kilkanaście metrów od ich łóż pracowych. Postanowił zatem przeprowadzić wywiad z członkami straży marszałkowskiej. Historyk Garlicki twierdzi, że ich przekupił. Jest to oczywiście bezpodstawa insynuacja o charakterze nie tylko nienaukowym, ale po prostu kryminalnym. Dziwna beczceremonialność w stosunku do realnych przeciwników, choć nieżyjących osób. Skąd jednak historyk Garlicki zaczął natchnienie do tego oszczerstwa? Możeby powiedzieć, że w oczach tego pokroju naukowca każda relacja korzystna dla Piłsudskiego, musi być owocem przekupstwa lub brudnej machinacji. Ale w tym wypadku podejrzawam, iż natchnęła go uwaga samego Malickiego, który opisując z wyraźną dumą swoje dziennikarskie osiągnięcie, zauważa, iż "opero-wał wszelkimi argumentami, na jakie stać wytrwałego publicystę-dziennikarza" aby skłonić komendanta Stawickiego do mówienia. Można uznać, że w tych "argumentach" mieści się łapówka. Ale właśnie to prostoduszne wyznanie skłania do wniosku odwrotnego. Trudno przypuścić, że chępiłby się on w ten dwuznaczny sposób, gdyby istotnie użył środków niezbyt czystych. Przeciw Stawickiemu toczyło się kilkumiesięczne postępowanie dyscyplinarne, właśnie za udzielenie tego wywiadu i podważenie oficjalnej wersji sejmowej, a także za udzielanie informacji o toczących się później w Sejmie przesłuchaniach. Stawicki został przeniesiony w stan spoczynku. Ponadto należał dodać, iż jego relację potwierdziło jeszcze czterech innych strażników. Musieliby zatem albo wszyscy zostać przekupieni albo wiedzieć o przekupieniu Stawickiego. Jasne, że w takim wypadku fakt ten nie mógłby się dać zataić i zostałby wyciągnięty na światło dzienne, a Stawicki naraziłby się na odpowiedzialność sądową.

Insynuację tę należało traktować jako typową dla komunistycznych propagandzistów "metodę naukową", nie mogących się po prostu powstrzymać przed świństwem, nawet jeśli jest bezeceowne. Gdyż Stawicki, przekupiony, czy nie, powiedział tylko prawdę, zgodną w zupełności z relacjami tych spośród posłów, którzy byli naocznymi świadkami incydentu. Powiedział po prostu, że oficerowie nie używali przemocy, czyli, jak mówią inne relacje, "zachowywali się spokojnie" i ani nie poturbowali nikogo, ani nie mieli żadnych zetargów z członkami straży, czy kimekolwiek innym. Waga tego oświadczenia wydaje się dziś niewielka, gdyż nikt, poza całkowitymi ignorantami, wersji odmiennej nie podtrzymuje. Wówczas jednak wywarła skutek piorunujący, gdyż zaprzeczale oficjalnemu komunikatowi sejmowemu i oparty na nim relacjom, traktującym "użycie przemocy" w forsie wprowadzile nieokreślonej, jako niezbity fakt. Na tym nieprawdowym fakcie opierała się cała kampania antyrządowa, a on jedynie usprawiedliwiał poczynania



Daszyńskiego. Wersja, jakoby odmówił on otwarcia sesji p r z s w i -  
d u j ę c akty przemocy powstała później; wówczas mówiono powszechnie o d e k o n a n y c h aktach przemocy.

Trzej strażnicy: komendant Stawicki, Bartosiewicz i Obojski swymi oświadczeniami zakwestionowali prawdziwość oficjalnych organów Sejmu. Stawicki: "Oficerowie weszli bardzo grzecznie i spokojnie." Pierwsi oficerowie, jacy pojawili się w hallu, poprosili o zawiadomienie posłów Koca lub Połakiewicza z BBWR. Nie było ich w pomieszczeniach klubów, a jego sekretarz, poseł Dykas "nie był poinformowany o wizycie oficerów". Tymczasem zaczęli przybywać inni, w liczbie około 120, łącznie z tymi, którzy byli na tarasie i schodach wejściowych. "Wówczas domyśliłem się, że do Sejmu ma przybyć Marszałek Piłsudski i oficerowie chcą mu zgotować owację, jak to już niejednokrotnie miało miejsce w Sejmie." Na pytanie, czy zatrzymał oficerów, Stawicki zaprzeczył - "zresztą żaden z oficerów nie usiłował wejść na salę posiedzeń. Nigdy bym nie przypuszczał, żeby z tego powodu mogło dojść do jakiegos nieporozumienia."

"Jako służbieta zawiadomiłem tylko o wizycie pp. oficerów kancelarię sejmową /.../ Dopiero wtedy wywiązała się dyskusja, kiedy p. dyrektor kancelarii sejmowej zażądał od oficerów opuszczenia gmachu."

Strażnik Bartosiewicz: "Nikt z panów oficerów nie był zatrzymywany. Nie było powodu. Przecież to przyszli polscy oficerowie do polskiego Sejmu." Ta prostoduszna uwaga tak kontrastująca z atmosferą konfliktu, świadczy o tym, jak była ona przesiąknięta zacietrzewieniami i nienawiścią.

Strażnik Obojski potwierdził relacje kolegów nie wnosząc nowych informacji. Podobnie dwaj następni, Bernat i Kaczmarczyk, których nazwiska zostały pominięte, na ich żądania, w wywiadzie.

Wywiad nie zajmował się politycznym tłem wydarzenia, lecz faktami. "Dwais odrębna relacja - jedna oficjalna, parlamentarna, druga dziennikarska, rzucały kontrastowo różne światło na jedno i to samo zjawisko. /.../ Tak się przedstawiała relacja służby bezpieczeństwa gmachu Sejmu i tak wyglądała sprawa wtargnięcia oficerów do Sejmu, z której zrobiono głośną na cały świat hecę parlamentarną, a której p. Daszyński w komunikacie urzędowym nadał tak tragiczną formę, że ludzie wyobrażali sobie, iż tam, w hallu, stoczona była istna walka oficerów ze strażą Marszałkowską, która nie chciała wpuścić "uzbrojonych w ezemble, rewolwery i bagnety zamachowców."

Zeznania Stawickiego wywoływały pewną konsternację w Sejmie. Przede wszystkim zażądano od niego odwołania złożonych oświadczeń. Gdy odmówił, wszczęto przeciw niemu dochodzenie dyscyplinarne, pod różnymi, związanymi i niezwiązanymi za sprawą zarzutami. Przesłuchanie strażników wnoszą parę nowych elementów. Na pytanie, czy oficerowie byli uzbrojeni w rewolwery i szable, Stawicki stanowczo oświadczył: "Ja u nikogo rewolwery nie widziałem, a większość wogóle była bez szabel." Pomimo nacisków nie zmienił on tego stwierdzenia. Ponadto przesłuchawsno go w kwestii obowiązującego regulaminu, usiłując wykazać, że hall wejściowy powinien być traktowany jako skterytorialny. Wyszło jednak na jaw, że regulaminu takiego wogóle nie było, natomiast wieloletnia praktyka ustaliła granicę ekterytorialności na drzwiach wejściowych z hallu w głąb Sejmu. Na pytanie, czy jego zdaniem wolno było oficerom przebywać w hallu, odpowiedział: "Nie pierwszy raz byli w Sejmie, a jeśli poprzednio wolno im było przychodzić i od tego czasu nie otrzymałem żadnej innej instrukcji, więc według mojego zdania wolno im było i teraz przyjść, zwłaszcza, że żadnej przemocy ani siły względem nikogo nie stosowali."



Ponadto Stawicki zeznał, że tego dnia, po powrocie do domu /w komplecie sejmowym/ wysłał żonę "do sklepu, po wędlinę na kolację". Jednak żona zakupu nie zrobiła, gdyż "wszystkie kielbasy oficerowie wykupili i zjedli". Zeznanie to zaprotokołowano i uwzględniono w późniejszych badaniach komisji sejmowej, jako okoliczność "obciążającą" oficerów, mimo anonimowego charakteru. Nie zwrócono jednak uwagi na to, że podważa ono podaną w komunikacie sejmowym informację o godzinie opuszczenia Sejmu przez oficerów /ok. 8.20 wieczorem/, gdyż sklep zamknięto o 8-sej, a Stawicki mógł wrócić do domu dopiero po ich wyjściu.

4-go listopada ukazał się nowy artykuł nieustępliwego Malickiego, ujawniający m.in. szczegóły toczących się w Sejmie przesłuchań strażników. Podkreślił on wagę informacji udzielonych przez strażników w poprzednim wywiadzie: "Ci ludzie oddali wielką usługę prowadzić historycznej /.../ Zasługa ich polega jeszcze na tym, że obalili niestworzoną plotkę, która dyskredytowała Polskę w oczach zagranicy, tam bowiem wyraźnie pisało o dokonaniach z zamachu oficerów na parlament polski."

Ponadto Malicki stawiał kierownictwu Sejmu poważne i uzasadnione zarzuty: "od krytycznego momentu do dnia wczorajszego nikt z miarodajnych czynników sejmowych nie zadał sobie nawet trudu zbadania najbardziej powołanej do ustalenia istotnego przebiegu wydarzeń - straży marszałkowskiej, która pełniła służbę w przedsiłku i była jedynym świadkiem całego zajęcia."

Istotnie, przesłuchiwanie straży rozpoczęto dopiero wskutek opublikowania wywiadu Malickiego, i już rzecz jasna nie po to, by zrekonstruować rzeczywisty przebieg wydarzeń, lecz po to, by w tych zeznaniach znaleźć potwierdzenie ogłoszonej wersji sejmowej. Mimo tej tendencji zeznania wykazywały jasno, że zbrojnego zamachu na Sejm - nie było. Trzeba więc było odstąpić od dramatycznych określeń, przynajmniej w wystąpieniach oficjalnych i szukać innego uzasadnienia podjętych kroków - tego mianowicie, że zapobiegały one planowanemu przez Piłsudskiego zamachowi. Natomiast zawrócenie z obranej drogi, wiedzącej do zaostrzenia konfliktu z rządem, z różnych względów nie wchodziło w grę, zarówno dla Daszyńskiego osobiście, jak i dla całej opozycji.

### Rozgrywka

Obecność oficerów w Sejmie stała się dla Daszyńskiego pretekstem do podjęcia ataku na Piłsudskiego, pretekstem, z którego skorzystał natychmiast i bez zastanowienia. Już w piśmie do prezydenta z godz. 16.40 użył określeń dramatycznych: "...o godz. 4 po południu wdarło się przemocą do gmachu sejmowego przeszło 90 uzbrojonych oficerów W.P., którzy /.../ pozostają w pobliżu sali posiedzeń..."

Na tle rzeczywistego przebiegu wydarzeń uderza pewna historyczna przesada tych sformułowań. Informacja w nich zawarta jest przede wszystkim fałszywa. Nie jest przy tym istotne, czy Daszyński był tego świadom, czy też został błędnie poinformowany przez swoich urzędników i informatorów tym uwiarylił. Faktem jest, że informacji tych nie sprawdził i sprawdzać nie zamierzał. Jest oczywiste, że gdyby zależa-

ło mu nie na zaostrzeniu konfliktu z rządem, lecz przynajmniej na utrzymaniu w miarę poprawnych stosunków, postąpiłby ostrożniej i conajmniej poszukał potwierdzenia u naocznych świadków wyderzenia. Jednakże w rozmowie z Piłsudskim oświadczył wyraźnie, że opiera się wyłącznie na informacjach swoich urzędników. Na tej podstawie już o godz. 4.20 przedstawił swoje wykładnię na konwencie seniorów, oraz powziętą decyzję, a następnie powtórzył ją w oficjalnym piśmie do prezydenta. Na podstawie tego pisma osoba niezorientowana musiała nabrać przekonania, że w Sejmie miał miejsce zbrojny zamach w wyniku którego doszło do okupacji gmachu, uniemożliwiającej otwarcie obrad i że ponadto "pozostający w pobliżu sali posiedzeń" oficerowie zagrażają nadal bezpieczeństwu posłów. Mościcki musiał być po otrzymaniu tego listu conajmniej mocno zdezorientowany. Wynikało z niego nie mniej ni więcej, że Piłsudski dokonał jakiegoś nowego przewrotu, o którym on, prezydent nic nie wiedział. Gdy Piłsudski przybył i wyjaśnił, że zamachu nie było, stało się jasne, że ma miejsce atak, czy też kontratak opozycji sejmowej, i że oznacza to początek ostrej rozgrywki, do której opozycja od dawna dążyła. Nie wykluczano jednak możliwości nieporozumienia, toteż następne kroki prezydenta będą zmierzały do wyjaśnienia tej kwestii.

Na pozór okolicznością uzasadniającą postępowanie Daszyńskiego była odmowa oficerów opuszczenia Sejmu. Lecz w świetle ustalonej praktyki, czyniącej z hallu sejmowego miejsce publiczne, to znaczy ogólnie dostępne, a zatem wyłączone spod suwerenności marszałka Sejmu, żądanie urzędnika sejmowego było nie tylko nieuzasadnione, ale stanowiło w pewnym sensie naruszenie praworządności, w tym wypadku prawa zwyczajowego i pewnych swobód obywatelskich, do których należy m.in. prawo do przebywania w miejscu publicznym bez specjalnego zezwolenia. Toteż Piłsudski słusznie podniósł tę kwestię w rozmowie z Daszyńskim, stwierdzając, iż "należało ogłosić to zawczasu", to znaczy naprzód zakazać wstępu do hallu, by móc następnie zakaz ten egzekwować. W kraju niedemokratycznym i niepraworządnym jest oczywiście, że jakikolwiek dygnitarz może usunąć jakiegokolwiek miejsca, jeśli tak mu się spodoba. Lecz właśnie dlatego, że Polska pod rządami Piłsudskiego była krajem praworządnym, w którym obywatela byli świadomi swych praw, tego rodzaju postępowanie, choćby samego marszałka Sejmu, musiało być potraktowane jako niepraworządne i nieuzasadnione, a reakcją na nie, ze strony nie tylko oficerów, ale kogokolwiek, mogło być tylko oburzenie. Ponieważ jednak byli to oficerowie, ich reakcja musiała być silniejsza, gdyż nie uległo wątpliwości, że "efront" ze strony urzędnika sejmowego dotyczył nie tylko ich samych, lecz był pośrednim wymierzony w Piłsudskiego, jako obecnego na miejscu ich najwyższego zwierzchnika. Wszystko to nie zmieniło faktu, że okoliczności polityczne na odgrywały istotną rolę, a w publicznie znanym konflikcie Sejmu z Piłsudskim, oficerowie zamierzali, czy też mieli zedania, zmanifestować swoje dla niego poparcie.

Z niestosowności swego postępowania zdawał sobie sprawę sam Daszyński. Dowodzą tego dwie okoliczności. Pierwsza, że usprawiedliwienia dla niego szukał w fałszywych informacjach o uprzednim użyciu przemocy przez oficerów, którym jakoby, zanim zeżądano opuszczenia Sejmu, zabraniano wstępu, co było nieprawdą. Druga - że post factum wydał odpowiednio zarządzenie dotyczące eksterytorialności budynku sejmowego, co oczywiście nie miało już znaczenia, poza tym, że było pośrednią przyznaniem się do działania bezprawnego.

Obecność publiczności w hallu ani Daszyńskiemu, ani nikomu innemu nigdy nie przeszkadzała. Czy jednak obecność oficerów, w tym konkretnie czasie była taką przeszkodą? Gdyby tak było istotnie, to znaczy, gdyby obecność oficerów była przeszkodą, uniemożliwiającą otwarcie sesji, wydaje się oczywiste, że - skoro nie usłuchali oni wezwania urzędnika sejmowego - marszałek Sejmu mógł i powinien zwrócić się do osób upoważnionych do wydawania poleceń i rozkazów w każdym miejscu publicznym i z a ż a d a ć usunięcia oficerów. Osobą taką był przede wszystkim Piłsudski i postawienie mu takiego żądania byłoby tym bardziej oczywiste, że Daszyński uważał, iż oficerowie znaleźli się w Sejmie właśnie na jego rozkaz.

Analiza relacji dowodzi jednak, że z takim żądaniem do Piłsudskiego nie zwrócono się ani bezpośrednio ani pośrednio. Przede wszystkim nie zażądał tego Daszyński w rozmowie z Piłsudskim. Przeciwnie, w rozmowie tej nie ma ani jednego słowa, które mogłoby być odabrane jako choćby sugestia, że usunięcie przez Piłsudskiego oficerów położy kres "incydentowi". Adam Pragier pisze: "Marszałek Daszyński zorientował się prędko w położeniu i zdecydował nie otwierać posiedzenia /.../ Sytuacja nierozstrzygnięta przeciągała się dłuższy czas /.../ Wezwał Piłsudski..." Próchnik: "...przybył do Sejmu Piłsudski /.../ Marszałek Daszyński kazał mu powiedzieć, że posiedzenie nie otworzy /.../ Równocześnie marszałek wysłał pismo do prezydenta..."

Witos: "Piłsudski, nie mogąc się doczekać otwarcia Sejmu, zniecierpliwiony zawiadomił marek Daszyńskiego o swoim przybyciu i zapytał o powody. Daszyński mu powiedział, że posiedzenia Sejmu nie otworzy..." Wprawdzie Witos pisze także, iż na zebraniu prezaso klubów o godz. 16.20 Daszyński oświadczył, że "zwrócił się do ministra Składkowskiego, żądając usunięcia oficerów", ale ani sam Składkowski, ani przebieg wydarzeń nie potwierdzają tej informacji. Żądanie takie musiałyby być przekazane Piłsudskiemu i albo przez niego spełnione, albo odrzucone. Ponieważ jednak d e c y z j a Daszyńskiego została powzięta już na konwencie emigrantów i potwierdzona w piśmie do prezydenta, przed rozmową z Piłsudskim, jasne jest, że nie czekał on na żadną reakcję Piłsudskiego, gdyż żadnego żądania wobec niego nie wysuwał. Oczywiście, odrzucenie wyrażonego w sposób jasny żądania usunięcia oficerów dałoby Daszyńskiemu eilny argument z tej woli Piłsudskiego i uzasadniałoby dalsze jego kroki. Skoro jednak reakcją Daszyńskiego była netychmiastowa decyzja nieotwierania sesji, jasna jest, że nie zależało mu na u e n i e c i u rzekomych przeszkód, lecz na tym, by wykorzystać pretekst do zaostrzenia konfliktu. Nie próbując zrobić wszystkiego, by incydent rozwiązać i nadejść mu netychmiast charakter "zbrojnego zamachu", komunikująco i oficjalnie swą arbitralną decyzję nieotwierania sesji, Daszyński netychmiast, z pełną świadomością zatrasnął drzwi do kompromisu i wyjaśnienia sprawy. Konsekwentnie też odrzucał następnie wszystkie próby takiego załatwienia sprawy, czynione przez prezydenta.

Wieczorem 2-go listopada Daszyński otrzymał zaproszenie prezydenta na rozmowę w dniu następnym o godz. 12 w celu wyjaśnienia sprawy. Tegoż dnia ukazał się wywiad Malickiego, demontujący oficjalną wersję sejmową. Ponieważ przeprowadzone 3-go listopada rano przesłuchania strażników nie przyniosły korzystnych rezultatów, było jasne, że konfrontacje Daszyńskiego z Piłsudkiem w obecności prezydenta musi wykazać marszałkowi Sejmu miżenie się z prawdą. Daszyński zatem odrzucił zaproszenie prezydenta, oświadczając iż na żadne spotkanie, w którym miałby wziąć udział Piłsudski, nie przybędzie, i powołując się na opublikowany tegoż dnia komunikat PAT-a, podający treść rozmowy w Sejmie, wraz z rzuconą przez Piłsudskiego obelgę. Można uznać bezceremonialność Piłsudskiego za rzeczywisty powód odmowy, lecz



powód ten zjawiał się w odpowiednim momencie, by uzasadnić uporczywe dążenia Daszyńskiego do postawienia sprawy na ostrzu noża. Na ponowne zaproszenie prezydenta przybył Daszyński na rozmowę z nim samym. Udało mu się uniknąć dyskusowania i wyjaśniania przebiegu wydarzeń w Sejmie, przeniósł natomiast sprawę na szerszą płaszczyznę polityczną. Oskarżając Piłsudskiego o "pomiatanie Sejmem" a także o spowodowanie "ciężkiego położenia gospodarczego" kraju i "burzenie ładu i porządku" w państwie, Daszyński stwierdził, że istniejącej sytuacji utrzymać się nie da i zażądał, by prezydent bądź odwołał rząd, bądź rozwiązał Sejm. Zarzuty postawione miały charakter demagogiczny, gdyż skurat pod każdym względem: gospodarczym, wewnętrznym i międzynarodowym położenie Polski poprawiło się wyraźnie w stosunku do okresu przedmajowego i było to zasługą rządów Piłsudskiego. Wprawdzie pojawiły się już oznaki nadciągającego kryzysu światowego, ale zapobiec im nie mógł żaden rząd polski. Lecz Daszyński dążył do postawienia prezydenta w sytuacji przymusowej i przekonania go, że konflikt, za który odpowiedzialny jest oczywiście Piłsudski nie może być już rozwiązany w drodze jakiegokolwiek kompromisu, a zatem nieuniknione jest powzięcie decyzji radykalnej. Każda z takich decyzji byłaby korzystna dla opozycji. Ustąpienie bądź odwołanie przez prezydenta rządu stanowiłoby pośrednie potwierdzenie zarzutów opozycji i przyznanie się rządu do winy za "zamach". Rozwiązanie Sejmu byłoby wykorzystane w kampanii antyrządowej jako kolejny, konsekwentny krok "dyktatury" na drodze dławienia "demokracji" i prześladowania Sejmu, dostarczając opozycji silnego argumentu w nowej kampanii wyborczej.

O pewnym braku refleksu Mościckiego i o tym, że przebieg jego rozmowy z marszałkiem Sejmu dyktował Daszyński, świadczy wystąpienie w ślad za nim pismo. "Ponieważ przypominałem sobie - pisał Mościcki - że w rozmowie, którą miałem z p. Marszałkiem dziś o godz. 12, nie dałem formalnej odpowiedzi na list Pański doręczony mi tegoż dnia o godz. jedenastej, przeto obecnie zawiadamiam Pana Marszałka, iż oświadczenia Pańskie, zawarte w wymienionym liście, że Pan "na konferencję nie przyjdzie, o ile miałby w niej wziąć udział Pan Marszałek Piłsudski", muszę jednak uważać jako odmowę ze strony Pana chęci wyjaśnienia zająć z dnia 31 października r.b. w ten sposób, w jaki Mu to w liście z dnia 31 października r.b. proponowałem."

Odpowiedź Daszyńskiego na ten list jest o tyle charakterystyczna, że incydent 31 października schodzi w nim na plan dalszy i jest nazwany już tylko "demonstracją pewnej liczby panów oficerów". Można zgodzić się, że określenie to mniej więcej odpowiada rzeczywistości, gdyż niewątpliwie oficerowie mieli zamiar, czy zadanie zademonstrować poparcie dla Piłsudskiego. Lecz różnica pomiędzy tym ostrożnym określeniem, a ogłoszonym oficjalnie i z wielkim hukiem "zbrojnym zamachem" jest dość wyraźna. Tego sprostowania, które Daszyński zamieścił w liście do prezydenta, nie dokonano jednak w publicznej kampanii antyrządowej, która nadal toczyła się pod hasłem "zamachu". W liście do prezydenta Daszyński nadal podtrzymuje swoje żądanie "rozwiązania Sejmu" lub "odwołania rządu", motywując je jednak "nad wyraz ciężkim położeniem gospodarczym" kraju oraz "poniewieraniem" przez Piłsudskiego Sejmem i osobście nim. "Zamach" natomiast zniknął z pola widzenia, z chwilą gdy dramatyczne oświadczenia spełniły swoje role, zaogniając atmosferę i dezorientując opinię publiczną, a konflikt, któremu nadały odpowiednią temperaturę przeniósł się z płaszczyzny incydentalnej na szerszą płaszczyznę polityczną.

4-go listopada Daszyński zwołał konwent seniorów i zaproponował otwarcie sesji w dniu następnym, tj. 5-go listopada o godz. 12. Tegoż dnia wprowadzono w Sejmie nowe zarządzenia porządkowe, polegające na legitymowaniu wszystkich osób wchodzących do Sejmu. Zawieszono także w czynnościach komendanta atryczy, Stawickiego. Poprzedniego dnia wieczorem na odprawie ze strażnikami Daszyński z naciskiem podkreślił polityczne szkody wyrządzone opozycji przez opublikowany w "Kurjerze Czarowym" wywiad. "W jednym z brukowców warszawskich w sobotę ukazał się wywiad przeprowadzony z kolegami waszymi, którego zadaniem było znieważać nas i zohydzić w oczach społeczeństwa zarzucając nam kłamstwo." Wobec tego, że wywiad w istocie ustąpił w pewnym zakresie rzeczywisty przebieg wydarzeń, wymowa tego oświadczenia Daszyńskiego jest jednoznaczna - że mimo nic postanowił on za wszelką cenę bronić swej demagogicznej i nieprawdziwej weryjki.

Przed południem, na które naznaczono otwarcie sesji wydarzył się incydent rzucający pewną światłość nie tylko na nastroje panujące w Sejmie, ale i na źródła pewnych relacji pamiętnikarskich. Ulicą Wiajską nadciągnął szwadron szwoleżerów z płk. Wieniewą na czele. W gmachu zapanował popłoch. Pozamykano bramy wejściowe, w przekonaniu, że zbliża się oto drugi akt "zamachu", w którym szwoleżerowie "zmasekrują" posłów szablami i lancami. Szwadron ten, eszystujący uroczystości wręczenia listów uwierzytelniających przez nowego ambasadora angielskiego na Zamku, powracał do koszar kaziennokowskich. Gdy minął popłoch, do Sejmu przybył premier Świtalski i wręczył Daszyńskiemu zarządzenie prezydenta, odraczające sesję na dni 30.

Mimo, iż zarządzenie to zgodne było z konstytucyjnymi uprawnieniami prezydenta, opozycja oceniła je jako "szykanę" wobec Sejmu i jako krok "szkodliwy dla państwa". W istocie pośunięta to było niekorzystne dla opozycji, gdyż uniemożliwiała odbycie posiedzenia w gorącej atmosferze niedawnego "zamachu" i oddało starcie do którego opozycja dążyła. Odraczając sesję liczono na ostygnięcie atmosfery i uspokojenie podnieconych nastrojów epoteicznych. Wprawdzie Piłsudski przestał już liczyć na możliwość ułożenia mniej więcej normalnych, tj. konstruktywnych stosunków pomiędzy Sejmem a rządem, ale nie zamierzał iść drogą, na którą pchała opozycja - to znaczy drogą powiększenia zamętu politycznego w państwie.

Posłowie wykorzystali okres tego miesiąca na wzmożenie agitacji antyrządowej, organizując wiece, manifestacje, zebrania, odpowiednio, to znaczy zgodnie z intencją komunikatu sejmowego, nasświetlając i wyolbrzymiając przebieg i polityczne znaczenie rzekomego "zamachu". Faktycznym błędem strony rządowej było to, że nie przeprowadziła ona publicznego dochodzenia, które wydobyloby na jaw prawdę o incydencie. Artykuły Malickiego odegrały pewną rolę, niemniej nie równoważyły autorytetu oficjalnych enuncjacji Sejmu oraz oświadczeń znanych działaczy politycznych. Milczenie rządu wykorzystywała opozycja, przedstawiając je jako wynik "konspiracyj" spowodowanej "uderzeniem" niemieckich zamiarów przez Daszyńskiego. Przyczynę tej niefrasobliwości była postawa samego Piłsudskiego, który wogóle nie brał pod uwagę czegoś, co mogłoby być zrozumiane jako "usprawiedliwienie się" i liczył na swój autorytet, zdolny sam przez się obelić skierowane przeciw niemu podejrzenia. Niemniej najpełniejszym argumentem przeciw opozycji byłoby publiczne i oficjalne wykazanie, że ogłoszonego przez nią "zamachu" w istocie nie było.

W dniu 5-go grudnia dokonano wreszcie otwarcia odroczonej sesji.

W Sejmie utrzymano rygorystyczne zarządzenia porządkowe, zamknięto także pocztę sejmową i zabroniono wstępu na teren kompleksu sejmowego osobom postronnym. Trudno powiedzieć czy ktokolwiek liczył się poważnie z próbą nowego "zamechu", któremu te zarządzenia miałyby zapobiec, w każdym razie stwarzały one atmosferę "obłożonej twierdzy".

Pierwszego dnia obrad zgłoszono trzy wnioski, rozpatrywane dnia następnego. Komuniści zgłosili wotum nieufności wobec Daszyńskiego z powodu oferty, jaką złożył on 24 czerwca Piłsudskiemu, a która dotyczyła dopuszczenia lewicy - PPS i "Wyzwolenia" do udziału w rządach. Lewica oraz "Piast" i chadecja zgłosiły wniosek w sprawie ustąpienia rządu. Natomiast BBWR zażądał powołania komisji sejmowej dla zbadania incydentu 31 października. Był to wniosek propagandowo celny, lecz jego skutki musiały być wątpliwe. Sejm bowiem w tym przypadku składał się ze stron konfliktu, przy czym opozycja występowała w charakterze oskarżyciela, natomiast reprezentujący rząd BBWR - oskarżonego. Trudno było oczekiwać, by możliwe było wyłonienie z jego składu rzeczywiście obiektywnego ciała, które by postawiło sobie za zadanie ustalenie prawdy materialnej. Było jasne, że komisja stanis się terenem rozgrywki, w której BBWR, reprezentujący mniejszość wobec zjednoczonej przeciwko niemu opozycji, nie miał zbyt dużych szans.

Wniosek komunistów upadł, przy czym BBWR, który miał zamiar zgłosić własne wotum nieufności wobec Daszyńskiego, nie wziął udziału w głosowaniu, by nie solidaryzować się z elementami wyrotowymi. Podobnych skrupułów nie miała ani lewica ani prawica z e w s z e głosująca wniki entyrządowe solidarnie z komunistami. Uchwalone natomiast zostało wotum nieufności dla rządu, co stało się natchyniał powodem do triumfalnej demonstracji komunistów. "W chwili, gdy ministrowie w milczeniu opuszczali ławę rządową, nagle na skrajnej lewicy rozległo się przeraźliwe wycie. To posłowie komunistyczni wraz z sympatykami swoimi manifestowali w dziki sposób swą radość z powodu zwycięstwa Sejmu nad rządem, intonując na zakończenie "Międzynarodówkę". W pewnym momencie jeden z posłów komunistycznych rozwija czerwony sztandar z napisem w języku rosyjskim. "Wszystko to działo się wśród okrzyków antypaństwowych: "Precz z rządem", "Precz z Piłsudskim", "Niach żyje komunizm i władza sowiecka". Symbolika tej sceny wywarła przykre wrażenie na świadkach, Isoz zapewne nie sz tak przykre, by skłonił kogokolwiek do wyciągnięcia logicznych wniosków.

Dbałenie rządu Świtalskiego było pierwszym praktycznym dokonaniem nowo zformowanego bloku opozycji, nazwanego "centrolewem". Propagandowym hasłem bloku była "obrona demokracji" przeciwko "dyktaturze" Piłsudskiego. W istocie jedyną płaszczyzną współdziałania stronnictw, które dzieliły zarówno interesy polityczne jak i doktrynalne, była walka z rządem. Uzasadniając w imieniu centrolewu wniosek przeciw rządowi, Mieczysław Niedzielski oświadczył, iż celem tego ugrupowania jest "likwidacja systemu", co po prostu oznaczać miało odsunięcie od władzy Piłsudskiego. Był to program skrajnie destrukcyjny i nie mógł być inny, gdyż sprzeczne interesy stronnictw opozycyjnych nie dawały żadnej możliwości wypracowania wspólnego programu pozytywnego, zastępowanego przez ogólnikowy frazes. Jednak usunięcie od władzy Piłsudskiego, gdyby się powiodło musiało siłą rzeczy prowadzić do powrotu powszechnie znienawidzonego przez społeczeństwo systemu przedsejmowego, to znaczy do sytuacji, w której odżyłyby na nowo zajadłe antagonizmy międzypartyjne uniemożliwia-



jęca wytworzenie trwałej więkzości parlamentarnej, a co za tym idzie, stabilnego rządu.

Do maja 26 r. znacniejsze "wpływy" miała prawica, i to ona drogą "układów" i kompromisów formowała rządy, włącznie z ostatnim, opartym na sojuszu z Witosem. Właśnie przykład tego polityka, żetwo przechodzącego od sojuszu z lewicą na prawicę, świadczy o tym do jakiego stopnia w grze parlamentarnej o władzę rozmywały się i niwelowały programy i doktryny, ustępując miejsca dążeniu do koniunkturalnych korzyści partyjnych elit. Płaciło koszta tej gry społeczeństwo, toteż przewrót majowy, w którym lewica wystąpiła ostro przeciw rządowi i poparła Piłsudskiego, odsunął prawicę na margines polityczny. Lewica natomiast, powiększyła swoje wpływy i stan posiadania, korzystając z tego, że część autorytetu i popularności Piłsudskiego spłynęła na nią. Liczyła też, że oskarżając go o "żemanie demokracji" i koczachty z prawicą, czego dowodem miał być choćby tzw. "zjazd w Nieszwiezu", przyłączenie się do BBWR konserwatywów krakowskich i wileńskich, wpływy swoje zwiększy, osłabiając popularność Piłsudskiego - i że w konsekwencji zdobędzie bezwzględne większość w Sejmie, obejmując wreszcie władzę. Czy rachuby takie mogły być traktowane poważnie, trudno powiedzieć. Jeet faktem, że proces kształtowania się nastrojów politycznych w społeczeństwie przebiegał akurat wbrew wyobrażeniom polityków lewicowych. Już najbliższe wybory wykazały, że rośnie poparcie nie tylko dla obozu rządowego, ale i dla prawicy, która rolę poprawiła swój stan posiadania kosztem lewicy. Destrukcyjna rolę tej ostatniej, ujawniająca się jej walce z rządem była dla społeczeństwa coraz wyraźniejsza. Natomiast prawica, po porażce w wyborach 1928 roku poszła w większym stopniu po linii koncepcji Dmowskiego. Polityk ten od chwili powrotu z Paryża nie uczestniczył właściwie w parlamentarnych bojach swego stronnictwa, świadomy, iż tę drogę endecja nie jest w stanie osiągnąć swego celu - to znaczy niepodzielnej władzy. Skierował zatem swoją uwagę na bezpośrednie wzmocnienie oddziaływania doktrynalnego i ideologicznego na społeczeństwo, na pracę nad jego "wychowaniem" w duchu ideologii endeckiej, szczególnie zaś młodego pokolenia. Rychło okazało się, że "wychowanie" społeczeństwa nie jest sprawą łatwą, i że niezależnie od wartości myśli politycznej samego Dmowskiego, przywoić je sobie świadomie jest w stanie tylko elita intelektualna. Masy natomiast, które mogłyby zdecydować o losach władzy w Polsce podatna są raczej na chwytliwe, demagogiczne hasła, trafiające do mentalności tkumu. Toteż "wychowanie" społeczeństwa w duchu ideologii nacjonalistycznej przekształciło się, dla zdobycia doraźnych wpływów, w indoktrynację ciemnego szowinizmu, prymitywnego antysemityzmu i klerykalizmu oraz spoliogię rządów "silnej ręki" - oczywiście endeckiej. Było to, obiektywnie rzecz biorąc, masowe produkowanie ciemoty i kulturerii, która w coraz większym stopniu stawała się bazą polityczną endecji. Lecz ten kierunek zainteresowań endecji spowodował jej zanędzoną aktywność parlamentarną, przy rzecz jasne nieznaniejązonej nienawiści do Piłsudskiego.

Jednakże powrotu do systemu przedmajowego nie było, nie dlatego, że nie zniosłoby tego Piłsudski, ale dlatego, że nie zniosłoby tego społeczeństwo. Mało kto dziś pamięta, że "zamach" majowy zapobiegł najprawdopodobniej wojnie domowej, zapowiadanej niedwuznacznie zarówno przez lewicę, która natychmiast ogłosiła walkę z rządem Witosasa aż do jego obalenia, jak i przez samego Witosę, proklamującego rządy "silnej ręki" i czyniącego przygotowania do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Jeśliby nawet do wojny domowej nie doszło, to znaczy, gdyby Witosowi udało się opsnować sytuację, kraj czekałby gorzko być

może okres przewlekłych zaburzeń, strajków, niepokojów i destabilizacji. O tym, że kilkudniowe walki, zakończone błyskawicznym przywróceniem stanu praworządności i stabilizacji wewnętrznej, prowadzone przez wojsko i pomiędzy wojskiem, a nie jak domagała się tego lewica, pomiędzy uzbrojonym "ludem", czy też bojówkami partyjnymi, nieskłonnymi do złożenia broni na czyjkolwiek rozkaz, zapobiegły atakowi państwa na, krawędzi przepaści, nie chcą pamiętać dzisiejsi "historycy". Ale, pamiętało o tym i było tego świadome społeczeństwo polskie w roku 1929. Dlatego nie było bynajmniej skłonne bezkrytycznie popierać destabilizacyjnych dezeń opozycji.

Zasadniczą słabością polskiego życia politycznego była niedojrzałość partii, których programy były oderwane od realnych potrzeb kraju, wynikających z jego międzynarodowego i wewnętrznego położenia, a za to skrajnie doktrynerskie i w dużej mierze utopijne. Najczęściej nie liczyły się z rzeczywistością i jej wielorakimi uwarunkowaniami, lecz były bądź karykaturalną kopią doktryn zachodnich, które chciały z automatyczną bezmyślnością na gruncie polskim, lub co gorsza wyrażały z jakiejś idee fixe partyjnego "ideologa", jakim np. był Dmowski. Ukształtowane w dużym stopniu w sytuacji zaborów i przyświecające do charakteru walki politycznej w państwie zaborczym, nie zostały wystarczająco ekorygowane przez fakt tek kapitalny, jak odzykania niepodległości i powstanie nowego państwa polskiego o niezwykle skomplikowanej strukturze narodowej i społecznej i rzuconego w najbardziej niebezpieczną dla jego bytu sytuację geopolityczną. To wszystko powodowało, że programy tych partii nie tylko nie odpowiadały dążeniom i aspiracjom większości społeczeństwa, ale zarówno one, jak i prowadzone przez stronnictwa walki o władzę i wpływy były ogólnie niezrozumiałe. Doktrynerstwo, połączone z zajadłą walką międzypartyjną o władzę, uniemożliwiało zbliżenie poszczególnych partii, skomasowania ich do rozsądnej liczby, umożliwiającej funkcjonowanie systemu parlamentarnego. Toteż system ten w Polsce, zwyrodniał i niewydolny, był dla elit partyjnych czynnikiem rodzaju dzungli chaosu i anarchii, w której silniejsi wydzierali kąski słabszym, a słabsi zaś szukali protekcji możnych. Fakt, iż społeczeństwo nie udzieliło zdecydowanego poparcia żadnemu z tych programów i żadnej z tych partii był tylnym świadectwem choroby elit politycznych, co w pewnym sensie świadectwem zdrowia społeczeństwa. Naprawdę groźnym objawem byłoby zdobycie przez któryś z tych dzikich programów poparcie większości. Że nie było to niemożliwe, że społeczeństwo Europy przewróconej do góry nogami przez wojnę światową podatne były na degenerację, świadczy ostatecznie przykład obu potężnych sąsiadów Polaki.

Lecz ten stan niestabilności, płynności, eklańczył partię do tym większego nasilenia demagogii, tym zajadłej walki pomiędzy sobą, dopóki kresu anarchii nie położył Piłsudski, etając się tym samym wspólnym wrogiem wszystkich przeciwników, którzy w obliczu jednoczącej ich walki z rządem odłożyli na bok wzajemne waśnie, przynajmniej wtedy, gdy potrzebne było wspólne wystąpienie przeciw rządowi.

Na dyskusjach nad wnioskiem BBWR 21 grudnia powołano komisję w dziewięciu osobowym składzie, z udziałem trzech posłów BBWR i sześciu opozycyjnych. Przewodniczącym wybrano posła klubu narodowego, Czatwertyńskiego, na przewodniczącą Liebermana. Na pierwszym posiedzeniu Sławek eprecyzował zadania stojące przed komisją: wyjaśnić

"w jakim celu, w jaki sposób, w jakiej liczbie przybyli oficerowie, jak się zachowywali, czy i jak byli uzbrojeni", oraz "czy i jakie były przeszkody, uniemożliwiające marszałkowi Sejmu otwarcie posiedzenia". Następne żądania BBWR - jawności posiedzeń komisji, powoływanie świadków na życzenie 1/3 składu komisji, stenografowanie obrad - zostały przez opozycyjną większość odrzucone. Już przyjęcie opracowanego przez Liebermana regulaminu komisji dowodziło, iż jej większość zamierza nie tyle odpowiedzieć, czy choćby próbować poszukać odpowiedzi na proste pytania postawione przez Sławka, czyli utworzyć prawdziwy przebieg wydarzeń, ile znaleźć w faktach, lub wbrew nim, potwierdzenie ogłoszonej przez Sejm wersji "zamachu". Odrzucono faktycznie jawność posiedzeń, postanowiono, iż o zaprzyceniu świadków decydują większość komisji - co rzutowało na ważność zeznań - prawo zadawania pytań przyznano w pierwszej kolejności przewodniczącemu i sprawozdawcy; także przewodniczącemu udzielono prawa uchylecia pytań innych członków komisji. Podobnie przewodniczący miał prawo do ogłoszenia komunikatów prasowych itp.; posiedzeń nie stenografowano, sporządzając jedynie protokoły. Jednym słowem zrobiono wszystko, żeby pozbawić zasiadających w komisji członków BBWR wszelkiego wpływu na tok dochodzenia. Mimo to wzięli oni udział w początkowej fazie prac komisji. Dopiero kontrowersja dotycząca sprawozdania Piłsudskiego, które miało być rozpatrywane przez komisję spowodowało ostatecznie wycofanie się ich z jej składu na znak protestu przeciwko wyraźnej stronniczości opozycyjnej większości w niej zasiadającej. Sprawozdanie to, które Piłsudski na żądanie przewodniczącego komisji dostarczył, miało nie być - na wniosek przewodniczącego - odczytane, lecz jedynie "etretuszowane" własnymi słowami przez sprawozdawcę Liebermana, pod pretekstem, że zawiera sformułowania obraźliwe dla marszałka Daszyńskiego. Tak było w istocie, lecz będąc materiałem dowodowym w dochodzeniu, powinno być traktowane analogicznie jak zeznanie świadka.

Wycofanie się posłów BBWR było zapewne błędem, lecz ich wpływ na tok dochodzenia byłby i tak niewielki. Dlatego od razu położyli nacisk na jawność posiedzeń komisji, dzięki której spodziewali się nie tylko wyświetlenia faktów, ale utrzymania pewnej kontroli nad postępem prac opozycyjnej większości. Gdy warunki ten został odrzucony, posłowie ci uznali, że pozostaje im jedynie zademonstrować protest.

Piłsudski w swoim sprawozdaniu, po zrehabilitowaniu swego pobytu w Sejmie i stwierdzeniu, że uaktywiaszy odnowę Daszyńskiego otwarcie sesji: "zdecydowałem od razu, że ten pan jest nieprzytomny i jest waristm, i muszę dlatego pozostawić złatwienie tej sprawy czynnikiem sejmowym bsz mego w tej sprawie udziału" - ustosunkowuje się do kluczowych kontrowersji. Pisze, iż przeprowadził dochodzenie pod kątem odpowiedzi na pytania: czy nastąpiło zajęcie gmachu sejmowego przemocą, jaka była liczba oficerów, czy byli uzbrojeni, oraz jaka była przyczyna ich reakcji na dwukrotne żądanie opuszczenia Sejmu.

"Co do przedsionka /inni nazywają go hallem/ wziąć trzeba pod uwagę, że znajduje się tam oddział pocztowy wolny w dostępie każdemu, tak, iż mowy być nie może o zajmowaniu przedsionka przemocą. Dochodzenie jakie zrobiłem stwierdza, iż żaden z oficerów tam obecnych nie był ani pytany, ani zatrzymywany, ani też w jakikolwiek sposób nie przeszkadzano mu w wejściu do tej części Sejmu. Co się tyczy wejścia dalszego, stwierdziłem, że tylko niektórych pytano w jakim celu przybywają, przy czym, gdy prawie większość miała na celu wysteranie się o bilety na galerię /.../ niektórych z nich odesłano do jakichś innych wejść, gdzie znaleźć można było przejścia do sal klubowych, innych zaś puszczano i dalej, gdy można było skontrolować, że dany poseł, lub inny jakis znajomy znajduje się w pobliżu."



Chcąc wyjaśnić powody postępowania Daszyńskiego Piłsudski zaczął szukać śladu jakiegokolwiek zajścia, spowodowanego przez oficerów. "Stwierdziłem jednak, że nie ma ani jednego takiego wypadku /ostrzejszej rozmowy, czy znieważenia - M.C./ tak, iż dumnym być może z umiejętności taktownego zachowania się pp. oficerów". "Kłamstwem jest więc twierdzenie tego pana o tym, iż w dniu 31 października oficerowie przemocą zajęli jakąkolwiek część gmachu sejmowego."

Następnie Piłsudski stwierdza, że wchodząc do hallu sejmowego "rzucił wzdłuż zwyczaju okiem w prawo i lewo" na salutujących go oficerów i dostrzegł, że "przy szabli mogła być zaledwie połowa oficerów, inna zaś część zewnętrznie nie miała przy sobie broni /.../ Coprawda pan ten /Daszyński - M.C./ w ostatnich ustępach swego ogłoszenia publicznego mówił już tylko o szablach, gdy mnie osobiście mówił o bagnetch, karabinech i rewolwerach. Dla wyjaśnienia więc stwierdzam, że szabla dawno już przestała być bronią i z wyjątkiem kawalerii nigdy nie bywa ostrzona, stanowiąc tylko tradycyjną część uniformu. Ta część uniformu jest w niektórych wypadkach nawet nakazana do noszenia. Dodam, że przy długich dyskusjach, które się toczyły z powodu szabli jako broni, zawsze powtarzałem ulubiony mój frazes, że wolę dobrą łaskę niż szabłą jako broni."

"...pozostaje mi jedynie do stwierdzenia, że kłamstwem jest, jakoby oficerowie, którzy byli w Sejmie, byli uzbrojeni."

Co do liczby oficerów Piłsudski stwierdza, że ich dokładna liczba jest trudna do ustalenia, gdyż część ich "przychodziła do Sejmu na bardzo krótki okres czasu i zaraz potem gmach Sejmu opuszczali." Zidentyfikował ośmiu takich oficerów. Natomiast liczba oficerów, którzy "stwowili grupę dzięki niemądrym i niestosownym zszrządom tego pana, to nie dochodziła ona do pięćdziesięciu i stanowi cyfrę 47." Liczbę tę Piłsudski ustalił na podstawie złożonych mu raportów.

"Co do dwukrotnego wezwania pp. oficerów do opuszczenia Sejmu" oświadczył on w swoich raportach, że "z chwilą gdy jako Minister Spraw Wojskowych przybyłem do gmachu Sejmu, to mogli usłyszeć mego rozkazu czy polecenia, lecz nie mogli słuchać niezrozumiałych dla nich zaprosin do wyjścia ze drzwi i pozwolenia zrobienia sobie w ten sposób afrontu. Gdy zaś pan ten substytuując sobie w stosunku do oficerów przez nieznanego zupełnie komukolwiek pana wkraczał w dziedzinę kryminalną, to oficerowie nie byli w stanie poddać się takiemu nakazowi i zmuszeni byli czekać rozkazu swego przełożonego. /.../ Dodam, że w przeciągu całego mego pobytu w Sejmie /.../ ani razu nie byłem zawiadamiany o tych niesmacznych próbach substytuowania prawa rozkazodawstwa w stosunku do wojska przez p. Daszyńskiego i przez podwładne mu organy."

Jak już wcześniej zauważyliśmy, tym próbom "substytuowania" prawa rozkazodawstwa nie towarzyszyła inne, bardziej oczywista próba usunięcia rzekomej przeszkody w otwarciu Sejmu - mianowicie poprzez odpowiedni rozkaz zwierzchnika oficerów, czyli Piłsudskiego. Sprawozdanie Piłsudskiego jest w ścisłej przytoczonych relacji zupełnie ściśle i właściwie samo w sobie mogłoby być wystarczającym wyjaśnieniem całego "incydentu".

Prace komisji sejmowej dały rezultat wątpliwy, jeśli chodzi o wiarygodność końcowego sprawozdania. Pominięto w nim kluczowe zeznania świadków, starając się skoncentrować nie na wyświetleniu rzeczywistego przebiegu wydarzeń, lecz na udowodnieniu tezy, że jakkolwiek było, sama obecność oficerów jest dowodem, iż próbowano dokonać "zamachu" na Sejm i posłów.

Przyjmuje się, że dalsze posunięcia rządu były grą, obliczoną na zdyskredytowanie opozycji sejmowej w oczach społeczeństwa przed postanowionym już rozwiązaniem Sejmu. Jakkolwiek było, pogląd ten nie ujmuje istoty rzeczy.

Udzielwszy dymisji rządowi Świtalskiego Mościcki zaprosił na konsultacje naprzód osobno przewodniczących klubów lewicy potem pryncy, a 17 grudnia wszystkich liderów partyjnych. Na konferencji tej prezydent poruszył sprawę "zadrażnień" w stosunkach pomiędzy Sejmem a rządem, i wyraziwszy przekonanie, że usunąć ich się "od razu" nie da, zaproponował jako płaszczyznę konstruktywnej współpracy podjęcie pracy nad reformą konstytucji. Była to dla opozycji dość kłopotliwa oferta. Nie odrzucono jej wprost, lecz zażądano uprzedniej "zmiany systemu" rządu. Jak pisał Adam Próchnik: "gdy przesłanie się zaczęło, opozycja ogłosiła, że na żądanie Prezydenta gotowe jest objąć rząd". A następnie: "Liczone na to, że gdy jej reprezentów postawi się niespodzianie w obliczu pewnych zagadnień /tj. propozycji prac konstytucyjnych - M.C./, konferencja wykaże między nimi sprzeczności, nie zdążą się bowiem uprzednio porozumieć. Będzie to dowodem, że stronnictwa te nie są zdolne do objęcia władzy."

Zapewne, propozycja Mościckiego nie wynikała z nadziei, że opozycja podejmie inicjatywę. Toteż przypuszczenie, że miała ona na celu wykazanie indolencji opozycji nie jest pozbawiona podstaw. Rzecz w tym, że indolencja ta była faktem, a co więcej opozycja w ogóle nie miała zamiaru zajmować się konstytucją, przynajmniej nie w tych warunkach, jakie wówczas istniały.

Potrzeba reformy konstytucji była oczywista od samego początku, to jest od dnia jej uchwalenia. Że "posiada ona niewątpliwie błędy" oznajmił w swym przemówieniu w dniu uchwalenia konstytucji marszałek Sejmu ustawodawczego, Trąpczyński. Lecz w ogóle do jej uchwalenia doszło jedynie dlatego, że wszystkie stronnictwa spodziewały się dokończ w przyszłości jej zmiany, w lepszych dla siebie warunkach, to znaczy wtedy, gdy zdobędą większość w Sejmie. Przez długie miesiące pozostające w mniejszości lewica toczyła boje o każdy punkt i artykuł konstytucji z prawicą. Przegrawszy sprawę Senatu, długotrwałą "obstrukcją techniczną", trwającą 13 godzin bez przerwy, a polegającą na uciążliwym hałasowaniu, trąbieniu, waleniu w pulpity, gwizdaniu na gwizdkach i graniu na różnych instrumentach, lewica złamała odporność psychiczną endecji i wymusiła wprowadzenie 3.p. 126 art., mówiącego o prawie drugiego Sejmu do dokonania rewizji ustawy zasadniczej. Konstytucja była rezultatem podobnie wymuszanych kompromisów i ogólnej dominującej tendencji, by maksymalnie ograniczyć kompetencje władzy wykonawczej, a w szczególności głowy państwa, ponieważ spodziewano się powszechnie, że pierwszym prezydentem zostanie Piłsudski. Na kilka miesięcy przed przewrotem majowym trzej wybitni liderzy: PPS, Daszyński, endecji, Dubanowicz i Ludowców, Witos, opublikowali broszury, w których, każdy z osobna, dochodzili do podobnych wniosków na temat konieczności reformy konstytucyjnej, w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej i uprawnień prezydenta. Lecz ani drugi Sejm nie dokonał dalej idącej rewizji konstytucji, ani nie zamierzał uczynić tego Sejm trzeci. Zasadnicze powody były dwa. Po pierwsze znów żadna z partii nie posiadała większości gwarantującej wprowadzenie poprawek zgodnych z jej interesem; co gorsza, żadna nie była reprezentowana we władzach wykonawczych, a zatem reforme, wzmocniająca te władze oddaliłaby jeszcze bardziej rechuby opozycji na odzyskanie wpływów. Po drugie, opozycja po prostu nie była w stanie uzgodnić pomiędzy sobą poglądów, nawet po linii enty-

rządowej. Przywódcy opozycji byli świadomi, że podjęcie na serio prac i debat konstytucyjnych wydobycyby na wierzch i zastrzyło sprzeczności pomiędzy ich stronnictwami, a co za tym idzie, osłabiło wartość frontu antyrządowego. Toteż taktyka Sejmu w tej sprawie polegała na stosowaniu uników, obarczaniu odpowiedzialnością rządu /który sztykając Sejm nie pozwala mu swobodnie pracować i pokazać co potrafi/ oraz na torpedowaniu propozycji zgłaszanych przez BBWR, i wogóle - przewlekaniu i odwlekaniu. W istocie Sejm uchylał się od wypełniania swych konstytucyjnych obowiązków. Według Adama Krzyżanowskiego /"Rzeczy Marszałka Piłsudskiego" - Kraków 1927/ największym mankamentem przedmajowego systemu politycznego było pomieszanie kompetencji władz państwowych, nie tylko w nieudolnie skonstruowanej konstytucji, ale przede wszystkim w praktyce. Sejm nie wykonywał swej funkcji ustawodawczej, natomiast zajmował się intensywną ingerencją w bieżące czynności już nie tylko rządu, ale i niższej administracji. Wskutek zarówno braku kompetencji jak i organicznej niezdolności do podejmowania decyzji ustawodawczych, przekazywał swe uprawnienia rządowi lub poszczególnym ministrom, "nie wykonywał swych praw budżetowych", za to postawie "w zemian za ustępstwa na terenie ustawodawczym zapewnili sobie rekompensatę w sferze administracji". Jak wyglądało to w praktyce, pisał sam Daszyński: "Przy każdym telefonie sejmowym siedzą równocześnie dziesiątki posłów, telefonujących do wszelkich możliwych i niemożliwych biur i urzędów. Tysiące razy zachodzą posłowie do biur ministrów, wojewodów, starostów i do wszelkich urzędników, aby "interweniować". Co to znaczy? Znaczy to, że popierają swoim wpływem sprawy tysięcy i tysięcy prywatnych ludzi..." Tęm tej praktyki była rozpanoszone korupcja, a skutkiem - chaos panujący w strukturach państwowych. Lecz ten system, dający poszczególnym posłom wpływ, korzyści i znaczenie, przy całkowitym braku odpowiedzialności, stwarzał im sytuację nad wyraz wygodną, toteż nic dziwnego, że tak rozumianych przywilejów Sejmu, a właściwie swoich przywilejów osobistych bronili jak lwy.

Równocześnie prace ustawodawcze toczyły się opieszale, wśród swarów i waśni, a co najgorsze - wśród poselskiej obojętności i ignorancji. Trzeba wziąć pod uwagę, że Polska była rejonem pozostawionym ustawodawczym państw zaborczych, ustaw i przepisów nieraz ze sobą sprzecznych, których indolencja Sejmu nie była w stanie usunąć. "Osnową naszego życia politycznego - pisał Krzyżanowski - jest nieprzestrzeżenie podziału władzy ustawodawczej i wykonawczej, nakazanego art. 2 i 20 Konstytucji." Podziału, dodajmy niwelowanego całkowicie przez praktykę, a osłabionego przez luki w samej konstytucji.

Otóż trzeba wziąć pod uwagę, że pracę nad konstytucją proponowano w większości tym samym posłom, którzy w jej niedopatrzeniach i niekonsekwencjach znaleźli sobie luki dla własnego przywileju i którzy - mówiąc wprost - ani fachowo ani intelektualnie do takiej pracy - poza wyjątkami - przygotowani nie byli.

Toteż o ile dążeniem Piłsudskiego było przywrócenie tego podziału, niezbędnego dla prawidłowego funkcjonowania państwa i systemu parlamentarnego, o tyle opozycja praktycznie broniła panującego w tym zakresie chaosu i obyczajów przedmajowego i pragnęła ich powrotu.

Kolejne kroki prezydenta podejmowane po incydencie należy określić jako pojedyncze. Zarówno propozycja odłożenia otwarcia sesji na kilka dni, jak i propozycja spotkania Daszyńskiego z Piłsudskim w obecności prezydenta miały na celu wyjaśnienie i zaka-



godzenie konfliktu. Możliwość ta została przez Daszyńskiego odrzucona. Okres odroczenia sesji opozycja wykorzystać mogła w różny sposób. Wykorzystała go dla zaostrzenia konfliktu i rozdumuchania kampanii antyrządowej. Konsultacja prezydenta w czasie przesilenia oraz powołanie na stanowisko premiera Kazimierza Bartla uznane natomiast zostało za objaw "słabości" rządu. Postanowiono to wykorzystając. O ile w czerwcu jeszcze lewica gotowa była pogodzić się z systemem ze cenę dopuszczenia do rządów, o tyle teraz postawiła twarde żądanie - "likwidacji systemu" i odrzuciła prezydancką ofertę, by Sejm zajął się tym, do czego był konstytucyjnie powołany - pracą ustawodawczą.

Opozycja traktowała kolejne posunięcia prezydenta jako "grę". Jeśli nawet była to gra, podejmowana już bez nadziei na znalezienie porozumienia, jest faktem, że Sejmowi zostały stworzone warunki do ułożenia współpracy z rządem i do wykonywania swej roli w państwie. Sejm warunków tych nie wykorzystał i wykorzystał nie zamierzał, gdyż nie dążył ani do współpracy ani do wykonywania funkcji konstytucyjnej, lecz do władzy. To dążenie opozycji wypaczyło rolę Sejmu, który z ustawodawczego przedstawiciela społeczeństwa przekształcił się w coś w rodzaju obozu warownego opozycji, czyhającej na rządowe fotela i dążącej do pokonania "wroga" jakim stał się dla niej rząd. Trudno zatem mówić o roli stronnictw jako "opozycji". Przekształciła się ona w czynnik głęboko destrukcyjny i destabilizujący.

System demokratyczny stwarza jedną praworządną drogę do władzy - zdobycie poparcia większości społeczeństwa. Opozycja warunku tego nie mogła spełnić, toteż dążyła do władzy drogą niapraworządną - jaką otwierała przed nią wadliwie skonstruowana konstytucja. Zatem ograniczenie demokracji parlamentarnej, dokonane przez Piłsudskiego wymierzone było nie przeciw demokracji samej, lecz przeciw jej zwyrodnieniom. Ograniczając demokrację starał się on usunąć główną przeszkodę, stojącą na drodze wprowadzenia w przyszłości prawdziwo funkcjonującego systemu parlamentarnego. Lecz w takim systemie stronnictwa opozycji musiałby albo przepracować swoje programy zgodnie z potrzebami społeczeństwa i wyrzec się przywileju na rzecz obowiązków, albo zaniknąć, tak jak w starych demokracjach zanikają stronnictwa skrajne i skostniałe. Dlatego pod hasłem "obrony demokracji" broniły one w istocie jej zniekształceń. Były poza tym gotowe pogodzić się z likwidacją demokracji, z dyktaturą, która - mówiąc wprost - była wpisana w doktrynalne programy zarówno lewicy jak i prawicy, gdyby dyktatura znalazła się w ich rękach. Toteż demokracji broniły o tyle tylko, o ile ten system uniemożliwiał objęcie władzy przez konkurentów.

Jest jasne, że "zamachu" wojskowego na Sejm, tak jak to przedstawiła opozycja, nie było. Czy jednak sama obecność dużej liczby oficerów w gmachu Sejmu nie była czymś tak niezwykłym, że usprawiedliwia takie podejrzanie?

W relacjach strażników wspomina się mimochodem, że oficerowie bywali w Sejmie niejednokrotnie. W dniu 16 maja 1926 r., podczas zaprzysiężenia pierwszego państwowego rządu prof. Bartla do Sejmu, wraz z innymi ministrami przybył Piłsudski. Przed gmachem oraz w hallu zgromadziło się wówczas wielu oficerów, którzy urzędzili Piłsudskiemu owoję. 24 września tegoż roku Sejm obala rząd Bartla, a 1-go paź-

dzielnika prezydent powołuje na premiera Piłsudskiego. O godz. 16 przybywa on na konferencję z marszałkiem Sejmu Rutajon, witany w gmachu Sejmu przez tłum publiczności, wśród której była duża liczba oficerów, a także "kilku generałów i pułkowników". "Żywiołowy entuzjazm rośnie. Straż Marszałkowska nie broni już sketerytoryalności parlamentu..." Oficerowie urządzają Piłsudskiemu "owację". Po wyjeździe Piłsudskiego rozchodzą się w spokoju, wraz z publicznością cywilną. 29 lutego 1929 Piłsudski przybył na posiedzenie komisji budżetowej Senatu. Przywitała go podobna manifestacja oficerów, którzy znaleźli się także w hallu wejściowym Senatu.

Jak z tych kilku przykładów wynika obecność oficerów w Sejmie nie była niczym niezwykłym. Być może takie manifestacje poparcia dla Piłsudskiego nie były miłą przygodą opozycji, lecz jak dotychczas, a zresztą także i w dniu 31 października, nie działa się z tego powodu nikomu nic złego. Jest oczywiście, że podobne powitania oficerskie weszły już w swego rodzaju zwyczaj, który nikogo dotychczas nie niepokoił. Zatem niebawem popłoch jaki rzekomo wśród posłów wzbudziła obecność oficerów w dniu 31 października i zkwiszczące przeczucia nie wywołane, można nazwać przesadą, jeśli nie całkowitym zmyśleniem. Zresztą sami posłowie opozycji nie są, iż chodzili sobie co jakiś czas oglądać w hallu panów oficerów, jakos bez specjalnej obawy, że zostaną rozstrzelani szablami.

Nia da się jednak utrzymać twierdzenia, że obecność oficerów była "epontaniczna", ponieważ przybycie Piłsudskiego nie mogło być wiadomą publicznie, jako że zastępował on premiera Świątalskiego. Jasne jest zatem, że oficerowie musieli otrzymać od kogoś informację i zachętę do przybycia. Jednak fakt, że obecność oficerów musiała być w jakiś sposób zakrepiowana nie ma znaczenia, gdyż można się domyślać, że działo się tak nie pierwszy raz.

Sprawa liczby oficerów wyjaśnia całkowicie sprawozdanie Piłsudskiego, a potwierdzają je wszystkie relacje. Mówią one mianowicie, że w chwili przybycia Piłsudskiego do Sejmu, znajdowało się tam w hallu i na zewnątrz, około stu oficerów, z tym, że zapewne większość pozostała poza hallen. Oficerowie ci, jak zresztą zauważył Świątowski, zaczęli się następnie rozchodzić, wogóle nieświadomi, że ich koleźzy w hallu są uczestnikami jakiegoś "incydentu", czy "zmasachu". Potwierdza to dodatkowo parę innych relacji, w tym Witosa, mówiących o tym, że w hallu oficerowie "rozsiadli się" na krzesłkach wyniesionych im z Senatu czy też Klubu BB. Rzecz jasna było to możliwe przy liczbie zbliżonej do podanej przez Piłsudskiego, gdyż przy dwukrotnie większej byłoby to raczej w niewielkim stożunkowo hallu dość gęsty tłum. Nikt też nie wspomina o obecności oficerów poza hallen w czasie późniejszego niż przybycie Piłsudskiego do Sejmu. Okoliczność ta o tyle jest istotna, że dowodzi, iż żadnego rozkazu w wydaniu oficerom nie było, a więc nie było żadnej przygotowanej akcji, w której oficerowie mieliby wykonać jakieś specjalne zadanie. Gdyby bowiem takie rozkazy były, pozostałoby wazyacy, lub wszyscy by się rozeszli, zależnie od polecenia. Ponieważ zaś poszli sobie oficerowie nieświadomi wydrzeń w hallu, znaczy to, że ich jedyną powinnością było p o w i t a n i e Piłsudskiego, co też uczynili. Natomiast ich koleźzy pozostali w hallu, ponieważ zostali do tego s p r o w o k w a n i .

Skoro jednak ogłoszono, że miał miejsce zbrojny zamach, to zamach ten musiał mieć jakiś przebieg, musiały mu towarzyszyć jakieś okoliczności. Ponieważ faktów tych nie dostarczyła rzeczywistość,

zastąpić musiała ją p o g ł o s k a . Profesor Garlicki z całkowitą powagą powtarza "informacje" o szczegółach organizacji "zamachu". Dowodzić nim miał jak wiadomo Wieniawa, przy udziale pika Kostka-Biernackiego i Surówki, zaś łącznikiem pomiędzy skoncentrowanymi oddziałami był mjr Ryzanek. Nazwiska Kostka-Biernackiego i Ryzanka kojarzą się z ich późniejszą funkcję w Brześciu, jest zatem oczywiste, że musieli już wówczas dybać na posłów. Przejazd pika Wieniawy 5-go października również tłumaczy jego "rolę" w "zamachu". Pewne światło na powstawanie tych pogłosek rzuca relacja Mariana Romeyki /"Przed i po maju"/ "Wielu młodszych oficerów oraz oficerów sztabu i garnizonu warszawskiego /.../ - pisze on - miało otrzymać najbardziej poufnie, niemal pod przysięgą, rozkaz stawienie się w określonym czasie w uniformie służbowym i uzbrojeniu. /.../ Mój przyjaciel, oficer sztabu, miał pełnić funkcję "oficera łącznikowego" między grupą sejmową i "gros sił" w Szpitalu Ujazdowskim."

Nawiać mówiąc oficerowie nie wykonali wydanego "pod przysięgą" rozkazu, bo uzbrojenia nie zabrali. Ale pozornie Romeyko potwierdza informacje Garlickiego. Jednak... Romeyko tak pisze o Ryzanku, swoim słuchaczem z WSWoj: "Spotkała mnie wątpliwa przyjemność poznania dwóch "profosów", Ryzanka i /.../ Ryzanek "wciążnie ruchliwy i gdatliwy /.../ gdy mu się coś nie układało, uśmiech zanikał, wąskie usta zaciskały się, oczy zapalały złym błyskiem /.../ Wyczuwało się w nim półinteligenta..." Trudno zatem przypuścić, że właśnie Ryzanek był owym "przyjacielem" pełniącym funkcję "oficera łącznikowego". Było ich więc dwóch? Najpewniej ani jednego. Romeyko przyznaje, że w roku 1956 ów przyjaciel, który rzekomo odegrał tak ważną rolę w zamachu, kategorycznie zabronił powoływania się na swoją relację i nazwisko "i później jeszcze potwierdził odmowę". Przyczyna tej odmowy jest zupełnie jasna. Co innego być w towarzyskich i poufnych rozmowach "bohaterem chwili", a co innego przejść do historii jako mistyfikator, nawet w pamiętnikach Romeyki.

Tenże Romeyko przyznaje otwarcie, iż pomimo intensywnych wysiłków, wypytywania przyjaciół, nie dowiedział się na temat "zamachu" n i c z a g o od co najmniej "dwudziestu oficerów; żaden z nich nie otrzymał rozkazu stawienia się w Sejmie, mimo, że przebywali podówczas w garnizonie stołecznym, w GISZ, Sztabie Głównym, lub WSWoj. Dla nich "zajęcie" w Sejmie również było zaskoczeniem; to wszystko co wiedzieli."

Ważny pod uwagę, że Romeyko był wysokim oficerem sztabowym, pełnił wiele ważnych funkcji, posiadał rozległe znajomości we wszystkich kręgach i środowiskach wojskowych, a ponadto nie był wcale źle widziany przez "reżim"; należał raczej do prominentów. Był przy tym wytrwałym i zamilowanym plotkarzem, mającym zawsze najpewniejsze i najlepsze wiadomości z najlepszych źródeł. Badanie przeprowadził niemal na gorąco, bo w listopadzie 1929 r. Mimo to nie dowiedział się n i c z a g o o . Tłumaczy sobie tajemniczość tej sprawy "przysięgą" i tym, że wybrano "najbardziej zaufanych" oficerów. Ale gdyby tak było, to jest uderzające, że doskonale informacje otrzymali posłowie opozycji, dla których żadne szczegóły, niemożliwe do przeniknięcia dla Romeyki, nie stanowiły żadnego sekretu. Jest w tym pewna sprzeczność. Lecz tłumaczy się ona dość prosto - mianowicie tym, że mimo wszystko Romeyko był plotkarzem rzetelnym, to jest takim, który informacji nie wysysa po prostu z palca.

Wszystkie informacje na temat tego rodzaju szczegółów "zamachu" pochodzą od ludzi, którzy o tym od kogoś słyszeli i najczęściej, jak



choćby Pragier, nie potrafią powiedzieć od kogo. Otóż jest niemożliwe obsadzenie wojskiem, w dodatku tak niezwykłym, jak oddziały oficerskie, dzielnicy w sercu miasta i w biały dzień, nie mówiąc już o instalacji karabinów maszynowych na dachach kamienic, tak, aby nikt dosłownie tego nie zauważył, aby nigdy i nigdzie nie znalazł się choćby jeden neoczny świadek tego wydarzenia, tak jak to ma miejsce właśnie w tym przypadku.

Życie polityczne w dwudziestoleciu przeżycone było plotką, w więk-  
szym może jeszcze stopniu niż dzieje się to dzisiaj. Można to zrozumieć i można zrozumieć, że dawano tym plotkom, nierzadko absurdalnym, wiarę. Trudno zrozumieć ludzi, którzy za zesłaną "naukowych" tytułów czynią plotkę tworzywem historii.

Podkreśla się jako okoliczność obciążającą Piłsudskiego, iż przeciw wprowadził on już raz na salę sejmową policję, by zmiłretować posłów. A zatem podejrzenie, że zamierzał użyć do tego oficerów, wobec spodziewanych w czasie otwarcia protestów i demonstracji przeciw niemu wymierzonych, jest w pełni uzasadnione. Poświęćmy więc trochę uwagi obyczajom sejmowym.

Awantury w Sejmie nie były niczym niezwykłym. Stały się nawet normalną, jeśli tak się można wyrazić, metodą pracy parlamentarnej, w postaci tzw. "obstrukcji technicznej" przeszczepionej podobno przez posłów dawnej PPSD z parlamentu wiedeńskiego. Polegała ona na tym, że stronnictwo znajdujące się w mniejszości, a zatem nie mające szans ani na przeformowanie własnych wniosków i uchwał, ani na stopę-  
pedowanie uchwał przeciwników, wyposażało swoich posłów w trąby, kła-  
kociny, gwizdki, piszczałki i inne instrumenty, którymi zagłusza-  
li swoich rywali i uniemożliwiali przeprowadzenie głosowania. Koncerty ta-  
kie trwały godzinami. Rekord padł 15 marca 1921 w czasie debaty kon-  
stytucyjnej i wynosił 13 godzin. W dniu 5 listopada 1920 r. lewica uderemnia głosowanie nad jednym z wniosków konstytucyjnych. Marszałek Trąpczyński każe wnieść tablicę, by na niej pisać treść wnio-  
sków. Wybucha awantura, posłowie lewicy biegną, by wyrzucić tablicę. Zanoszą się na rękoczyn. Trąpczyński ucieka z sali przerywając po-  
siedzenie. Po pół godzinie zjawia się i usiłuje przeprowadzić gło-  
sowanie na kartkach. "Przejmujący hałas i gwizdy osłabiają najwyż-  
szy stopień nesilenia, aż publiczność na galerii zatyka uszy pal-  
cami, a dziennikarze wychylają się z łóż prasowej, ciekawie obser-  
wując niezwykle widowisko... Poseł Dreezer z PPS /.../ nie panując nad sobą /.../ wyrwa koszyczek z głosami z ręk przechodzącego sek-  
retarza i z furii rzucił go w prawą stronę sali. /.../ Sala Sejmu Ustawodawczego zmieniła się w jakiś wzburzony, niaczący ła-  
ki żywioł. /.../ Od krzyku, wrzawy i bicie w pulpity aż exyby drżały. /.../  
Po kwadransie marszałek nie mogąc opanować sytuacji na migi zamyka  
posiedzenie..."

Awantura ta stała się bezpośrednią powodem utworzenia Straży  
Marszałkowskiej. Posłowie lewicowi protestowali przeciw takiemu  
"ograniczeniu swobód poselskich". Mało kto pamiętał, że straż utwo-  
rzono dla obrony Sejmu przed samymi... posłami.

Sejm RP był oczywiście znacznie weselszy niż np. sejm PRL, a naj-  
weselsi byli posłowie komunistyczni. 24 czerwca 1925 roku komuniści  
stanęli na czele "obstrukcji technicznej" podczas debaty nad reformą

rolną. Trąbanie, gwizdanie i śpiewy "Gdy naród do boju" pod adresem prawicy trwały przez kilka tygodni. Wreszcie wyczerpany psychicznie poseł endecki Marweg "rzucił się na dzwoniącego dużym dzwonkiem posła Taraszkiewicza Bronisława /.../ lewą ręką chwycił go za kołnierz i krawat, a prawą ręką zaczął okładać po twarzy, aż pobitemu spadły na podłogę i stłukły się binokle i urwał się krawat." Interweniowała straż marszałkowska, która wyniosła kilku posłów komunistycznych, podobnie jak to się niekiedy widuje w migawkach telewizyjnych z demonstracji na Zachodzie. Mimo to awantura nie ustaje. Przedstawiciele stronnictw zbliżają się do marszałka Sejmu i nastawiając ucha dają znaki swoim posłom, jak mają głosować. W kulisach następuje dalszy ciąg meczu bokerskiego. Tym razem walczą w bufecie posłowie Sawicki i Fiderkiewicz. Na sali instaluje się tablicę.

W dniu 27 stycznia 1921 roku marszałek Trępczyński w przewodniwaniu awantur na sali sejmowej w czasie debaty nad sprawą Senatu wprowadził do Sejmu pluton policji i obstawił nim kuluary, a poniedziałkiem umieścił kilkudziesięciu funkcjonariuszy w cywilu na galerii. Wobec protestów lewicy, grożącej przeniesieniem dyskusji na ulicę, policję z kuluarów wycofano na galerię. Ponownie policja pojawiła się w Sejmie dnia 23 maja 1923 roku, gdy z kolei prawica zapowiedziała obalenie rządu gen. Sikorskiego. Gmach Sejmu został otoczony kordonem policji konnej i pieszej, a do wnętrza wprowadzono także straż pożarną z hydrantami. Przewidywano, że prawica może dokonać zamachu, jeśli nie uda jej się obalić Sikorskiego w głosowaniu. Jednak rząd obalono parlamentarnie.

W dniu 27 marca 1928 r. kadencję nowego Sejmu zainaugurowały tradycyjne już demonstracje komunistów pod wodzą świeżo przybyłego z Moskwy posła Warkiego-Warszawskiego. Zazwyczaj "nikt się tym nadmiernie nie przejmował" - powiada ze stoickim spokojem Adam Praeger. Jednak Piłsudski postanowił położyć kres podobnym prowokacjom, czyniącym z polskiego Sejmu bolszewicki kabak.

Gdy pojawił się na sali by odczytać orędzie prezydenta, przywitali go okrzyki: "Precz z faszystowską dyktaturą Piłsudskiego", "Żądamy amnestii dla więźniów politycznych" itp. Piłsudski zwrócił się kilkakrotnie do demonstrującej jacejki z ostrzeżeniem: "Panowie będą wyrzuceni z sali". Gdy to nie pomogło, a komuniści w najlepszym samopoczuciu zabawiali się nadal, minister spraw wewnętrznych Składkowski na czele dziesięciu policjantów wyniósł ich na zewnątrz. Towarzystwo temu protesty posłów lewicowych. Tu należy wyjaśnić, że Sejm nie był jeszcze zaprzysiężony i nie miał marszałka, którego organem jest straż. Z formalnego punktu widzenia ani gmach sejmowy ani posłowie nie byli jeszcze chronieni immunitetem. Usunięci komuniści po około godzinie zostali odstawieni pod bramę Sejmu i oddani pod opiekę straży marszałkowskiej, po czym z niedużym opóźnieniem złożyli ślubowania. Powracających na salę powitały oklaski socjalistów. Malicki słusznie zauważa, że podłożem tej dziwnej solidarności była nienawiść do Piłsudskiego, która znalazła odpowiednik w nienawiści do Polski niepodległej w ogóle. Można zauważyć tutaj, że Piłsudski pogwałcił pewne zwyczajowe przywileje posłów, przywykłych do bezkarności, lecz nie pogwałcił litery prawa.

Miałoby kto natomiast wie, że incydent miał ciąg dalszy, już bez udziału Piłsudskiego. 31 marca posłowie komunistyczni rozczuchwani poparciem i objawami solidarności ze strony lewicy, przystąpili do bardziej zdecydowanej dywersji. Poseł Czeszejko-Sochacki przer-

wal dyskusję nad prowizorium budżetowym by wygłosić długie przemówienie, w którym zapowiedział niezłomną walkę komunistów z "faszystowską dyktaturą" o wprowadzenie "dyktatury proletariatu", przy akompaniamencie zwyczajowych obelg i wymysłów, i przy gorącym aplauzie towarzyszy, zachwyconych zakłóceniem toku sejmowej debaty. Sejm, na wniosek klubu BB postanowił wobec tego przerwać dyskusję. Komuniści odpowiedzieli wścieczeniem dzięki awantury z użyciem trąb, klaskanów i gwizdów, w która zwsze byli wyposażeni. Nawoływanie nowo obranego marzaika Daszyńskiego nie dało rezultatu. Daszyński zarządza więc przerwę i poleca straży marszałkowskiej usunięcie awanturujących się posłów. Tym razem socjalistyczni posłowie jednak "przejęli się" do tego stopnia nawet, że pomogli swemu marszałkowi odbierając komunistom ich instrumenty i flukując ich nimi po głowach. Awanturę w ten sposób uśmiercono, wierzącącego posła Sochackiego wyniesiono z sali. Po wznowieniu posiedzenia Daszyński poczuł się zmuszony do złożenia następującego oświadczenia: "Próbę sterroryzowania czterystu kilkudziesięciu posłów przez pięciu ludzi, próbę sponiewierania parlamentu, jako przedstawicielstwa całego narodu i próbę uniemożliwienia obrad za pomocą takich środków - oświadczam tutaj publicznie i uroczystie, że każdą taką próbę na podstawie danej mi władzy przez ustawy i regulamin, zduszę w zarodku."

Dokładnie przeciw temu samemu terroryzmowi bolszewików, uniemożliwiających otwarcie Sejmu i "poniewierających" parlament i posłów, wystąpił kilka dni wcześniej Piłsudski. Choć uczynił to w obronie powagi samego Sejmu i Rzeczypospolitej, oskarżenie go o coś wręcz przeciwnego - mianowicie o nrsruzenie "swobód poselskich" weszło do żelaznego repertuaru oskarżeń, które polityczna hołota do dziś kieruje pod jego adresem. A o mentalności posłów socjalistycznych, w rodzaju Regiera wiele mówi fakt, iż "przejęli się" /jednak się przejęli! / wybrkami swych komunistycznych towarzyszy, gdy dotknęły one ich marszałka; gdy wymierzone były w Piłsudskiego i znieważały Polskę, nie tylko się "nie przejmowali", ale mieli czelność je oklekiwać.

Jest oczywiście demagogią, by na podstawie tego właśnie wystąpienia Piłsudskiego w obronie godności Sejmu podejmować próbę oskarżenia go o zamiar użyci a oficerów w celu dokonania "maszry" posłów. Nie warto z tym polemizować.

### Przyczyny

Wysunęliśmy tutaj tezę, że obecność oficerów została wykorzystana przez Daszyńskiego i opozycję jako pretekst do sprowokowania incydentu, którego celem było zaostrzenia konfliktu z rządem i zmuszenie prezydenta do radykalnych kroków, takich jak rozwiązanie Sejmu, w okolicznościach eprzysięgających opozycji. Ponadto nawet jeśli opinie publiczne nie przechyliła się całkowicie na stronę Sejmu, jako "ofiary" dyktatorskich wybrków, to co najmniej została w dużym stopniu dezorientowana. "Zamach" miał także przysporzyć opozycji popularności i poparcia za granicą, gdzie wszelkie oskarżenia rzędów Piłsudskiego i stosunków wewnętrznych w Polsce były akwapliwlia podchwytywane i wyolbrzymiane, niekoniecznie w celu dopomożenia opozycji w zdobyciu władzy. Niektóre okoliczności, a także relacja /np. Kwapińskiego/ nesusują podejrzenia, że incydent być może nie został wywołany przez Daszyńskiego spontanicznie, lecz z góry ukartowany, wobec spodziewanego i możliwego do przewidzenia przy-



bycia oficerów do Sejmu. Jakkolwiek było, przyczyny takiego postępowania leżały w trwającym od lat konflikcie politycznym.

Okres 1918 - 1926 upłynął pod znakiem walki lewicy z prawicą i walki prawicy z Piłsudskim. Lewica popierała Piłsudskiego, broniła go także przed atakami endecji. Panowało przekonanie, że Piłsudski mimo, iż wycofał się z działalności partyjnej, jest jednak człowiekiem lewicy; endecy uważali go za "czerwonego". Tymczasem Piłsudski zupełnie jasno i wyraźnie odrzucił wszelkie powiązania partyjne, uważając się, nie tylko jako Naczelnik państwa, ale jako mąż stanu, za reprezentanta całego społeczeństwa i czując się odpowiedzialnym za całe społeczeństwo i państwo. 20 grudnia 1918 Bolesław Limanowski powitał w Krakowie Piłsudskiego, jako tego, który ma zadanie "przebudować ustrój państwa" w duchu socjalistycznym. Piłsudski odpowiedział: "Ja teraz nie należę do partii, zależę od narodu". Starożytnego wywrotowca "zmrzyczyły" te słowa. Ani nie mógł ich zrozumieć, ani wybaczyć Piłsudskiemu "zdrady" partii.

To nieporozumienie miało swoje konsekwencje w maju 1926 r. Lewica zamierzała obalić endecko-centrowy rząd Witosa, lecz nie miała na to wystarczającej siły; miał ją Piłsudski - siłą politycznym autorytetu. Lewica, popierając Piłsudskiego, liczyła na to, że będzie się on musiał z konieczności oprzeć na nią i dopuścić do władzy. Liczyła także, że chętnie i bezwzględnie rozprawi się z prawicą. Dążyła zatem do "pogłębienia rewolucji". Gdy Piłsudski przywrócił netychmiast po ustąpieniu rządu etatową prawniczą władzę, lewica poczuła się zawiedziona i oszukana. Dokonanie "rewolucji bez konsekwencji rewolucyjnych" zupełnie socjalistów nie zadowalała - mówił Herman Lieberman. "Rewolucja majowa musi podciągnąć cały szereg bardzo ścisłych konsekwencji. Linia musi być dociągnięta do końca. Przede wszystkim jesteśmy zdania, że skoro sktem rewolucyjnym obalono rząd i Prezydenta, to w konsekwencji musi też zostać usunięty Sejm, który wytworzył w Państwie sytuację sprzed 12 esje, czyli mówiąc wyrażnie, sytuację przedrewolucyjną, dojrzałą do wybuchu."

Jak widać lewica daleka była wówczas od zamiarów "obrony demokracji". Przeciwnie, pragnęła demokrację tę, dającą prawo do politycznego istnienia i działania jej przeciwnikom, zgnieść bez litości, "dociągnąć linię do końca", aż do ustroju "socjalistycznego, jakkolwiek go sobie wyobrażała. I zamierzała osiągnąć ten cel nie drogą parlamentarną i demokratyczną, poprzez zdobycie większości, tak jak dochodziły do władzy partie socjaldemokratyczne na zachodzie, lecz za pomocą siły, którą reprezentował Piłsudski: Piłsudski miał siłę nie tylko wystarczającą do obalenia niechcieranego przez społeczeństwo rządu, ale jak się okazało i do czegoś znacznie trudniejszego: uśmierzenia na dany rozkaz "rewolucji" i przywrócenia prawa i etosów demokratycznych. Oparł się żądaniami późniejszych obrońców demokracji, którzy w maju dążyli do jej unicestwienia i zdławienia, nie uległ pływającym za wszystkich stron namiętom do dyktatury, utrzymując Polekę jeszcze przez kilkanaście lat w gronie krajów demokratycznych i cywilizowanych i o tyleż lat opóźniając postępy bolszewizmu.

Fakt, iż Piłsudski "zdradził" rewolucję i zamknął drogę do władzy socjalistom, skłonił ich do szybkiej zmiany frontu. Lewica etanęła na czele frontu walki z rządem, tym razem pod hasłami "walki z dyktaturą". Uchichły nieco, przynajmniej na terenie parlamentarnym boje pomiędzy dotychczasowymi śmiertelnymi wrogami, którzy zna-

leżli płaszczyznę koniunkturalnej konsolidacji w dążeniu do przywrócenia etoaukónw przedmajowych, czyli do przywrócenia przywilejów poselekich.

Brzmi to może paradoksalnie, ale po głębszym zastanowieniu trzeba uznać, że uajmy pomajowe były reliktem systemu demokracji zdeferowanej i pozornej, w tworzącym się nowym ustroju demokracji autenryycznej. Piłsudski bowiem dążył do tego, by w ramach konstytucyjnych przedstawicielstw rządu w państwie sprawowali reprezentanci s p o ł e c z e ń s t w a , podczas gdy system zbudowany na konstytucji i praktyce politycznej/pochodzącej w dużym stopniu z okresu zaborów/ przedmajowej oddawał rządu w ręce przedstawicieli p a r t i i p o l i t y c z n y c h . Rządy Piłsudskiego wykazyły niezłucie, że to nie to samo; że partie polityczne były w Polsce atrapą, surrogatem demokracji, że ich programy i polityka nie były zrozumiałe dla ezerzycych warstw, a interes, który reprezentowały był interesem elit, e nie spókszczeństwa i państwa. Piłsudski usunął podstawową przeezkódę demokracji - jej zwyrodnienie. Niestety, trzeba uczciwie przyznać, że następane kroki, które na tej drodze poczyniono, przede wszystkim po jego śmierci, nie zawsze były krokami we właściwym kierunku.

Z tej paradoksalnej sprzeczności wyrastał organiczny konflikt pomiędzy Piłsudskim a Sejmem. Piłsudski reprezentował nowe perspektywę ustrojową, Sejm natomiast, wytworzony według anachronicznych zasad, stał się skupiskiem elit politycznych dawnych dzielnic rozbiorowych, w którym bronili one rozpczliwie swoich przywilejów i partykularnych interesów; stawał się coraz bardziej wyraźnie wyizolowanym mikroświatem, odciętym od rzeczywistości państwa, od jego potrzeb, zajętym wyłącznie sobą i widzącym rzeczywistość w coraz krótszej i ciśniejszej perspektywie. Ten anachroniczny i reliktowy charakter Sejmu trafnie ujął sam Piłsudski w artykule "Gasnącemu światu" /22 września 1929/.

"Utożsamianie zebrań klubowych - pisał - nawet małych konwentykówłów, że sejm widzieliśmy już bardzo często w historii sejmu w Polsce. Należy to, jak mi się zdaje, do dobrego tonu wielu z panów posłów i wyrosło nie skądinąd, jak z niecnej pamięci pierwszego sejmu Rzeczypospolitej Polekiej. Idzie się ku temu, co prawda, wykluczając spokojnie wbrew zasadzie tzw. demokratycznej całej grupy posłów, całej kluby i wogóle wszystkich niezgodnych z fajdanizmem poseelskim. Przecież nie jeden z tych panów dochodzi w swej ewolucji fajdanizmu do tego, że uważa siebie, tzn. poczczagólnego posła, że sejm zeczypospolitej i chce wymagać dla siebie personalnie wszystkich przywilejów, zastrzeżonych przez praw sejmowi. Ne ezczęście zewikłani etale w "Ksnape-Fragen", są przedetawicielami gasnącego już świata, świata, który odchodzi, a ewym postępowaniem deją dowód raz po raz, że ta diagnoza jest nieomylna."

Okrea "sejmowładztwa" tek charakteryzuje Pobóg-Melinowski: "...wykształcony w długiej niewoli stosunek do państwa, jako instytucji wrogiej i obcej, i wyrastający stąd nawyk "dbałości o siebie", wydzierania państwu "korzyści dla siebie", działania nie z państwem i dla niego, lecz przeciw niemu - nie zięgodniał, nie zanikał w warunkach bytu niepodległego, lecz przeciwnie - gdy zabrakło twardej pięści pruskiej i moskiewskiej, wynaturzył się w zuchwałą butę, w samowolę, w drapieżny wyzyk, a nawet w popolite przestępstwo. Przejawy tych wynaturzeń zatrzymywały już zaranie niepodległości - rozkwit ich jednak, straszliwy w wyrezie i potworny w

skutkach, przypada właśnie na trzecie laty 1923 - 1926. Posłowie w znacznym odłamie wybrali do Sejmu traktowali jako podstawę do wynoszenia własnego stronnictwa, a nawet jako odszkodowanie do robienia osobistej kariery i majątku."

Opinię tę należy zmodyfikować o tyle, że ów "drapieżny" i niełojalny stosunek do państwa, jeśli nie zrodził się wogóle, to w każdym razie ujawnił dopiero w niepodległej Polsce. W państwach zaborczych stronnictwa polskie były wzorem lojalności i potulności. O ile jednak np. konserwatyści krakowscy w lojalności wobec tronu znajdowali podstawę rozwijania politycznej i kulturalnej samodzielnosci Galicji, traktując ją jako podwalinę przyszłej niepodległości, o tyle endecja serwilizm wobec caratu uczyniła zasadą swej polityki, a wobec dążeń niepodległościowych partii lewicowych zajęła stanowisko nieprzejednane i niemięskawe. W postawie tej, spod wszystkich ideologicznych frazesów wyziera zwykłe dążenie do przywileju i do jego obrony, wbrew interesom narodu. Realizację endeckiej koncepcji "zjednoczenia" ziem polskich pod berłem cara zapewniano utrzymaniem i utrwaleniem tego przywileju, jakim była rola "pośrednika" pomiędzy obcą władzą a polskim społeczeństwem. Natomiast nie chciała endecja powstania niepodległego państwa i sprzeciwiała się temu ze wszystkich sił, gdyż świadoma była, że w państwie tym muszą dojść do głosu, a kto wie czy nie do władzy, czynniki lewicowe, które od dawna postulat niepodległości wysuwały w czynnej walce. Jednak państwo niepodległe powstało, i stało się obiektem nienawiści tego stronnictwa, dawniej wobec władzy carskiej pokornego i lojalnego, obecnie wobec państwa polskiego "drapieżnego i butnego". Toteż jeśli nawet przesadą byłoby twierdzenie, że dążyło ono do zniszczenia tego państwa, przynajmniej świadomie, to nie ulega wątpliwości, że za cel najważniejszy i jedyny postawiło sobie takie jego przekształcenie, by w oparciu o niszczoną koncepcję oparcie się na zewnętrznym czynniku siły, odgrywać w nim rolę uprzywilejowaną i wyjątkową.

Postawa lewicy natomiast bardzo szybko dowiodła, że niepodległość traktowała jedynie jako etap, cel przejściowy, wiodący poprzez pozbycie się tłumiącej lewicowe dążenia władzy zaborczej, do łatwiejszego stworzenia warunków przebudowy społecznej i zaprowadzenia doktrynalnego ustroju. Takie państwo, jakie było - to znać, czy "pluralistyczne" - było dla lewicy również nie do zniesienia, jak dla prawicy.

Nie odgrywała roli konsolidującej i łagodzącej konflikty tzw. centrum, reprezentowane głównie przez "Pisnę", gdyż cechował je przede wszystkim oportunizm polityczny, umożliwiający zawieranie wszelkich układów i kompromisów z każdym stronnictwem, o ile przez to osiągało zaspokojenie jakichś swoich partykularnych interesów.

Sformowany na takiej bazie Sejm nie mógł oczywiście prowadzić jakiegokolwiek ogólnopaństwowego polityki, skoro programu takiej polityki nie posiadały poszczególne stronnictwa, a co więcej - interesowi ogólnemu przeciwstawiali z samej zasady doktrynalnej, interes grupy, czy "klienteli" przez siebie reprezentowanej. Dlatego też najważniejsze bieżące dziedzinne działalności Sejmu - budżet państwa - nie był polem starcia jakichś odmiennych koncepcji, lecz piszczyzną rozgrywek z rządem. Obalenie rządów, lub choćby płatanina mu psikusów, za pomocą skraśleń budżetowych, należało do nieszczęsnej tradycji sejmowej, która doprowadziła kolejno do dwóch inflacji i uniemożliwiła prowadzenie długofalowej polityki skarbowej. 26 maja 1923 roku Sejm skreślił premierowi Sikor-



skiemu fundusz dyspozycyjny, oczywiście nie z przyczyn merytorycznych, lecz dla wyrażenia wotum nieufności. Upadek rządu był skutkiem kolejnego "sojuszu" Witosa z endecją, w którym za cenę rezygnacji ze swego programu reformy rolnej otrzymał fotel premiera. Powstanie tego rządu było przyczyną rezygnacji Piłsudskiego ze stanowisk państwowych, jakie pełnił jeszcze w wojsku.

Ruśnię państwa, do jakiej rządził ten doprowadził, częściowo zapobiegły pełnomocnictwa udzielone pół roku później premierowi Władysławowi Grebakiemu, który w ten sposób, za cenę ustępstw wobec Sejmu, na innych polach, uzyskał przynajmniej pewną swobodę w polityce skarbowej.

Przewrót majowy uświadomił, przynajmniej części Sejmu, własną niepopularność a nawet nienawiść jaką wzbudzał w społeczeństwie. Piłsudski Sejm nie "rozpuścił", wbrew powszechnemu oczekiwaniu, świadom tego, że przyszłość państwa zależy od tego, czy społeczeństwo potrafi wytworzyć dobrze funkcjonujący system demokratyczny, czy demokracji się nauczy, zapobiegając w ten sposób zarówno jej zwyrodnieniu, jak zapędowi dyktatorskim i totalitarnym. Lecz postanowili dokonywać zmian stopniowych, polegających na oddzieleniu władzy wykonawczej i uwołnieniu jej spod nieustającej presji "panów posłów", pewnym uporządkowaniu pracy Sejmu w najważniejszej dla pracy rządu dziedzinie budżetowej, oraz na ograniczeniu osobistych przywilejów i osobistej nieodpowiedzialności posłów.

To ostatnie posunięcie było dla Sejmu najdotkliwsze. "Pan poseł" dotychczas wszechwładny, postrach administracji, któremu kłaniali się i zabiegali o jego względy przemysłowcy, bankierzy, kupcy, ziemianie, który wszystko mógł "zakatwić" a zarazem nie ponosił za swoje czyny żadnej odpowiedzialności, znalazł się nagle w sytuacji, do której nie dorósł, i która zupełnie mu się nie podobła. Mianowicie w sytuacji, a jakiej stawiało go konstytucja: reprezentanta społeczeństwa w izbie ustawodawczej, obciążonego wielką wobec tego społeczeństwa odpowiedzialnością i obowiązkiem, a odartego z przywileju, który sobie prawem kradł uzurpował.

Sejm odrzucił tę płaszczyznę pracy i stanął solidarnie w obronie przywileju, osłaniając to demagogicznym hasłem obrony "demokracji". Toteż jego taktyka, w kadencji pierwszej ostrożną i lekliwą, po wyborach w roku 1928 coraz jawniejszą i hałaśliwszą, było dysfunktowanie się od spraw państwowych, pod pretekstem, że odsuwa go od nich rząd, nie dopuszczając do "władzy", a równocześnie czynienie temu rządowi trudności i stawianie przeszkód, jawnych i ukrytych. Opozycja liczyła na to, że dzięki takiej taktyce odpowiedzialność za "bólczki" społeczne i gospodarcze, za niepowodzenie i trudności spadnie na rząd, sama zaś zwiększać będzie swą popularność jako "obronca" społeczeństwa przed złą polityką rządu.

Nasilenie walki toczonyj wedle tych zasad następowało stopniowo, gdyż po pierwsze stronnictwa nie czuły się jeszcze zbyt silne, po drugie zaś liczyły jeszcze czas na to, że ude się, stopniowymi naciskami, drobnymi szykanami i szantażem wymusić na Piłsudskim jakiś układ dopuszczający je do władzy za cenę zaprzestania ataków. Toteż pracowały przede wszystkim nad tym, aby wytworzyć sytuację "sprzyjającą" zwycięstwu w decydującej rozgrywce. Początkowo zatem "przeważał pogląd, iż na razie wskazany jest rozumiomy umiar w walce - że więc rozgrywkę rozstrzygającą należy podjąć przy sprzyjającej okazji i w momencie, kiedy ietota konfliktu będzie bardziej zrozumiała dla mas." /Wł. Pobóg-Malinowski "Naj-

nowsza historia polityczna Polski" t.II/ "W miarę postępującej konsolidacji /opozycji/ wdzierać się zaczęły do "roztropnego umiaru" tendencje śmielsze, w formie jakby przysłowiowego targania tygrysa ze wasy."

Terenem tych figlów stał się budżet. Już 26 września 1926 r. Sejm uchwałę wprowadził kwartalny, ale równocześnie daje wotum nieufności ministrom Młodzianowskiemu i Sujkowskiesmu w rządzie Bartla. Premier podaje się wraz z całym rządem do dymisji, aby przeciwstawić się metodzie "wyłuskiwania" poszczególnych członków rządu. Ponieważ zaś prezydent przyjąwszy d' mieję powołał następnego rząd w tym samym składzie, Sejm anuluje swą uchwałę budżetową i obcina 34 mln. zł. Piłsudski nie zamierza ustępować przed tą nekającą tekturką Sejmu i sam obejmuje funkcję premiera, co budzi wśród posłów najgorsze przeczucia, lecz kończy się to jedynie odroczeniem sesji Sejmu na dni 30.

Sejm nowej kadencji określił od razu swoje stanowisko wobec rządu, odrzucając proponowaną przez BBWR kandydaturę prof. Bartla na stanowisko marszałka i wybierając Daszyńskiego. Zapowiedział on "obronę praw Sejmu". Niezależnie od wzniosłości tego zapewnienie, dawało ono do zrozumienia, że Sejm czuje się w swych prawach zagrożony przez rząd, i że zetem walka z rządem będzie treścią tej kadencji. Tak było istotnie.

Na sesji budżetowej w lutym 1929 r. Sejm postanowił skreślić ministrom spraw wewnętrznych i epraw wojskowych ich budżety dyspozycyjne. Było to posunięcie złośliwe, ale popularności opozycji nie przysporzyło. Pod tą enigmatyczną nazwą kryły się bowiem fundusze na walkę ze szpiegostwem i dywersją polityczną, głównie bolszewicką. Ponieważ komuniści byli w Sejmie ewangardę wielki z rządem i wszelkie wnioski entyrządowe głosowali wspólnie zarówno z lewicą jak i prawicą, rozdziło się podej rzenie, iż skreślenie funduszy przeznaczonych na zwalczanie akcji wywrotowej komunistów jest formę odwdziaczenia się sojusznikowi i zachęcenia go do wzmożenia w tym kierunku wysiłków. Opozycji mogło się wydawać, że utrudniwszy rządowi przeciwdziałanie, e jednocześnie nie wzięwszy na siebie odpowiedzialności za entyrządową akcję komunistyczną, wyciągnie z tego same profity, wobec oszabienia pozycji rządu. Lecz k ok ten wzbudził w społeczeństwie oburzenie. Stowarzyszenia kombatanckie zorganizowały wśród swoich członków zbiórki publiczne, która przyniosła milion złotych, wręczonych następnie Piłsudskiemu. Wybryk ten obnażył destrukcyjną rolę Sejmu, w nieprzypadnym zścietrzeniu nie liczącego się z elementarnym dobrem państwa.

Na tej samej sesji uchwalono wniosek o postawieniu przed Trybunałem Stanu ministra finansów Czechowicza za "naruszenia postanowień ustawy skerbowej" czyli za przekroczenie o 562 mln. zł uchwalonego budżetu. Sprawę tę opozycje uczyniła fundamentem kampanii, mającej w konsekwencji wytworzyć bardziej dla niej "apryzję" sytuację dla "rozstrzygającej rozgrywki" na tle "zrozumiejęc dla nas" konfliktu. Przekroczenie budżetu przedstawiono jako gigantyczną mawersację, szczególnie rodmuchując w propagandzie /choć nie w postępowaniu przed Trybunałem/ wydatkowanie 8 mln. zł na akcję wyborczą BBWR. Temat konfliktu był wybrany perfidnie. Oto Piłsudski, który zapowiedział, obejmując władzę, walkę z nadużyciami i korupcją, ściganie "kajdactw i utworzenia drogi uczciwości", odpowiedzialny jest za nieapotykanę dotychczas nadużycia swego rządu! Opozycje prezentowała się w roli nieprzekupnego stróża praw i obrońcy społeczeństwa przed nieuczciwymi machlojkami rządu.

W istocie praktyka przekroczeń budżetowych, zatwierdzanych następnie przez Sejm nie była niczym nowym, a niejednokrotnie okazywała się koniecznością, choćby w wypadku dokonania niezbędnych wydatków nieprzewidzianych w budżecie /np. pomoc ofiarom klęsk żywiołowych/ w czasie, gdy Sejm nie obradował. Ze strony rządu miało miejsce naruszenie procedury formalnej, ponieważ nie przedstawił on w odpowiednim czasie Sejmowi tych nadprogramowych wydatków do zatwierdzenia. Już w czasie dyskusji w Sejmie tak właśnie ujął tę kwestię prezes Najwyższej Izby Kontroli Wróblewski. Uznając odpowiedzialność parlamentarną ministra, stwierdził jednocześnie: "pociągać ministra do odpowiedzialności konstytucyjnej, odsyłać go przed Trybunał Stanu z powodu takich wydatków /.../ wśród których mieszczą się wydatki konieczne, wydatki takie, które ten minister powinien był zrobić /.../ to wyda się mi się rzeczą niedopuszczalną."

Dobitniej wypowiedział się ekonomista prof. Adam Krzyżenowski: podkreślając zasługi Czechowicza, który "zostawił swemu następcy kasy tak zasobne jak nigdy przedtem Polska odrodzona nie miała", zauważył: "nie przypominam sobie wypadku stawiania przed Trybunałem Stanu ministra, który wzbogacił skarb państwa, wiemy, że nieraz stawiano przed Trybunałem Stanu tych, którzy zrujnowali skarb państwa, ale nie przypominam sobie wypadku odwrotnego, który dziś jest na porządku dziennym. Ja w tym wypadku /.../ wyczytałem, że pozywacie panowie przed Trybunał Stanu ideę polityczną przewrotu majowego..." "....oskarżenie i jego dalsze losy nie zatrą niezbitego faktu, że przewrót majowy w chwili spadku złotego, w chwili rozbięcia się koalicji sejmowej był czynem zbawczym dla państwa."

Pociągnęwszy tygrysa za wąsy Sejm z pewną obawą oczekiwał następstw tego procesu. Spodziewano się, że Piłsudski może nie dopuścić do zebrania się Trybunału Stanu. Rozprawa się jednak odbyła i sam Piłsudski stawił się jako świadek.

Wydany w dniu 29 czerwca 1929 r. werdykt Trybunału był ciężką klęską dla opozycji, mimo, że jeszcze dziś niektórzy przedstawiają go jako jej "sukces". Trybunał, którego nie można było posądzać o stronniczość na korzyść rządu, ponieważ składał się z przedstawicieli wybranych przez Sejm i Senat, pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego, postanowił "zawiesić postępowanie" i odesłać sprawę z powrotem do Sejmu, by ten dokonał oceny merytorycznej wydatków. Tym samym Trybunał odrzucił podstawę oskarżenia sejmowego, uznając, iż nie może być przedmiotem oskarżenia sam fakt przekroczenia budżetu, a jedynie negatywna ocena merytoryczna tych wydatków może uzasadnić pociągnięcie ministra do odpowiedzialności konstytucyjnej. Trybunał odrzucił także pretensję Sejmu o niezgłoszenie w terminie wydatków ponadbudżetowych do zatwierdzenia, stwierdzając, iż takiej oceny merytorycznej dokonać może Sejm z własnej inicjatywy i w każdym czasie.

Orzeczenie było klęską dla Sejmu z tego powodu, iż wydatki Czechowicza były nie tylko w pełni uzasadnione, ale przysporzyły państwu bezapornych korzyści. Sejm mógł oczywiście, drogą głosowania, dokonać ich negatywnej oceny, ale po pierwsze nie mógłby jej w żaden sposób uzasadnić, a po drugie byłoby to pociągnięcie już zbyt prowokacyjne wobec społeczeństwa. W rezultacie "sprawa Czechowicza" utonęła w Sejmie, by nigdy już nie wypłynąć.

Rok budżetowy 1927-28, którego ta sprawa dotyczyła, był niezwykle korzystny dla gospodarki. Dzięki m.in. wysokiej sprzedaży węgla



nieprzewidziane nadwyżki budżetowe były tak wysokie, że pomimo wydatkowania owych 562 milionów, w kasie pozostało jeszcze około 100 mln, nadwyżki dochodów. Pozwoliło to ministrowi skarbu na otwarcie poszczególnym ministrom kredytów dodatkowych, przeznaczonych przeważnie na rozmaite inwestycje, wśród których największą był port w Gdyni. Minister przemysłu i handlu, Kwiatkowski na pytanie obrońcy Czechowicza, mec. Pechelskiego, na jakie cele użył kredytów, odrzekł: "Przed wszystkim na Gdynię. W dotychczasowym tempie rezultat gospodarczy nie byłby osiągnięty w ciągu 100 lat. Użytkiem kredyty do szybkiej budowy! Jak dalece kwestia formalna była dla mnie sprawą drugorzędą świadczy fakt, że wprowadziłem premię za szybkość, a więc za przekraczanie budżetu i w ten sposób wywołałem natychmiast bardzo duży ruch inwestycyjny."

Jest oczywiście, że na tym tle i na tle dynamiki gospodarczej tego okresu, zastrzeżenia Sejmu /który prezentuje się mniej więcej tak pociągające jak dzisiejsze rozmaite gremia urzędów od "reformy"/ musiałyby obnażyć jego ignorancję i niekompetencję, bezmyślny formalizm i wyraźną złą wolę, obracając się już nie tylko przeciw znienawidzonemu "reżimowi Piłsudskiego", ale wprost i bezczelnie przeciw państwu i społeczeństwu. Musiałaby ujawnić jego rolę uciążliwej zwałdrogi w państwie, siedliska egoizmu, prywaty i anarchii. Dlatego sprawa dalszego ciągu nie miała i mieć nie mogła.

Dwa "tergnięcia za wasy" nie przyniosły opozycji spodziewanych korzyści. Lecz jeszcze przed zakończeniem sprawy w Trybunale Stenu, 24 czerwca zjawił się u Piłsudskiego Daszyński z nieoczekiwaną propozycją. Stwierdzając, że wobec "ciężkiego położenia kraju" wielu partyjnych działaczy PPS i "Wyzwolenia" pragnie zaniechać bezpłodnej walki z rządem i znaleźć jakąś formę porozumienia, zaproponował utworzenie przez te stronnictwa wraz z BBWR większością sejmowej i koalicyjnego rządu. Była to próba, wzorem praktyki przedsmowej, dojście do władzy drogą "układu", kuchennymi schodami. Trudno mieć o to pretensję do Daszyńskiego. Trudno także czynić zarzuty jakiegokolwiek partii politycznej za to, że dąży do władzy. Lecz oferta ta stała jakby w sprzeczności z naczelnymi hasłami obrony "demokracji", walki z "dyktaturą", itd. Określało się raz jeszcze, że lewicę gotowe jest pogodzić się z "dyktaturą" i nawet być może ogłosić ją za wzór "demokracji", jeśli by w sprawowaniu tej "dyktatury" mogła mieć swój udział.

Piłsudski oferty nie przyjął, lecz propozycji porozumienia z Sejmem nie odrzucił. Zaproponował, by Daszyński porozumiał się z premierem Świątalskim i presem BBWR Sławkiem, Polacił także Świątalskiemu zaprosić, że pośrednictwem Daszyńskiego, przywódców sejmowych na naradę, z jego udziałem i z udziałem kierownika ministerstwa skarbu Matuszewskiego, poświęconą problemowi ustawodawstwa, praktyki i polityki budżetowej. Wez wszystko, a szczególnie staranne przygotowanie narady przez Piłsudskiego i rząd, wskazuje na to, że rozmowa z Daszyńskim wzbudziła w nim nadzieję na możliwość dojścia z Sejmem do porozumienia. Lecz na zaproszenie Świątalskiego liderzy partyjni odpowiedzieli we wrześniu odmownie. Sejm nie był zainteresowany budżetem czy współpracą z rządem. Lewicę także nie była tym zainteresowana, tylko wejściem do rządu. Wobec zaś niepowodzenia misji Daszyńskiego, jego samego spotkały ataki ze "zdradę" sojuszników z koalicji entyrządowej. Wyrazem tego był wniosek komunistów o wotum nieufności dla marszałka Sejmu ze czwartej oferty złożonej Piłsudskiemu.

W Istocie Daszyński nadużył ewej funkcji sejmowej. Odpowiadając na postawione przez Piłsudskiego zarzuty, zawarte w artykule "Gasnącemu światu", w tekście zatytułowana "Niewczesne żale", Daszyński dość zawiłe przedstawiał treść rozmowy i swych propozycji. Zauszony był jednak przyznać, iż ich istotą była oferta złożona w imieniu PPS i "Wyzwolenia" wejścia wraz z BBWR do koalicji rządowej. "Zauważyłam, dalej, że kluby PPS i "Wyzwolenia" gotowe są do nieuprzedzonego dyskusowania poważnych propozycji, które powinien uczynić klub BBWR jako najliczniejszy." Jest faktem, że Daszyński, występując wobec Piłsudskiego w charakterze marszałka Sejmu, w Istocie pełnił funkcję rzecznika dwóch stronnictw lewicowych, i że z niestosowności takiego postępowania nie zdawał sobie jakby sprawy. Wobec niepowodzenia misji Daszyński znalazł się w sytuacji niezręcznej i aby odzyskać zaufanie opozycji, musiał postarać się o to, by wykazać się wobec rządu bezkompromisowością i nieustępliwością.

Odrzucenia propozycji, uczynionej przez Świtalskiego, przez opozycję, oznaczało, że nie zamierza ona szukać jakiegokolwiek porozumienia. Było to właściwie spełnienie mostów, na które Piłsudski odpowiadał bezceremonialnymi atakami prasowymi. Zbliżał się termin otwarcia sesji budżetowej w sytuacji nadciągającego konfliktu. Nie było pewne do kogo należeć będzie następne posunięcie, następny cios wymierzony przeciwnikowi. Dotychczasowe tergenie za wasy nie wystraszły tygrysa i nie skłoniło go do ustępstw. Nie przyniosło także szczególnych sukcesów opozycji. Powodzenie walki z rządem zależało zatem od tego, czy uda się poprawić jej sytuację na "bardziej sprzyjającą" i czy uda się wywołać konflikt, którego istota "będzie bardziej zrozumiała dla mas".

Taki właśnie konflikt, którego "istota" znakomicie nadawała się do wykorzystania w szerokiej akcji propagandowej, miał miejsce w Sejmie, w dniu 31 października. Opozycję wprawdzie nie pokonała ostatecznie Piłsudskiego i nie obaliła "dyktatury". Swą zajadłość i bezmyślną, anarchiczną zacietrzewieniem zamknęła sobie nawet drogę do władzy, a otworzyła drogę do więzienia. Lecz niesposób nie przyznać, że uczyniła wszystko, aby wygrać. Jeśli nawet "incydent" 31 października nie był z góry ukartowany, jeśli spowodowany został spontanicznie przez Daszyńskiego, pragnącego zrehabilitować się za swoją "ugodowość" czerwową wobec Piłsudskiego, to jest faktem, że opozycja natychmiast zorientowała się w przydatności i wadze tego wyderzenia. Zrobiła także wszystko co mogła, by statut ten rozegrać do końca i bez ekrupułków.

M.C.

SKRÓTY

Pomińmy niezrozumienie umyślnie stwerczone przez tych, którzy wolą nie rozumieć, pomińmy wszystkie świadomie fałszywe wykładnie każdego postępków, dawane przez ludzi, którzy Piłsudskiego nienawidzą, to jednak i wówczas w środowisku politycznym Piłsudski będzie często, najczęściej, niezrozumiały.

Dlaczego?

Piłsudski jest bowiem zbyt konsekwentny. Czyni to właśnie, co zapowiadał. Jego postęпки zgadzają się z Jego słowami. Co więcej, zgadzają się ze sobą nawzajem. Słowa dla Piłsudskiego znaczą to, co znaczą: niepodległość jest niepodległością, wojna wojną, pokój pokojem, rządzenie rządzeniem, odpowiedzialność odpowiedzialnością.

Ludzie przywykli do tego, że istnieje szereg słów i hasła, których nie należy brać całkowicie na serio. Jest pewna etykieta polityki zezwalająca na to, aby słowa defilowały w paradednych mundurach, postęпки zaś w drelichach polowych. Każdy kompromis nazywa się "zgodą narodową", każdy wysiłek żądany od społeczeństwa "ofiara", każdy zbiór mniej lub więcej przemyślanych frazesów "programem", każde ustępstwo "koniecznością". Aby rozumieć to, co się dzieje w polityce - należy wprowadzać poprawkę między słowo i czyn, między zapowiedź i wykonanie.

Poprawka "polityki" stosowana do postępowania Piłsudskiego - zawodził. Brzozowski napisał kiedyś: "Wezystko w Polsce jest przesadą. Przesadą jest, że ziemia obraca się naokoło słońca. Dlaczegożby słońce nie miało się cokolwieczek obracać około ziemi." W polityce najczęściej słońce istotnie obraca się "cokolwiek" naokoło ziemi.

Ala jest polityka i polityka. Kto postawił sobie za zadanie pchnięcie Państwa we właściwą orbitę dziejów - ten zgodzić się nie może, aby krzywić drogi przyszłości. Obliczalnym jest polityk, dla którego władza jest celem - nieobliczalnym zazwyczaj ten, dla którego władza jest tylko środkiem. Gdyż trzeba do każdego jego kroku stosować zapomniany rachunek historii, nie można zaś jego postępków obliczać z używanych codziennie, zatłuszczonych tabliczek politycznych.

Piłsudski jest enigmatyczny, ponieważ robi to właśnie, co mówi, niespodziewany, ponieważ bierze sprawę całkowicie na serio, niezrozumiały, ponieważ jest konsekwentny.

+ + +

Rachunek historii zdaje się być zawsze nad wyraz prosty. Polega na tym tylko, aby nazwać rzecz każdą prawdziwym imieniem. I prawdziwie rzeczyć być do końca poeuznym.

Wieleż razy jest i było - nie przez wrogów, ale przez zwolenników Piłsudskiego - określone jako niezrozumiałe całe jego postępowanie w okresie 1918 - 1921. Na cóż się zdało owa niewyczerpana cierpliwość tego człowieka? Dlaczego bez protestu, bez oporu znosił oczyszczanie siebie ataki, upartą podziemną robotę, sięgającą mackami aż do armii? Po cóż poniżał siebie - i Państwo, kiedy jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny jeździł do Kalisza, aby pertraktować, jak z księciem udzielnym, z "Dowódcą Wojsk Wielkopolskich" - generałem Dow-



borem? Czemu rozzuchwalił wszystkie spiski, wszystkie konwentykle, wszystkie polityczne mafijki - puściwszy bezkarnie pierwszych zamechowców, którzy porwali się zbrojnie na Rząd Rzplitej i Naczelnika Państwa?

Niewątpliwie - wiele złego przez jakie przejść musiała później Rzplita, zrodziło się w sferze ówczesnej bezkarności.

A przecież tak łatwo to pojąć - jeśli pomyśleć serio o tej najprostszej prawdzie, że n i a m o ż e b y ć w o j n y w k r a j u w ó w c z a s , g d y j e s t w o j n a n a g r a n i c a c h .

Każdy z "polityków" na pewno umiał powiedzieć i nie raz powtarzał te słowa. Ale któż - prócz Piłsudskiego - potrafił je konsekwentnie zastosować?

Dla innych słońce obracało się "cokolwiek" dookoła ziemi. Dla niego - nie.

\* \* \*

"Armia winna być apolityczna. Armia nie może stać na usługach jakiegóż partii. Armia winna być narzędziem całego narodu" - wiele tysięcy razy słyszeliśmy te słowa powtarzane ze wszystkich stron, z każdego ust.

A jak było?

Czy tak prędko zapomnieć się historię? Czy zapomnieliśmy już wezywcy owa nie polskie, ale "wielkopolskie" pułki? Czy zapomnieliśmy o "jeździe rycerskiej" w fantazyjnych strojach i niemniej fantastycznej zależności politycznej od niewidzialnych bąbli konspiracyjnych, wzbierających na bagnistym gruncie niewoli? Czy nikt już nie pamięta batalionów "milocji ludowej", ciągnących przez miasto ze śpiewem "Czerwonego Sztendaru", ani czerwonej piachty na Zanku?

To początek, powiecie. Ale jak było potem? Czy nie starano się tworzyć prywatnego wojska? "Błękitnego", "białego" albo "czerwonego"? Któraż to z partii nie walczyły o wpływy w armii? Czy nie dzielono publicznie pułków na takie i owokie, na te, na których mogą polegać jedni i inne, na których mogą polegać inni. Czyż nie urządzano co czes pewien translokacji wojsk "wiernych i niewiernych", czyż nie ciągnęły przez ulice kompanie z karabinami maszynowymi, czyż nie rozkładano biwaków na ulicach? Czy nie r o z b r o j o n o wojska w Krskowie?

Ach, wiem, polemiści powiedzą, że przecież i Piłsudski walczył o to samo. Czy naprawdę?

Nie w legionowym mundurze chodzi dziś wojsko polskie, choć można było tak łatwo ten właśnie mundur zachować. Wtedy, kiedy każdy regimentarz partyjny wymyślał własne oznaki - Piłsudski świadomie tłumził prymat legionowy - dla przyspieszenia powstania i zjednoczenia Wojska Polskiego. Wymagał od bliskich. Kto wie, co znaczy nazwa pułku, osmagana w bitwach, zrosnięta z piosenką - ten zrozumie, czym było dla ułanów Beliney odebranie im barwy ułańskiej, odebranie im prawa nezywiania się pierwszemu pułkiem. Piłsudski żądał od legionistów zachowania niepoknietej, nieruczonej jednej tradycji, tradycji posłuszeństwa. Nie wolno było warczeć, ani narzekać. P.O.W. nie pozwolono się zmobilizować we własne ewoje pułki. Nie było sztabu, w

którym by nie zmieszano oficerów ze wszystkich formacji polskich, ze wszystkich armii zaborczych. Każdej partyjnej wielkości, czy nazywała się Latinik, czy Roja, dano pole do działania, do popisu, do reklamy nawet.

Nikt nie może, nikt nie będzie mógł twierdzić, że w czasie, kiedy Piłsudski stał na czele wojsk, nie było uczynione wszystko, aby stworzyć jednolitą, apolityczną armię polską - narzędzie woli narodu.

Co się stało kiedy odszedł? Czy właśnie wówczas nie rozpętała się zacięta, głucha, uparta wałka ugrupowań politycznych o opanowanie armii? Czy szczególnie wielkich wysiłków nie robiła w tym kierunku Narodowa Demokracja? Lata 1923 - 1926, to są właśnie lata prób przeniknięcia polityki do wojska. Kiedy koalicja endecko-piastowa sięga w r. 1926 po władzę - pierwsze jej rozporządzenia zdążają do opanowania armii przez własnych, partyjnie bliskich, politycznie lub konspiracyjnie związanych ludzi.

Zamach majowy może nie miałby miejsce, może nie musiałby mieć miejsca, gdyby nie to, iż było rzeczą wyraźną, po co Witos i endecy przychodzą do władzy. Było rzeczą wyraźną, iż idą na odsobnienie armii charakteru apolitycznego, idą na zamienienie wojska w swój oręż do wewnętrznej, politycznej rozgrywki. Równało się to nie tylko wciągnięciu armii w politykę - równało się to zniszczeniu jej wartości bojowej, bo ci, którzy chcieli używać tego narzędzia, musieliby zniszczyć wszystko, co jest moralną wartością armii - zniszczyć tradycje jej walk i zwycięstw.

Zamach majowy był przede wszystkim walką o zachowanie apolitycznego charakteru wojska polskiego. Bunt armii poprowadzonej przez Piłsudskiego, był przede wszystkim buntem przeciw próbie uczynienia z wojska bojówki partyjnej. Kiedy polityka zaangażowała się w wojsko tak delece, że mogła je rozszedzić - wojsko musiało ocalać swą apolityczność przez zwalenie takiego politycznego reżimu.

Taka jest **p r a w d a**, jakkolwiekby wyglądały komentarze obelonych.

Niegdyś oskarżano Piłsudskiego, że zaparł się ideału tworzenia wojska polskiego, ponieważ odmówił przysięgi wierności dla Niemiec. Ludzie głupi nie rozumeli wówczas, że idąc do więzienia i posyłając swych towarzyszy broni za druty kolczaste, Piłsudski **o c a l i ł** wojsko polskie.

Tak samo w maju r. 1926 Piłsudski ocalił armię. Wtedy przez więzienia - później przez bunt.

+ + +

Mamy dziś w Polsce jakoby dwa obozy: zwolenników dyktatury i zwolenników demokracji. Zwolennikami demokracji są wszyscy opozycyoniści. Zwolennikiem dyktatury musi być oczywiście, przede wszystkim, sam dyktator.

Dziwną rzeczą kolejną niejednokrotnie już dzisiejszy dyktator i dzisiejsi demokraci różnili się w zdaniach wtedy właśnie, kiedy chodziło o losy ustroju państwa. W r. 1918, kiedy Piłsudski był dyktatorem, nieskrępowanym przez żadną normę prawną, przez żadną konstytucję - w tym to pamiętnym 1918 r. starcie pomiędzy dzisiejszą prewicją i ówczesnym Naczelnikiem Państwa nastąpiło na tle zwolnienie kon-

stytuenty. "Demokraci" - narodowi, nie chcieli wówczas Sejmu. Pragnęli stworzyć "prywatną" władzę ustawodawczą. Projekt Rady Stanu, z którym przyjechał p. Stanisław Grabski z Peryża, nie był ortodoksyjnie demokratyczny. Podobnie jak nie były nigdy demokratycznymi te organy władzy, które Narodowa Demokracja stworzyła swobodnie: ani Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu, ani "rządy" Korfentego na Śląsku.

A druga strona?

Dzisiejsi integralni demokraci parlamentarni mówili dosyć dużo o "radach robotniczych i chłopskich". Po przewrocie majowym nawoływali do "pogłębienia rewolucji". Co dnia na pierwszej stronie "Robotnika" drukowane jest hasło: "Niech żyje rząd robotniczy i włościański".

Co c z y n i Piłsudski? Kiedy otrzymał do rąk pełnię władzy - zwołał Sejm i władzę złożył. Kiedy później wbrew jego radom uchwalono Konstytucję, którą uważał za złą, usunął się. Kiedy dzięki zamachowi majowemu objął z powrotem władzę, nie przekreślił żadnego z demokratycznych przepisów konstytucji i nie naprawie jej, po dziś dzień inaczej, jak trudną drogą pracowania spraw od dołu, nie zaś rozcinięcia mieczem u góry.

Jakby wyglądała demokracja w Polsce, gdyby doszła do władzy w drodze zamachu zbrojnego p r e w i c a ?

Jakby wyglądała demokracja w Polsce, gdyby doszła do władzy w drodze przewrotu - l e w i c a ?

Kiedy nie okrzyki, ale czyny i wysiłki bręć za miarę rzeczy - wówczas nieodparcie dochodzi się do wniosku, że jedynym konsekwentnym demokratą w Polsce jest jej dyktator. Ześ wszyscy opozycyjni "demokraci" są tylko - zawiedzionymi dyktatorami.

/"Gazeta Polska" 19.III 1932/



